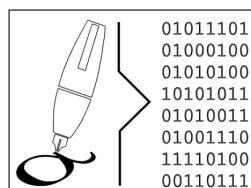


**PHILIP JOSE FARMER**

# **Ciała, wiele ciał**

**Przekład Krzysztof Sokołowski**



## Preludium

Zgromadzony przed Białym Domem tłum hałasował, śmiał się, krzyczał. Kobiety piszczały przeraźliwie, mężczyźni pogadywali basem. Brakowało tylko wysokich dziecięcych głosików. Dzieci pozostały w domu pod opieką braci, sióstr i krewnych; starszych choć jeszcze niedorosłych. To widowisko nie było dla nich przeznaczone. Nie pojęłyby sensu rytuału, jednego z najświętszych, poświęconego Wielkiej Białej Matce.

I nie byłoby to też dla nich bezpieczne. Matkę wielbiono już od stuleci (był rok 2860 Starego Stylu) i niegdyś dzieci były dopuszczane do misteriów. Wiele z nich jednak ginęło, w szale rozszarpanych na części.

Ta noc nie była bezpieczna i dla dorosłych. Pewna liczba kobiet zostanie z pewnością ciężko poturbowana; wiele z nich straci życie. Wielu mężczyzn ulegnie kobietom, które dłońmi o długich paznokciach i ustami o ostrych zębach wyrwą z korzeniami to, co czyni mężczyznę mężczyzną i trzymając okrwawione trofea w podniesionych dłoniach i zaciśniętych ustach pobiegną z krzykiem ulicami, by złożyć je na ołtarzu Wielkiej Białej Matki w Świątyni Czarnej Ziemi.

A w następnym tygodniu, w piątkowy Sabat, ubrani w białe szaty Rzecznicy Matki, kapłani i kapłanki, upomną ocalałych za to, że posunęli swój zapał nieco zbyt daleko. Kongregacja mogła jednak ucierpieć najwyżej od ostrych słów, a i te nie musiały paść i najczęściej nie padały. Mężczyźni i kobiety, w których rzeczywiście wcieliła się Matka (a w kogóż się wtedy nie wcielała?), nie mogli być winni. A poza tym czego się spodziewali? Czy nie zdarzało się tak w każdą noc rodzącą Słonecznego Bohatera, Króla-Rogacza? Cóż, Rzecznicy wiedzieli, że muszą uspokoić wiernych tak, by mogli wrócić do normalnego życia. Bądź posłuszny, módl się, zapomnij! I oczekuj następnych misteriów.

A ci, którzy zginą, także nie mogą złorzeczyć. Spoczną pochowani w świątyni, zegnani modłami i ofiarą z jelenia. Dusze zamordowanych wypiją krew, trzykrotnie błogosławione, wysławiane przez wiernych.

Krwawe słońce zapadło poza horyzont, z szumem skrzydeł nadleciała chłodna,

mroczna noc. Tłum cichł, a przedstawiciele wielkich bractw ustawiali się już na Pennsylvania Avenue. Pomiędzy wodzem Wapiti a wodzem Łosi trwała gwałtowna sprzeczka. Obaj żądali, by to ich bractwo wiodło procesję. Czyż poroże nie wieńczyło głowy każdego z nich? Czyż poroże nie wieńczyło w tym roku głowy Słonecznego Bohatera?

Jan Ziarno Jęczmienia, od stóp do głów otulony w swój zielony rytualny strój, czerwony na twarzy i chwiejący się na nogach próbował rozstrzygnąć kłótnię. Był już jednak, jak zwykle wieczorem, zbyt pijany, by mówić wyraźnie; było mu wszystko jedno, czy w ogóle coś mówi. Tych kilka słów, które zdołał wybełkotać, jeszcze bardziej rozwścieczyło obu wodzów. I nic dziwnego — oni także wypili niemało. Posunęli się nawet do tego, że sięgnęli rękojeści noży, choć trzeba by znacznie większej prowokacji do ich obnażenia, zwłaszcza dziś.

Oddział Honorowej Straży Białego Domu opuścił posterunek chcąc wyjaśnić spór. Wysokie dziewczęta wyszły spod portyku marszowym krokiem. Ich spiczaste hełmy błyszczały w świetle pochodni, długie włosy spływały na plecy, białe szaty lśniły. Każda ze Strażniczek trzymała w jednej ręce łuk, a w drugiej strzałę. W odróżnieniu od innych dziewczic Waszyngtonu obnażały tylko jedną, lewą pierś; prawą natomiast — lub raczej jej brak — skrywała biała szata. Zgodnie z tradycją łuczniczki Białego Domu pozwalały na usunięcie piersi utrudniającej strzelanie i czyniły to z radością. Nie powodowało to żadnych trudności w znalezieniu mężów. Od dziś, gdy Słoneczny Bohater napełni je nasieniem boskości, będą mogły wybierać do woli. Mężczyzna, którego żona była Strażniczką, miał prawo być z niej dumny aż do śmierci.

Kapitan Straży zapytała groźnie o przyczynę niepokoju. Wysłuchawszy obu wodzów rzekła:

— Po raz pierwszy uroczystość przygotowano tak niedbale. Być może potrzeba nam nowego Jana Ziarna Jęczmienia?

Ostrzem dzierzzonej w rękę strzały wskazała wodza Bractwa Wapiti.

— Ty poprowadzisz procesję. Wraz ze swym bractwem będziesz miał zaszczyt wprowadzić Słonecznego Bohatera.

Wódz Bractwa Łosi okazał się człowiekiem wielkiej odwagi lub może wyjątkowej głupoty. W każdym razie ośmielił się zaprotestować.

— Wczoraj wieczorem piłem z Janem Ziarnem Jęczmienia, który oznajmił mi, że to Łosie dostały tego zaszczytu. Wy tłumacz więc, dlaczego wybrałaś Wapiti?

Kapitan spojrzała na niego chłodno i założyła strzałę na cięciwę łuku. Jednak zbyt dobrze orientowała się w polityce, by zabić jednego z potężnych Łosi.

— Gdy Jan Ziarno Jęczmienia otworzył swe usta, przemówiły duchy różne od tych, które służą Bogini. Od dawna planowano, że to właśnie Wapiti odprowadzą Słonecznego Bohatera na Kapitol. Czyż nie jest on Rogaczem? Czy nie przedstawił się jako Rogacz? Czyż nie wiesz, że samca Wapiti nazywamy rogaczem, zaś samca Łosia — by-

kiem?

— To prawda — przyznał wódz Łosi, blady i wpatrzony w wymierzoną weń strzałę.  
— Nie powinienem słuchać Jana Ziarna Jęczmienia. Lecz teraz wypadła kolej na Łosie. Zeszłego roku były Lwy, a przedtem Tryki. Tego roku nam powinien przypaść ten zaszczyt!

— Oczywiście... Gdyby nie to!

Wskazała palcem poza plecy Łosia, na Pennsylvania Avenue. Wódz odwrócił się szybko.

Od Białego Domu przez sześć przecznic ulica biegła prosto, by nagle skończyć się wielkim masywem stadionu baseballowego. Ponad stadionem wyrastała iglica — dzieło sztuki nieznanego tu od siedmiuset sześćdziesięciu lat. Niespełna miesiąc temu iglica spłynęła z październikowych niebios na kolumnie ognia i osiadła pośrodku stadionu.

— Masz rację — powiedział wódz Łosi. — Nigdy jeszcze Słoneczny Bohater nie zstąpił z niebios zesłany nam przez samą Wielką Białą Matkę. I z pewnością to ona wskazała nam, które bractwo uhonorował swym zstąpieniem, kiedy nazwała go Rogaczem.

Odszedł i dołączył do swych ludzi. Niemal w ostatniej chwili.

Na Kapitolu, odległym teraz zaledwie o sześć przecznic od Białego Domu, podniósł się nagły krzyk. Krzyk ten uciszył tłum, sparaliżował go i przeraził. Mężczyźni pobledli. Kobiety-oczekujące, gotowe — szeroko otworzyły oczy; wiele upadło na ziemię wijąc się i jęcząc. Krzyk rozbrzmiał po raz wtóry i okazało się, że wydobywa się z gardeł kilkudziesięciu młodych dziewcząt zbiegających po schodach gmachu Kongresu.

Były to kapłanki, które niedawno ukończyły szkołę boskości w Vassar. Każda z nich nosiła na głowie czarny, wysoki, spiczasty kapelusz z wąskim rondem; rozpuszczone włosy sięgały im bioder, piersi miały obnażone jak wszystkie dziewice, lecz musiały odbyć pięć lat posługi, nim wolno im było zostać matronami. Nie dla nich przeznaczono dziś nasienie Słonecznego Bohatera — musiały się ograniczyć do otwarcia uroczystości. Ubrane były w powiewające spódniczki w kształcie dzwonu, podtrzymywane wieloma halkami. Niektóre przepasały się syczącymi grzechotnikami, inne miały żywe węże na ramionach. W dłoniach trzymały trzymetrowe bicz z wężowej skóry.

Rozległ się łoskot bębnow. Ponad ich huk wzbił się dźwięk trąbki. Zagrały cymbały i syringi.

Wrzeszczące i dzikie młode kapłanki biegły Pennsylvania Avenue torując sobie drogę uderzeniami bicz. Przy wrotach w ogrodzeniu otaczającym dziedziniec Białego Domu znalazły się nagle. Strażniczki przez chwilę broniły wrót pozorując walkę. Nie zawsze kończyło się na pozorach — i one, i kapłanki cieszyły się zasłużoną sławą wściekłych suk. Wyrywano więc włosy, kaleczono paznokciami policzki, wykręcano piersi. Starsze kapłanki musiały w końcu użyć bicz, by poskromić rozdokazywane dziewczęta. Dopiero razy przypominały wyjąłym z bólu dziewczynom, co się ma jeszcze wyda-

rzyć. Pojawiły się więc we wzniesionych dłoniach wyciągnięte za pasów złote sierpy, wykonujące groźne, lecz jednocześnie najwyraźniej rytualne ruchy. Nagle, jakby sam wyreżyserował swe dramatyczne wejście (bo tak właśnie było), w drzwiach Białego Domu stanął Jan Ziarno Jęczmienia, trzymając w ręku na wpół opróżnioną butelkę whisky. Chwiał się i zataczał, nie pozostawiając najmniejszej wątpliwości, co zrobił z drugą połową. Długo szarpał otaczający mu szyję sznur, nim odnalazł wiszący na nim gwizdek. Przytknął go do ust i przeraźliwie świsnął.

Z ulicy, na której zgromadzili się Wapiti, odpowiedziało mu natychmiast straszne wycie. Killkunastu członków bractwa przedarło się przez Straż aż na portyk. Każdy z nich ubrany był w czapkę ze skóry jelenia ze sterczącymi z niej małymi różkami, pełerynę z jeleniej skóry i pas z doczepionym ogonem. Z opasek na biodrach zwieszały się baloniki o fallicznych kształtach. Nie szli i nie biegli — tańczyli raczej na palcach jak baletmistrze, naśladując chód jeleni. Zaatakowali kapłanki, które krzycząc w udanym przerażeniu uciekły, otwierając Wapiti drogę do Białego Domu.

W wielkim hallu czekał na nich Jan Ziarno Jęczmienia, który gwizdnął raz jeszcze, po czym ustawił Wapiti zgodnie z ich hierarchią w bractwie i niepewnym krokiem zaczął wchodzić po szerokich schodach, wspinających się łukiem na pierwsze piętro.

Ośmieszył się, tracąc równowagę i padając wprost w ramiona wodza bractwa.

Wódz Wapiti złapał padającego Jana i brutalnie odepchnął go na bok. W normalnych warunkach nie ośmieliłby się postąpić tak z Rzecznikiem Domu, lecz wiedział że jest on w niełasce i to właśnie dodało mu odwagi. Ziarno Jęczmienia zatoczył się, zachwiał, przechylił przez poręcz schodów, po czym zleciał wprost na marmurową posadzkę holu i leżał nieruchomo tam, gdzie padł, z głową przekrzywioną pod nieprawdopodobnym kątem. Podskoczyła ku niemu młoda kapłanka, poszukała pulsu, spojrzała w zmętniałe oczy i sięgnęła po wiszący u pasa sierp.

W tej samej chwili strzelił bicz, pozostawiając na jej plecach i piersiach ranę, która natychmiast spłynęła krwią.

— Co robisz? — krzyknęła starsza kapłanka.

Dziewczyna skuliła się, odwracając głowę. Nie ośmieliła się jednak podnieść ręki w obronie przed biczem.

— Mam prawo — jęknęła. — Wielki Jan Ziarno Jęczmienia nie żyje a ja jestem wcieloną Wielką Białą Matką. Chciałam zebrać plon.

— I nie powstrzymałabym cię, bowiem masz prawo go wykastrować... gdyby nie to, że zginął w wypadku, a nie podczas Święta Zasiewów. I ty o tym wiesz!

— Niech mi Columbia wybaczy — jęknęła dziewczyna. — Nie mogłam się powstrzymać. To ta noc... Syn wkroczy w wiek męski, Król Rogacz otrzyma koronę, maskotka straci dziewictwo...

Surowa twarz starej kapłanki skrzywiła się w uśmiechu.

— Jestem pewna, że Columbia wybaczy ci twój grzech. Unosi się w powietrzu coś, co odbiera zmysły nam wszystkim. Czujemy obecność Bogini... Wielka Biała Matka jako Dziewica... Towarzyszka Słonecznego Bohatera i Wielkiego Rogacza... czuję jej tchnienie i...

W tej właśnie chwili z pierwszego piętra buchnął ryk. Na schody runął tłum Wapiti niosący na plecach i ramionach Słonecznego Bohatera.

Był on nagim, potężnym mężczyzną, zbudowanym pod każdym względem doskonale. Siedział na plecach dwóch Wapiti, lecz łatwo było dostrzec, że jest bardzo wysoki. Z twarzą o wydatnych łukach brwiowych, długim zgiętym nosie i potężnej szczęce przypominał bardzo przystojnego mistrza świata wszechwag w boksie. Lecz w tym momencie jego twarz nie wyrażała nic, co można nazwać „pięknym” lub „wstrętnym”.

Wyglądał jak opętany i tego właśnie słowa użyłby każdy mieszkaniec miasta Waszyngton i narodu DeCe. Długie, złotorude włosy opadały mu na plecy, z czoła zaś, tuż pod linią włosów, wyrastały rogi.

I nie były to rogi sztuczne, jakie nosili Wapiti, bowiem rogi te żyły.

Miały około trzydziestu centymetrów wysokości i ponad czterdzieści rozpiętości. Pokrywała je jasna, lśniąca skóra, przez którą wyraźnie przeświecały niebieskie naczynia krwionośne. U podstawy każdego z nich tętnica pulsowała w rytm uderzeń serca Słonecznego Bohatera. Nie było wątpliwości, że wszczepiono mu je niedawno. Czoło znaczyły ślady zaschniętej krwi.

Twarz rogatego mężczyzny łatwo było rozpoznać w tłumie. Wapiti i kapłanki różnili się między sobą, a jednak niewątpliwie należeli do tego samego czasu. Ich twarze: trójkątne, ciemnookie, długorzęse, o niewielkich, lecz pełnych ustach i lekko spiczastych brodach, można by nazwać „jelenimi”. Gdyby zaś ktoś spostrzegawczy przyjrzał się z boku tej scenie, dostrzegłby, że niesiony na ramionach Wapiti mężczyzna, o twarzy całkowicie pozbawionej znamion intelektu, należy do wcześniejszej epoki. Zwykły student historii sztuki patrząc na portrety powie: „oto Starożytny”, „ten człowiek urodził się w okresie Renesansu” lub „on żył, gdy zaczynały się przemiany Rewolucji Przemysłowej”. Gdyby zaś student ten zobaczył procesję, zapewne stwierdziłby: „oto mężczyzna z czasów, gdy Ziemia ugięła się pod ciężarem ludzi rojących się jak mrówki. Ma w sobie coś z owada, ale niewiele. Widać, że zdołał być Człowiekiem między owadami”.

Tłum wyniósł Bohatera pod wielki portyk Białego Domu.

Jego pojawienie uczcił potężny ryk. Huknęły bębny, trąbki zagrzmiały jak trąba Gabriela, zawyły syringi. Zgromadzone pod portykami kapłanki zamierzały się na Wapiti sierpami, lecz kaleczyły ich tylko przypadkiem. Zmieszani z tłumem członkowie bractwa zaatakowali je i powalili; dziewczęta leżały na plecach z nogami wzniesionymi w niebo, jęcząc i drżąc.

Rogatego mężczyznę sprowadzono na chodnik i przez żelazne wrota wypchnięto

z Białego Domu na Pennsylvania Avenue. Posadzono go na grzbiecie dzikiego czarnego rogacza, który próbował bóść i wierzgać, lecz mężczyźni trzymający go za rogi i długą, zwisającą po bokach sierść nie pozwalali wyrwać mu się i pogalopować ulicą. Siedzący na grzbiecie bestii człowiek musiał mocno trzymać się jej rogów, by nie dać się zrzucić. Mięśnie jego grzbietu nabrzmiały, napięły się mięśnie ramion skręcających potężną szyję rogacza, ryczącego i błyskającego w blasku pochodni białkami ślepi. Wydawało się, że ujęty potężnymi dłońmi kark musi pęknąć, lecz dłonie nagle rozluźniły uścisk, a bestia stanęła nieruchomo. Z pyska ciekła jej ślina, oczy miała przerażone. Uznała władzę jeźdźca.

Wapiti stanęli za rogaczem i jeźdźcem w rzędach, po dwunastu. Za nimi ustawiła się grupa muzykantów należących do bractwa. Za Wapiti szli Łosie także ze swoimi muzykantami, za Łosiami zaś Lwy, z czaszkami panter jako hełmami na głowach, okryci skórami, których ogony wlokły się po betonie. Lwy trzymali sznury unoszącego się cztery metry nad ich głowami balonu w kształcie długiej parówki z płaskim, okrągłym „nosem” na końcu. Pod balonem podczepiono dwie okrągłe gondole, a w każdej z nich siedziała ciężarna kobieta obsypująca uliczny tłum kwiatami i ryżem. Za Lwami maszerowali Koguty, niosąc swój totem przedstawiający wielki koguci łeb z wysokim czerwonym czubem i długim prostym dziobem zakończonym gałką.

A za Kogutami szli przedstawiciele innych bractw narodu DeCe: Słonie, Muły, Zające, Pstrągi, Kozły... Za bractwami zaś podążały przedstawicielki wielkich zakonów kobiecych: Łanie, Królowe Pszczół, Dzikie Kocice, Lwice i Sroki.

Słoneczny Bohater nie zwracał jednak najmniejszej uwagi na tych, którzy maszerowali za nim. Patrzył wzdłuż ulicy. Tłumy czekały po obu stronach, a ich ustawieniem rządziły najwyraźniej pewne prawa. Najbliżej ulicy stały dziewczęta liczące od czternastu do osiemnastu lat, ubrane w bluzki z wysokimi kołnierzami i długimi rękawami, wycięte z przodu tak, by odsłaniały piersi. Ich nogi okrywały spódniczki w kształcie dzwonu podtrzymywane wieloma halkami, a stopy sandały, przez które widać było wyraźnie polakierowane na biało paznokcie. Rozpuszczone włosy spływały do pasa. W prawej dłoni każda trzymała bukiet białych róż. Oczy miały szeroko otwarte, pełne oczekiwania i nadziei. Krzyczały: „Słoneczny Bohater! Rogaty Król! Potężny Rogacz! Wielki Syn i Kochanek!”

Za dziewczętami stały matrony; ze sposobu, w jaki krzyczały i udzielały rad łatwo było domyślić się, że to ich matki. One też nosiły podobne bluzki z wysokimi kołnierzami i długimi rękawami, lecz piersi pozostawiały zakryte. Nie miały halek, więc spódnice opadały prosto ku ziemi wypchane jedynie tiurniurami imitującymi ciężę. Matrony wiązały włosy w węzły i koki i wpinały w nie mnóstwo czerwonych róż, po jednej na każde urodzone dziecko.

Za matronami ustawili się ojcowie ubrani w stroje swych bractw i trzymający w jed-

nej dłoni totemy, a w drugiej butelki, z których często pociągali, od czasu do czasu dając się napić zonom.

A wszyscy krzyczeli głośno napierając tak, jakby mieli wylec na ulicę, chociaż było to akurat niemożliwe. Ulicą miała przejść procesja. Straż Honorowa i kapłanki z Vassar wybiegły więc przed rogacza i jego jeźdźca. Strażniczki dźgały strzałami tych, którzy przekroczyli białą linię krawężnika, kapłanki nie żałowały biczey. Stożące w pierwszych rzędach dziewice nie cofały się jednak i nie ukrywały przed razami — widok własnej krwi zdawał się sprawiać im rozkosz potwierdzaną radosnymi okrzykami.

Rozległ się szmer. Bębny, trąbki i fletnie Pana umilkły na moment.

Z Białego Domu wyszły Panny niosące na ramionach krzesło, na którym kołysało się ciało Jana Ziarna Jęczmienia. Panny ubrane były w strój swego zakonu: długie sztywne szaty ufarbowane na zielono, tak by przypominały liście zboża, i wysokie żółte korony podobne do kłosów. Należały do zakonu Zbóż i niosły na ramionach jedyne go męskiego członka. Nie żył, lecz tłum najwyraźniej jeszcze o tym nie wiedział bowiem na widok ciała rozległ się śmiech. Nie pierwszy już raz Jan Ziarno Jęczmienia pojawiał się publicznie pijany do nieprzytomności, a prawdę znały na razie tylko Panny Zbóż. Zajęły teraz właściwe miejsce w procesji — tuż za Strażą i kapłankami, tuż przed Słonecznym Bohaterem.

Znów huknęły bębny, zagrzmiały trąby, zawyły syringi, mężczyźni ryknęli, kobiety zapiszczały.

Rogacz z jeźdźcem na grzbiecie ruszył przed siebie.

Mężczyznę, który dosiadał rogacza, trzeba było powstrzymywać siłą; usiłował zeskończyć ze swego wierzchowca i dopaść stojących wzdłuż ulicy dziewcząt, zachęcających go słowami mogącymi zawstydzić pijanego marynarza. Jeździec odpowiadał im w tym samym stylu, a jego pozbawiona śladu inteligencji twarz zmieniała się w maskę demona. Walczył z Wapiti próbującymi utrzymać go na grzbiecie rogacza, a oni padali na ziemię z połamanymi, chlustającymi krwią nosami i zostawali tam, trатовani przez maszerujących. Ich miejsce natychmiast zajmowali nowi, przytrzymujący Słonecznego Bohatera wieloma dłońmi. — Wstrzymaj się, o Wielki Rogaczu! — krzyczeli. — Czekaj aż dojdziemy do Kopuł. Tam cię uwolnimy i otrzymasz to, czego pragniesz. Czekaj tam już na ciebie Wielka Kapłanka Dziewica, Wielka Biała Matka jako Panna! Czekają na ciebie najpiękniejsze maskotki Waszyngtonu, wypełnione boskim duchem Columbii i jej córki Ameryki; czekają, byś napełnił je boskim nasieniem Syna!

Mężczyzna z rogami najwyraźniej nie słyszał ich ani nie rozumiał; chociaż sam mówił po amerykańsku, jednak jego mowa różniła się od ich mowy. W dodatku był opętany i to czyniło go głuchym na wszystko oprócz szumu płynącej mu w żyłach krwi.

Choć biorący udział w procesji usiłowali powoli maszerować ku odległemu o sześć przecznic celowi, jednak w miarę zbliżania się do niego przyspieszali kroku. Być może



powodowały to przekleństwa dziewcząt i groźby, że jeżeli nie będą posuwać się szybko, zostaną rozszarpani na kawałki. Bicz i strzały coraz częściej zanurzały się we krwi. Dziewice napierały jednak na orszak nie zważając już na nic. Jedna z nich wykonała nawet niesamowicie wysoki akrobatyczny skok, przewróciła kapłankę, skoczyła po raz drugi i wylądowała na ramionach Wapiti. Straciła jednak równowagę i spadła na ziemię. Potraktowano ją brutalnie; mężczyźni zdarli z niej ubranie, drapali ją i bili po całym ciele, aż popłynęła krew. Jeden z nich próbował nawet uprzedzić Słonecznego Bohatera, ale inni nie dopuścili do bluźnierstwa. Uderzeniem w głowę pozbawili go przytomności, a dziewczynę wykopali za linię.

— Czekaj swej kolejki, skarbie — wołali i śmiali się, a ktoś wrzasnął: — Jeśli Wielki Rogacz ci nie wystarczy, to mniejsze zajmą się tobą później.

Kiedy zamieszanie uspokoiło się w końcu, procesja stała już przy Kapitolu. Między kapłankami i Strażniczkami z jednej, a dziewczynami z drugiej strony doszło do krótkiej potyczki. Wapiti zdjęli Słonecznego Bohatera z wierzchowca i wprowadzili na schody.

— Powstrzymaj się jeszcze przez krótką chwilę, o Wielki Rogaczu — powtarzali. — Jeszcze tylko schody. Puścimy cię na ich szczycie.

Oszalały Słoneczny Bohater patrzył na nich przekrwionymi oczami powstrzymując atak furii. Spojrzał na stojący na szczycie schodów posąg Wielkiej Białej Matki. Marmurowa rzeźba miała piętnaście metrów wysokości i wielkie piersi. Jedną z nich karmiła swego maleńkiego Syna, stopą zaś rozgniatała brodatego smoka.

Tłum eksplodował rykiem: „Dziewica! Dziewica!”

Z cienia kolumn, otaczających potężnym portykiem gmach Kapitolu, wyłoniła się Kapłanka Waszyngtonu.

Światło pochodni błyszczało bielą na jej długiej spódnicy, na nagich ramionach i piersiach. Włosy koloru miodu, opadające aż na ziemię były w tej poświacie czarne i czarne były też usta, w świetle dnia czerwone jak rana. Błękitne w słońcu oczy także wydawały się teraz czarne.

Słoneczny Bohater ryknął jak rogacz, który właśnie poczuł łanię w rui.

— Dziewica! Nie powstrzymacie mnie już! Nikt mnie nie powstrzyma.

Otworzyły się czarne usta, w świetle pochodni błysnęły bielą zęby. Długie, smukłe białe ramię poruszyło się gestem przyzwania. Mężczyzna wyrwał się przytrzymującym go dłońmi i wbiegł na schody. Nie docierało już do niego szaleńcze natężenie huku bębnów, trąb i syring, ani pełen pożądania wrzask tłumu dziewcząt. Niemal utracił świadomość i nic nie wiedział o bitwie, jaką toczyli strażnicy walcząc o życie z tłumem tratujących i drących wszystko ostrymi paznokciami dziewczyc. Nie wiedział nic i o tym, że na ciałach powalonych mężczyzn leżą odrzucone w pośpiechu białe spódnice i bluzki dziewcząt.

Coś jednak powstrzymało go na pełną sekundę. Nagle, w żelaznej klatce stojącej na

cokole posągu Wielkiej Białej Matki, dostrzegł młodą, ubraną odmiennie od innych, dziewczynę. Na głowie miała czapkę z długim daszkiem, jaką noszą baseballiści, jej ciało okrywała luźna koszula pokryta dziwnymi, zamazanymi znakami nie do odczytania, i luźne spodnie do pół łydki. Na nogach nosiła grube skarpety i ciężkie buty.

Nad klatką wypisano w języku DeCe:

MAESST, GAKEATI REA KESILAE

Co oznaczało:

MASKOTKA, POJMANA W NAPADZIE NA CASEYLAND

Dziewczyna spojrzała przerażona, zakryła oczy rękami i odwróciła się.

Z twarzy mężczyzny znikł nagle wyraz zaskoczenia. Pobiegł ku kapłance. Stała nieruchomo wyciągając ręce w geście błogosławieństwa; odrzucona do tyłu głowa i wypchnięte biodra mówiły mu jednak, że skończyło się oczekiwanie. Że nie napotka oporu.

Z głębi trzewi wydobył mu się przez gardło głuchy ryk. Sięgnął ku jej szatom i zdarł je jednym szarpnięciem.

Tłum odpowiedział szalonym wyciem, a on, otoczony przez ciała, wiele ciał, znikł z oczu zgromadzonych u stóp schodów ojców i matek.

## Rozdział pierwszy

Statek krążył.

Krążył wokół Ziemi. Krążył tam, gdzie brak powietrza; tam, na granicy Kosmosu, mknął od bieguna północnego ku południowemu. I znów. I znów.

Kapitan Stagg\* oderwał się w końcu od płyty obserwacyjnej.

— Ziemia zmieniła się bardzo przez te osiemset lat — powiedział. — Zbyt długo nas tu nie było. Potraficie wyjaśnić to, co widzieliście?

Doktor Calthorp podrapał się po swej długiej, siwej brodzie i przekręcił ukrytą pod płytą gałkę. Pola, rzeki i lasy podskoczyły i znikły. Wzmacniacz pokazywał teraz miasto rozłożone po obu stronach rzeki, prawdopodobnie Potomacu. Rozciągało się na powierzchni około dwudziestu pięciu kilometrów kwadratowych, a szczegóły zabudowy dla mężczyzn na statku zdawały się odległe o nie więcej niż dwieście metrów.

— Jak mam wyjaśnić to, co widzę? — powtórzył Calthorp. — Mogę się co najwyżej domyślać. Jako najstarszy antropolog na Ziemi powinienem wyciągnąć słuszne wnioski z danych, które mam... a może nawet wyjaśnić, jak stało się to, co się stało. Ale nie potrafię. Nie jestem nawet pewien, czy to Waszyngton. Jeśli tak, to przebudowano go raczej bez sensu. Nie wiem ja, nie wiesz ty... więc czemu by nie wylądować i nie zapytać?

— I tak nie mamy wyboru — stwierdził Peter Stagg. — Paliwo nam się kończy.

Uderzył nagle pięścią w dłoń.

— A jeśli wylądujemy, to co? Na całej Ziemi nie widziałem budynku, który mógłby osłaniać reaktor. Nie ma niczego przypominającego jakieś znane nam maszyny. Gdzie się podziała technika? Znów konne bryczki... tylko że oni najwyraźniej nie znają już koni. Konie wyginęły. Używają natomiast jakichś bezrogich jeleni.

— Mówiąc dokładnie, jelenie nie mają rogów, lecz poroże — stwierdził Calthorp. — Powiedziałbym, że współcześni Amerykanie hodują różne gatunki jeleni nie tylko jako siłę roboczą, lecz także jako bydło. Zauważyłeś pewnie, że jest jej wiele rodzajów.

---

\*Po angielsku nazwisko Stagg wymawia się jak "stag", tu: rogacz (przyp. tłum.).

Zwierzęta pociągowe, juczne, rzeźne; niektóre krzyżuje się jak niegdyś konie wyścigowe. Miliony... — zawahał się — ... ale to mnie nie przeraża. Nawet brak paliwa jądrowego nie martwi mnie tak bardzo, jak...

— Jak co?

— To, jak nas przyjmą po wylądowaniu. Większa część Ziemi stała się pustynią. Erozja, brzytwa w ręku Boga, przeciągnęła po powierzchni naszej planety. Spójrz na to, co pozostało z dobrych starych Stanów Zjednoczonych. Wzdłuż wybrzeża Pacyfiku wyrósł łańcuch bluzgających ogniem i pyłem wulkanów. W rzeczywistości całe wybrzeże Pacyfiku: obie Ameryki, Azja, Australia, łańcuchy wysp — to wyłącznie czynne wulkany. Pył i emitowany do atmosfery dwutlenek węgla radykalnie zmieniły klimat. Lodowce Arktyki i Antarktydy topią się. Poziom mórz podniósł się o niemal dwa metry i będzie podnosił się dalej. W Pensylwanii rosną palmy. Pustynie Południowego Zachodu znów spalone zostały gorącym oddechem słońca. Środkowy Zachód to jedno morze piasku. I...

— A co to ma wspólnego z tym, jak nas powitają?

— Ma. Środkowe wybrzeże Atlantyku wygląda tak, jakby miało się odrodzić. Dlatego właśnie radzę wylądować tam. Najwyraźniej mieszkający tam ludzie pod względem technicznym i społecznym są wieśniakami. Widziałeś, jak pracują — jak pszczoły w ulu. Sadzą drzewa, kopią kanały irygacyjne, budują tamy i drogi. Z tego, co widzieliśmy, jasne jest jedno: przede wszystkim starają się użyźnić ziemię. Ceremonie, które obejrzeliliśmy, związane są z całą pewnością z kultem płodności. Brak zaawansowanej techniki może oznaczać wiele. Po pierwsze: nauka taka, jaką znaleźliśmy, nie istnieje. Po drugie: istnieje sprzeciw wobec nauki i tych, którzy ją praktykują. Słusznie czy nie, właśnie naukę obwinia się za kataklizm, który zniszczył Ziemię.

— Więc?

— Więc ludzie najprawdopodobniej zapomnieli już o tym, że niegdyś wystartował z Ziemi statek, by badać przestrzeń międzygwiazdową w poszukiwaniu dziewiczych planet. Możemy zostać potraktowani jak diabły lub potwory, zwłaszcza że reprezentujemy naukę, której kazano im nienawidzić: ducha Zła. I nie mówię tego ot tak sobie, z głowy. Wyobrażenia przedstawione na ścianach świątyń i w rzeźbie oraz niektóre obrzędy, jakie obserwowaliśmy, świadczą wyraźnie o nienawiści do przeszłości. A my przybyliśmy właśnie z przeszłości i mogą nas odrzucić, co dla nas skończyłoby się raczej fatalnie.

Stagg rozpoczął wędrówkę po kabinie.

— Opuściliśmy Ziemię osiemset lat temu — mruczał. — Warto było? Nasze pokolenie, nasi przyjaciele, wrogowie, nasze żony, kochanki, dzieci i ich dzieci, i dzieci ich dzieci... leżą w grobach porośniętych trawą. Nawet trawa zmieniła się już w pył. Pył, unoszący się ponad Ziemią, to ciała dziesięciu miliardów naszych współczesnych i Bóg jeden wie, ilu dziesiątków miliardów ich następców. Była dziewczyna... nie ożeniłem się,

bo wołałem wielką przygodę...

— I żyjesz — powiedział Calthorp. — Masz osiemset trzydzieści dwa ziemskie lata.

— Leczą tylko trzydzieści dwa fizjologiczne. Jak wyjaśnić tym prostym ludziom, że spaliśmy niczym ryby w lodzie, gdy nasz statek zdążył wprost do gwiazd. Czy oni w ogóle mają pojęcie o istnieniu technik hibernacyjnych? Bardzo wątpię. Więc jak wyjaśnić im, że budziliśmy się tylko po to, by badać planety typu ziemskiego. Że odkryliśmy ich dziesięć i że jedną z nich można kolonizować już dzisiaj?

— Nim skończysz gadać, oblecimy Ziemię jeszcze dwukrotnie — zirytował się Calthorp. — Zleż z mównicy i zabierz nas na Ziemię, żebyśmy mogli się dowiedzieć, co nas czeka. Znajdziesz sobie babę, chociaż nie będzie to ta, którą zostawiłeś.

— Baba! — wrzasnął Stagg i nagle oprzytomniał.

— Co!?! — Calthorp był najwyraźniej zdumiony gwałtownym wybuchem kapitana.

— Baba! Osiemset lat bez żadnej, jednej, jakiegokolwiek baby! Łyknąłem tysiąc dziewięćdziesiąt pięć pastylek przeciwpopędowych — wystarczająco wiele, by słonia zmienić w kapłona — i uodporniłem się! Pigułki czy nie, chcę baby. Wyrpałbym nawet swą ślepą i bezzębną babunię. Czuję się jak Walt Whitman, kiedy wyznał, że tryska duchem przyszlých republik. Mam w sobie tysiąc republik!

— Miło zobaczyć, że przestałeś odgrywać nostalgicznego poetę i znów jesteś sobą. Tylko nie wal konia. Będziesz miał wkrótce swoje baby. Ale z tego, co widziałem, wnioskuje, że to one tutaj rządzą, a ty przecież nie znosisz władczych kobiet.

Stagg uderzył jak goryl w swą twardą, szeroką pierś.

— Jeśli się mi sprzeciwią, nie pożyją długo — krzyknął, po czym roześmiał się i wyznał: — Tak naprawdę, to mam stracha. Nie rozmawiałem z kobietą tak długo. Nie wiem, jak się zachować.

— Pamiętaj tylko, że one się nie zmieniają. Epoka kamienna czy atomowa, wszystkie są takie same.

Stagg znów się roześmiał, przyjaźnie klepnął antropologa w wąskie plecy i wydał rozkaz lądowania. W czasie lotu zapytał jeszcze:

— Myślicie, że mamy szansę na przyzwoite powitanie?

Calthorp wzruszył ramionami.

— Mogą nas powiesić. Albo ukoronować.

I tak się zdarzyło, że w dwa tygodnie po tryumfalnym powitaniu w Waszyngtonie Stagg został ukoronowany.

## Rozdział drugi

— Peter, wyglądasz jak prawdziwy król! Niech żyje Peter Szósty!

Było w tym nieco ironii, ale Calthorp mówił dokładnie to, co myślał.

Stagg mierzył ponad dwa metry wzrostu i ważył sto piętnaście kilogramów. W pasie liczył dziewięćdziesiąt centymetrów, w biodrach poniżej stu. Długie, proste rudoblond włosy układały mu się w naturalne fale. Twarz miał przystojną, orlą. W tej chwili wyglądał jednak jak orzeł w klatce, bowiem chodził tam i z powrotem, ręce założył na plecach jak zwinięte skrzydła, patrzył wściekle ciemnoniebieskimi oczami i od czasu do czasu krzywił się na Calthorpa.

Antropolog skulił się w wielkim, wykładanym złotem fotelu; z ust zwisała mu długa, ozdobiona klejnotami cygarniczka. Podobnie jak Stagg, stracił na zawsze zarost. W dzień po wylądowaniu kosmonautów wymoczono ich, wymyto i wymasowano. Służba ogoliła im brody nakładając krem na twarze, a później wycierając go ręcznikiem. Zachwyliła ich prostota tego zabiegu dopóki nie odkryli, że stracili na zawsze możliwość zapuszczenia baków, gdyby kiedykolwiek mieli na to ochotę. Calthorp, choć uwielbiał swą brodę, nie protestował przeciw goleniu, gdy tubylcy dali mu wyraźnie do zrozumienia, że zarost to obrzydlistwo i smród bijący w nos Wielkiej Białej Matki. Teraz opłakiwał jego zniknięcie. Nie tylko stracił swój patriarchalny wygląd, lecz musiał także pokazać światu cienką szyję.

Stagg zatrzymał się nagle naprzeciw lustra pokrywającego całą ścianę gigantycznej sali. Przyglądał się zachłannie swemu odbiciu: złotej koronie zwieńczonej czternastoma pinaklami, z których każdy ozdobiony był wielkim diamentem; nadmuchanej zielonej aksamitnej obroży okalającej mu szyję, nagiej piersi, na której wymalowano płonące słońce, szkarłatnej spódnicy z wyhaftowanym na przodzie czarnym, ogromnym falusem i śnieżnobiałym, sięgającym kolan, skórzanym butem. Oto król DeCe w pełnym, ceremonialnym stroju; napawało go to obrzydzeniem.

Zerwał koronę i cisnął nią przez salę. Uderzyła o ścianę i potoczyła się z powrotem wprost do jego stóp.

— Więc teraz jestem koronowanym władcą DeCe — wrzasnął. — Król Cór Columbii czy też, jak to mówią w tym ich zdegenerowanym amerykańskim Ken-a dot uh K'lumpaha. Jaki tam ze mnie król! Nie wolno mi wykorzystać żadnego z przywilejów, żadnej z prerogatyw, które powinien posiadać król. Rządzę w tym babskim kraju od dwóch tygodni, wyprawiali na mą cześć wszystkie możliwe szaleństwa. Dosłownie wyśpiewują moją chwałę, gdzie tylko się pojawię w towarzystwie tych pozbawionych piersi Strażniczek. Z wszelkimi honorami wprowadzono mnie dom Bractwa Wapiti — jeszcze raz powtórzę, że była to najniezwyklejsza uroczystość, w jakiej dane mi było uczestniczyć. I wybrali mnie Wielkim Wapiti Roku...

— Oczywiście, z twoim nazwiskiem musisz być Wapiti! Dobrze, że nie odkryli, że na drugie imię masz Leo. Mieliby cholerne kłopoty z decyzją, czy przypadkiem nie jesteś raczej Lwem. Tylko...

Zmarszczył brwi. Stagg wściekał się dalej.

Mówią, że jestem Ojcem mej Ojczyzny. Jeśli tak, to czemu mi na to nie pozwolą? Dlaczego nie mogę mieć baby tylko dla siebie? Kiedy się na to skarżę, ta śliczna suka, Wielka Kapłanka mówi, że nie mogę ani faworyzować ani dyskryminować żadnej z kobiet. Jestem ojcem, kochankiem i synem każdego babska w DeCe!

Calthorp miał coraz poważniejszą minę. Wstał z krzesła i podszedł do wielkich francuskich okien pierwszego piętra Białego Domu. Tubylcy sądzili, że pałac został tak nazwany na cześć Wielkiej Białej Matki, a antropolog, który wiedział lepiej, był wystarczająco inteligentny, by nie wszczynać kłótni na ten temat. Skinął na Stagga prosząc, by podszedł bliżej i spojrzał na zewnątrz.

Stagg podszedł, ale kichnął głośno i skrzywił się.

Calthorp wskazał mu palcem ulicę. Kilku mężczyzn dźwigało wielką beczkę na wóz.

— Gówniany biznes — powiedział Calthorp. — Przyjeżdżają każdego dnia i zbierają nawóz na pola. W tym kraju nawet najmniejsze pierdnięcie wykorzystywane jest na chwałę narodu i użyźnienie ziemi.

— Można by pomyśleć, że powinniśmy się już do tego przyzwyczaić — stwierdził Stagg. — Tymczasem odór wydaje się co dzień mocniejszy.

— Cóż, w Waszyngtonie to nic nowego. Kiedyś wachaliśmy smród bydła, teraz — ludzi.

Stagg uśmiechnął się.

— Któż mógłby pomyśleć, że Ameryka, kraj domków z dwoma łazienkami, cofnie się w rozwoju do poziomu drewnianych chałupek z serduszkami na drzwiach? Tyle tylko, że ich wygodki nie mają nawet drzwi! Dziwne. Przecież wiedzą, co to kanalizacja. My mamy nawet bieżącą wodę!

— Wszystko, co rodzi się z ziemi, musi do ziemi powrócić. Ci ludzie nie grzeszą przeciw Naturze, wpompowując do oceanów miliony ton fosfatów i innych związków che-

micznych, tak cennych dla rolnictwa. Nie przypominają nas, ślepych głupców, zabijających Ziemię w imię cywilizacji!

— Chyba nie po to zawołałeś mnie do okna, żeby wygłosić wykład?

— Właśnie że po to. Chciałem ci objaśnić korzenie tej kultury. No, przynajmniej spróbować. Sam nie wiem zbyt wiele. Większość czasu spędziłem ucząc się ich języka.

— To angielski. Lecz różni się od naszego tak, jak nasz różnił się od anglosaksońskiego. Lub nawet bardziej.

— Uległ degeneracji, w sensie lingwistycznym, szybciej niż można się było spodziewać. Prawdopodobnie na skutek odizolowania małych grup po Spustoszeniu. I dlatego, że niemal wszyscy są tu analfabetami. Umiejętność czytania i pisanie to niemal wyłącznie domena kapłanów i jejunów.

— Jejunów?

— Arystokracji. Myślę, że słowo to oznaczało pierwotnie tych, którzy jeżdżą na jełaniach. Tak jak hiszpańskie caballero i francuskie cavalier. Oba słowa oznaczały pierwotnie jeźdźców. Chciałbym pokazać ci kilka rzeczy, ale najpierw spójrz na te freski.

Przeszli na drugi koniec sali i stanęli przed wielkim, bardzo kolorowym malowidłem.

— Ten obraz — tłumaczył Calthorp — ilustruje podstawy kultury DeCe. Widzisz — wskazał na postać Wielkiej Białej Matki, górującą nad maleńkim pejzażem pól i gór i jeszcze mniejszymi ludźmi — jest zła. Pomaga swemu synowi, Słońcu, wypalić życie na Ziemi. Zwija błękitną tarczę, którą otoczyła kiedyś naszą planetę, by zatrzymać śmiertelne strzały swego syna.

Człowiek w swej ślepoty, zachłanności i arogancji plugawił daną mu od Boga Ziemię. Miasta, wielkie jak mrowiska, wyrzucały odpady do rzek i oceanów zamieniając je w ogromne ścieki. Śmiertelne dymy zatruwały powietrze. Przypuszczam, że były to nie tylko zanieczyszczenia przemysłowe, lecz także radioaktywne. W DeCe jednak nie oczywiście nie wiedzą o bombach atomowych.

I Columbia, nie mogąc już znieść człowieka, niewiernego i mordującego Ziemię, zerwała ochraniającą go tarczę — i zezwoliła Słońcu, by obróciło swe strzały na każdą żywą istotę.

— Widzę, jak na całej Ziemi umierają ludzie i zwierzęta — powiedział Stagg. — Na ulicach, na polach, na morzu i w powietrzu. Więdnie trawa, płoną drzewa. Ocalało tylko to, co miało szczęście znaleźć schronienie przed palącymi promieniami Słońca.

— Nazywasz to szczęściem? Ci ludzie i zwierzęta nie zginęli wprawdzie od poparzeń, ale przecież musieli coś jeść. Zwierzęta wypełzały z nor nocy, żarły padlinę i siebie nawzajem. Ludzie, którym nie starczyło konserwowanej żywności, zjadali zwierzęta. A gdy zabrakło zwierząt, byli przecież inni ludzie. Na szczęście śmiertelne promieniowanie bombardowało Ziemię względnie krótko, być może krócej niż tydzień. Póź-



niej Bogini złagodniała i znów osłoniła Ziemię swą tarczą.

— A czym dokładnie było to Spustoszenie?

— Mogę tylko przypuszczać. Pamiętasz, tuż przed naszym odlotem rząd powołał grupę naukowców mających zbadać i udoskonalić system globalnego przekazywania energii. W Ziemi, wystarczająco głęboko, by wykorzystać temperaturę jej jądra, miano zatopić rdzeń, a ciepło, przetwarzane na elektryczność, rozprowadzać przez jonosferę. Teoretycznie każdy system wykorzystujący energię elektryczną mógł pracować na tej mocy. Oznaczało to na przykład, że cały Manhattan mógłby ściągnąć z jonosfery energię potrzebną do oświetlenia i ogrzania budynków, zasilania telewizorów i, po zainstalowaniu silników elektrycznych, także napędzania pojazdów. Sądzę, że pomysł ten zrealizowano mniej więcej dwadzieścia pięć lat po naszym odlocie. Sądzę także, że obawy niektórych naukowców, przede wszystkim Cardona, były uzasadnione. Cardon twierdził, że pierwsza próba transmisji elektrycznej na skalę globalną zniszczy część powłoki ozonowej.

— O, Boże! — westchnął Stagg. — Jeśli zniszczono tarczę ozonową...

— ...to najkrótsze fale spektrum ultrafioletowego, nie absorbowane przez ozon, spadły na każde stworzenie wystawione na działanie promieni słonecznych. Zwierzęta, wliczając w to człowieka, padły od poparzeń. Sądzę, że rośliny opierały się nieco dłużej. Tak czy inaczej, skutki promieniowania były wystarczająco zabójcze, by uznać że odpowiadają za powstawanie wielkich pustyń, które widzieliśmy z orbity. Ale to nie wszystko. Natura, czy też jeśli wolisz — Bogini, po raz wtóry uderzyła ludzkość z trudem dźwigającą się na nogi. Procesy naturalne sprawiły, że dziura ozonowa znikła szybko. Lecz mniej więcej dwadzieścia pięć lat później, gdy tu i ówdzie zaczęły właśnie powstawać małe izolowane społeczności — a populacja ludzkości musiała spaść z dziesięciu miliardów do miliona w ciągu zaledwie roku — zaczęły nagle wybuchać wygasłe wulkany. Nie wiem, dlaczego. Być może i ten kataklizm spowodował człowiek patrosząc wnętrze naszej planety. Opóźnienie o ćwierć wieku świadczy, że Natura działa wolno, lecz skutecznie.

Zatonęła prawie cała Japonia. Znikła wyspa Krakatau. Wybuchły Hawaje. Sycylia rozpadła się na połowy. Manhattan zatonął w głębokim na kilka metrów morzu, a później wynurzył się znowu. Wybrzeże Pacyfiku zmieniło się w łańcuch ryczących wulkanów. Wybrzeże Morza Śródziemnego zmieniło się w miniaturę piekła. Fale pływowe zalewały ląd, zatrzymując się dopiero u podnóża gór. Góry zaś drżały i ci, którzy uciekli przed wściekłością oceanu, ginęli pod lawinami. Skutki: ludzkość cofnęła się w rozwoju do epoki kamienia łupanego, atmosferę nasycił dwutlenek węgla i pył powodujący, że w Nowym Jorku o klimacie subtropikalnym obserwowano wspaniałe zachody słońca, czapy lodowe zaczęły topnieć...

— Nic dziwnego, że w historii ludzkości powstała przerwa — stwierdził Stagg. — Ale

można by przypuścić, że powinni już przynajmniej wynaleźć proch!

— A to czemu?

— Czemu? Przecież wyrób prochu jest czymś tak łatwym, tak oczywistym!

Jasne. Tak łatwym i prostym, że ludzkość potrzebowała zaledwie pół miliona lat, by nauczyć się mieszać węgiel drzewny i azotan potasu w odpowiednich proporcjach, aby powstała substancja wybuchowa. To wszystko. A teraz wyobraź sobie taki podwójny kataklizm jak Spustoszenie. Znikły niemal wszystkie książki. W ciągu przeszło stulecia nieliczni ocaleli ludzie byli tak zajęci kurczowym czepianiem się życia, że nie starczało im czasu na najprostszą edukację dzieci. A w rezultacie: całkowity zanik wiedzy i niemal całkowita utrata historii. Dla tych ludzi świat został ponownie stworzony w 2100 A.D. lub 1 A.D. ich czasu. A.D. oznacza dla nich After the Desolation: Po Spustoszeniu. Mówią o tym ich mity.

Dam ci przykład. Uprawa bawełny. Kiedy odlatywaliśmy, nikt jej już nie uprawiał, bo tkaniny zastąpiono plastikami. Czy wiesz, że bawełnę odkryto ponownie zaledwie dwieście lat temu? Zboża i tytoń nigdy nie znikły całkowicie, lecz jeszcze przed trzystu laty ludzie ubierali się tu w skóry zwierząt, lub latali nago. Najczęściej nago.

Calthorp poprowadził Stagga od fresku z powrotem do okna.

— Dużo gadam, ale i tak nie mamy nic do roboty. Popatrz, Pete. Widzisz Waszyngton, czy raczej, jak to teraz nazywają Wasztyn, zupełnie inny od tego, który znaliśmy. Od czasu naszego odlotu miasto to było dwukrotnie zrównywane z ziemią i dzisiejsze zbudowano dwieście lat temu na ruinach dwóch poprzednich. Próbowano upodobnić je do pierwotnej metropolii, ale budowniczych natchnął inny Zeitgast. Więc budowali tak, jak nakazywały im ich wierzenia i mity.

Wskazał Kapitol. Pod pewnymi względami przypominał ten, który pamiętali. Lecz zamiast jednej kopuły miał dwie, a na każdej małą, czerwoną latarnię.

— Wymodelowano go na wzór piersi Wielkiej Białej Matki — ciągnął dalej Calthorp i wskazał na Pomnik Waszyngtona, stojący teraz około stu metrów na lewo od Kapitolu. Mniej więcej stumetrowa wieża ze stali i betonu pomalowana była w czerwone, białe i błękitne pasy i ozdobiona czerwoną okrągłą kopułką. — Nie trzeba ci chyba wyjaśniać, co to coś ma symbolizować. Mit mówi, że należał do Ojca tego Kraju; sam Waszyngton ma być podobno pod nim pochowany. Wczoraj wieczorem słyszałem tę opowieść z ust Jana Ziarna Jęczmienia, który odnosił się do niej z pełnym szacunkiem.

Stagg wyszedł przez otwarte francuskie okno na galerijkę ich mieszkania, otaczającą całe pierwsze piętro Białego Domu. Calthorp minął go i znikł za rogiem, po czym tam się zatrzymał. Stagg, który ruszył za nim po chwili, odnalazł antropologa opierającego się o barierkę rzeźbioną w kariatydy trzymające na głowach wielkie tace. Calthorp wskazał palcem na coś widocznego ponad wierzchołkami drzew pięknego sadu, rosnącego na dziedzińcu Białego Domu.

— Widzisz ten biały budynek z wielką figurą na szczycie? To Columbia, Wielka Biała Matka, obserwująca swój lud i strzegąca go. Dla nas jest tylko rzeźbą, przedmiotem kultu pogańskiej religii. Dla jej ludu, naszych potomków, jest jednak potężnym wcieleniem siły witalnej, rządzącej bezlitośnie i prowadzącej naród ku jego przeznaczeniu. Każdy, kto stanie na jej drodze, zostanie tak czy inaczej zmiażdżony.

— Widziałem tę świątynię, kiedy wjeżdżaliśmy do Waszyngtonu — powiedział Stagg. — Mijaliśmy ją w drodze do Białego Domu. Pamiętasz, Sarvant omal nie spalił się ze wstydu, kiedy zobaczył te rzeźby na murach.

— A co ty o nich sądzisz?

Stagg poczerwieniał i warknął:

— Myślałem, że jestem odporny na tego rodzaju rzeczy. Ale te rzeźby! Obrzydliwe, obsceniczne, całkowicie pornograficzne... i dekorują miejsce modlitwy!

Calthorp potrząsnął głową.

— To nie tak. Przecież uczestniczyłeś w dwóch ceremoniach. Miały w sobie wiele piękna, wiele dostojeństwa. Religia państwowa jest tu kuli płodności, a te postacie reprezentują różne mity. Opowiadają oczywiste prawdy o człowieku, który niegdyś, przez swą straszną dumę, omal nie unicestwił Ziemi. On sam, jego nauka, i jego arogancja zakłóciły równowagę natury. Teraz, gdy już ją przywrócono, zadaniem człowieka jest wydzwignięcie się z tego poniżenia przez pracę „ręka w rękę” z naturą, która dla tych ludzi jest żywą boginią; jej córki łączą się z herosami. Zauważyłeś może, że boginie i bohaterowie poprzez przedstawione w rzeźbach pozycje wyrażają wagę kultu natury i płodności.

— Doprawdy? W pozycjach, które widziałem, z pewnością nie zapłodnią niczego.

Calthorp uśmiechnął się.

— Columbia jest także boginią miłości erotycznej.

— Mam wrażenie, że pragniesz mi coś powiedzieć. W dość skomplikowany sposób. Mam także wrażenie, że nie polubię tego, co powiesz.

W tej chwili z pokoju, z którego przed chwilą wyszli, dobiegł ich dźwięk dzwonu. Pobiegli zobaczyć, co się dzieje.

Powitał ich ryk trąb i łomot bębnów. Do sali weszła orkiestra kapłanów-muzyków pobliskiego Uniwersytetu Georgetown. Muzycy byli dobrze odżywieni, tędzy; wykastrowali się sami na cześć Bogini... a także i po to, by na całe życie zdobyć pozycję gwarantującą prestiż i bezpieczeństwo. Jak kobiety, ubrani byli w bluzki z wysokimi kołnierzami i długimi rękawami i w sięgające kostek spódnice.

Za nimi wmaszerował Jan Ziarno Jęczmienia. Stagg nie znał jego imienia Jan Ziarno Jęczmienia było najwyraźniej tytułem. Nie miał także pojęcia, jaka jest rzeczywista pozycja tego człowieka w rządzie DeCe. Mieszkał na drugim piętrze Białego Domu i chyba zajmował się administracją kraju. Prawdopodobnie był kimś w rodzaju premie-

ra starożytnej Wielkiej Brytanii. Słoneczni Bohaterowie, jak niegdyś jej władcy, byli bardziej figurantami, łącznikami z darzoną wielkim szacunkiem tradycją, niż rzeczywistymi władcami. Tak przynajmniej wydawało się Staggowi, który z konieczności skazany został na domysły co do znaczenia wydarzeń, zachodzących w błyskawicznym tempie, podczas gdy on sam tkwił zamknięty w luksusowym więzieniu.

Jan Ziarno Jęczmienia był bardzo wysokim i bardzo chudym mężczyzną, lat około trzydziestu pięciu. Jego długie włosy ufarbowano na jasnozielony kolor, zielone też były okulary. Długi garbaty nos i całą twarz znaczyły popękane czerwone żyłki. Głowę osłaniał mu wysoki zielony cylinder, na szyi nosił korale z kłosów zboża. Pierś odkrywał. Jego kilt również był zielony; u pasa wisiała torba w kształcie liścia. Sandały miał żółte.

W prawej ręce trzymał oznakę godności: butelkę spirytusu.

— Witaj, człowieku i legendo — powiedział do Stagga. — Witaj, Słoneczny Bohaterze! Witaj, wierzgający, parszkający Rogaczu z rodu Wapiti! Witaj, Ojczyźnie Swego Kraju, Synu i Kochanku Wielkiej Białej Matki. — Pociągnął łyk spirytusu, wytarł usta i oddał butelkę Staggowi.

— Tego mi właśnie było potrzeba — mruknął kapitan i przechylił butelkę. Chwilę później, dławiąc się, kaszląc i płacząc oddał ją właścicielowi.

Ziarno Jęczmienia był zachwycony.

— Co za wspaniałe przedstawienie, o Szlachetny Wapiti! Sama Columbia musiała napełnić cię swą mocą, byś aż tak odczuł działanie białej błyskawicy. Zaiste, jesteś bogiem. Ja na przykład, nędzny śmiertelnik, kiedy spróbowałem jej po raz pierwszy, również odczułem tę moc. Muszę ci też wyznać, że gdy jako młodzieniec otrzymałem pierwszy urząd, odczuwałem obecność bogini w butelce równie mocno, jak ty sam. Lata służby wzmocniły mnie jednak aż do boskości, niech mi Columbia wybaczy tę śmiałość! Czy opowiadałem ci kiedyś, jak Bogini po raz pierwszy zamknęła błyskawicę w płynie w butelce? I jak ofiarowała ją pierwszemu człowiekowi, którym był nikt inny, tylko sam Waszyngton? I jak ponizające zachował się on, ściągając na nas gniew Bogini? Ach, opowiadałem. A więc do rzeczy. W imieniu Wielkiej Kapłanki przekazuję ci wieść — ooch! Co za radość!!! Jutro dzień narodzin Syna Wielkiej Białej Matki. I ty, o dziecie Columpii, narodzisz się jutro. A później będzie to, co było zawsze.

Wypił znowu, pokłonił się Staggowi omal przy tym nie padając na twarz, odzyskał jakoś równowagę i wytoczył się z sali.

Stagg próbował go przywołać.

— Hej, chwileczkę! Chcę wiedzieć, co się stało z moją załogą!

Jan Ziarno Jęczmienia mrugnął, zaskoczony.

— Mówiłem ci przecież, że mieszkają w domu na terenie Uniwersytetu Georgetown.

— Chcę wiedzieć, co się z nimi dzieje teraz, w tej chwili!

— Traktujemy ich bardzo dobrze. Mogą mieć wszystko, czego chcą... z wyjątkiem wolności. Tę oddamy im pojutrze.

— Czemu akurat pojutrze?

— Bo pojutrze ty też będziesz wolny. Oczywiście już się z nimi nie zobaczysz. Stಾನiesz na Wielkiej Drodze.

— A to co?

— Dowiesz się we właściwym czasie.

Ziarno Jęczmienia zwrócił się ponownie do wyjścia, ale Stagg pytał dalej.

— Powiedz mi, dlaczego trzymacie w klatce tę dziewczynę? Wiesz, tę „Maskotkę, pojmaną w napadzie na Caseyland”.

— To także zostanie ci objawione, Słoneczny Bohaterze. Teraz jednak sugeruję, byś ograniczył pytania — nie wypada pytać człowieka o twojej pozycji. Wielka Biała Matka objawi ci wszystko we właściwym czasie.

Po wyjściu Ziarna Jęczmienia Stagg zwrócił się do Calthorpa.

— Co za bzdury próbuje ukryć ten facet?

Mały antropolog skrzywił się.

— Też chciałbym wiedzieć. W końcu miałem dość ograniczone możliwości badania mechanizmów społecznych tej kultury. Tylko...

— Tylko co? — pytał zaniepokojony Stagg. Mały antropolog wyglądał bardzo ponuro.

— Jutro mamy przesilenie zimowe. Środek zimy; na półkuli północnej słońce świeci wtedy najślabiej i jest najbardziej przesunięte na południe. Według naszego kalendarza byłby to dwudziesty lub dwudziesty pierwszy grudnia. O ile pamiętam, w czasach prehistorycznych, a nawet historycznych była to bardzo ważna data. Wiązały się z nią różne ceremonie, takie jak... och!

Był to bardziej jęk niż okrzyk oznaczający przypomnienie sobie jakiegoś faktu.

Stagg zdenerwował się jeszcze bardziej. Miał właśnie spytać, o co chodzi, lecz przeważało mu kolejne wejście ryczącej w trąby i walącej w bębny orkiestry. Muzycy i ich otoczenie weszli, obrócili się, i padli na kolana krzycząc jednym głosem:

— Wielka Kapłanka, żywe ciało Dziewicy, córka Columbii! Święta panna! Piękna panna! Dziewica, co uwolni wściekłego rogacza — dzikiego, szalonego samca — ze swych świętych, słodkich objęć! Błogosławiona i przeklęta Dziewica!

Do sali weszła dumnie wysoka osiemnastoletnia dziewczyna, piękna mimo garbku na nosie i bardzo bladej cery. Pełne usta miała czerwone jak krew. Błękitne oczy patrzyły przenikliwie i nieruchomo niczym oczy kota. Wijące się włosy koloru miodu opadały aż na biodra. Była Dziewicą, absolwentką Szkoły Proroeków w Vassar i wcieloną córką Columbii.

— Witajcie, śmiertelni — powiedziała wysokim, czystym głosem.

Spojrzała na Stagga.

— Witaj, nieśmiertelny.

— Witaj, Dziewico — odpowiedział Stagg. Czuł, jak krew szybciej krąży mu w żyłach, a w piersiach i jądrach rodzi się ból. Ilekroć spotykał kapłankę, ogarniało go niemal szaleńcze pożądanie. Wiedział, że gdyby zostawiono go z nią sam na sam, wzięłby ją, nie oglądając się na konsekwencje.

Dziewica w żaden sposób nie dała po sobie poznać, czy wie, co się z nim dzieje. Obserwowała go zimnym, nieruchomym wzrokiem lwicy. Jak wszystkie maskotki, ubrana była w sięgający kostek strój z wysokim kołnierzem. Różnił się on od innych tylko tym, że cały pokryty był wielkimi perłami. Trójkątne wycięcie sukni obnażało duże sterczące piersi. Sutki miała uróżowane i otoczone białymi i niebieskimi obwódkami.

— Jutro, o nieśmiertelny, zostaniesz Dzieckiem i Kochankiem Matki. A więc musisz się przygotować.

— Jak mam się przygotować? I niby dlaczego?

Patrzył na kapłankę i czuł rosnący w ciele ból.

Dziewica skinęła ręką. Natychmiast pojawił się Jan Ziarno Jęczmienia, z pewnością czekający za drzwiami. Niósł teraz dwie butelki: jedną ze spirytusem, a drugą z jakimś czarnym kordialem. Kapłan eunuch podał mu kielich. Jan napełnił go czarnym płynem i wręczył kapłance.

— Wypić to możesz tylko ty, Ojczy Swego Kraju — powiedziała Dziewica przekazując kielich Staggowi. — Oto najlepsza boska woda styku...

Stagg wziął kielich. Patrzył na jego zawartość z niepokojem, choć udawał beztroskę.

— Co najlepsze? I z kim niby mam się zetknąć? No, pijemy. Nikt nie powie, że Peter Stagg nie przepije najlepszych z was. Doo...!

Ryknęły trąby, huknęły bębny. Zgromadzeni uderzyli w dłonie i krzyknęli radośnie.

Przez gwar przebił się głos Calthorpa.

— Kapitanie, pan nie zrozumiał! Ona powiedziała Styks, nie styk. Wody STYKSU. Nie pojmujesz...

Stagg pojął nagle, ale było już za późno. Pokój zawirował mu przed oczami, a ciemność nadleciała bezgłośnie, jak wielki czarny nietoperz.

Wśród dźwięku trąb i radosnych okrzyków runął jak długi na podłogę.

## Rozdział trzeci

— Co za kac!

— Obawiam się, że musi być rzeczywiście potworny — potwierdził głos, po którym Stagg z wysiłkiem rozpoznał Calthorpa.

Usiadł i jęknął oszołomiony bólem i szokiem. Stoczył się z łóżka, próbował wstać, słaby jak dziecko opadł na kolana, podniósł się wreszcie i zatoczył w kierunku trzech wielkich, ustawionych pod kątem luster.

Był nagi. Jądra pomalowane miał na niebiesko, członka na czerwono, pośladki na biało. O tym jednak nie myślał. Nie mógł myśleć o niczym oprócz tego, co sterczało mu z czoła na jakieś trzydzieści centymetrów, pod kątem czterdziestu pięciu stopni i rozgałęziało się na końcach.

Rogi! Co one tu robią!? Kto je tu umieścił!? Na Boga, jeśli tylko dostanę w swe ręce tego dowcipnisia... — spróbował wyrwać jeden z rogów. Krzyknął z bólu i pozwolił rękom opaść bezwładnie wzdłuż ciała. Patrzył w lustro. Na czole dostrzegł pasemko krwi.

To nie rogi — powiedział Calthorp. — To poroże. Lubię dokładność. Poroże; i nie to twarde, śmiertcionośne. Jest względnie miękkie, ciepłe, aksamitne w dotyku. Przyłoż kciuk, o tu, a poczujesz pulsowanie tętnicy biegnącej tuż pod powierzchnią skóry. Czy ci to kiedyś stwardnieje jak poroże, wybac mi ten dowcip, prawdziwego rogakza... tego nie wiem.

Kapitan był przerażony i szukał kogoś, na kogo mógłby się wściec.

— W porządku, Calthorp! — ryknął. — Brałeś udział w tym kretyńskim żarcie, co!? Bo jeśli tak, to rozszarpie cię na strzępy!

— Wyglądasz jak bestia i zaczynasz zachowywać się jak bestia — mruknął antropolog.

Stagg gotów był uderzyć go za tę manifestację niewczesnego humoru, lecz zauważył, że Calthorp jest blady i ręce mu się trzęsą. Jego jowialny humor maskował bardzo realny strach.

— W porządku — Stagga nieco się uspokoił. — Co się stało?

Drżącym głosem Calthorp opowiedział, jak to kapłani ponieśli bezwładne ciało kapitana do sypialni, jak napadł na nich tłum kapłanek, jak niemal oszalał z przerażenia pewny, że ciało kapitana zostanie rozszarpane na strzępy. Okazało się jednak, że walka była częścią rytuału i miały ją wygrać kapłanki.

Stagga zaniesiono do sypialni. Calthorp próbował iść za nim, ale go stamtąd dosłownie wykopano.

— Dość szybko pojąłem, o co chodzi. Nie chciały mieć w pokoju mężczyzny... z wyjątkiem ciebie. Nawet chirurgami były kobiety. Wierz mi, omal nie oszalałem, kiedy zobaczyłem, jak włożą do twojej sypialni z piłami, wiertłami, bandażami i tego rodzaju narzędziami. Zwłaszcza, gdy zorientowałem się, że są kompletnie pijane. Wszystkie te babska były zalane w trupa. Co za banda! W końcu Jan Ziarno Jęczmienia skłonił mnie do wyjścia. Powiedział, że dziś te baby mogą rozszarpać na kawałki każdego napotkanego mężczyznę. Napomknął, że nie wszyscy muzycy dobrowolnie zgodzili się na kapłaństwo... niektórzy nie byli po prostu dość bystrzy, by wystarczająco szybko zejść im z drogi w wigilię zimowego przesilenia. Zapytał mnie też, czy jestem Wapiti. Tylko bracia Wielkiego Rogacza mogą czuć się względnie bezpiecznie w dniu takim jak ten. Powiedziałem mu, że nie jestem Wapiti i że byłem członkiem Klubu Lwów choć od dawna zalegam ze składkami. Stwierdził, że w takim razie byłbym bezpieczny w zeszłym roku, gdy Słoneczny Bohater był Lwem, a teraz jestem poważnie zagrożony. Nalegał, żebym opuścił Biały Dom do czasu, gdy narodzi się Syn, czyli ty. Zrobiłem jak radził. Wróciłem o świcie, gdy oprócz ciebie nikogo tu już nie było. Siedziałem przy łóżku, póki się nie ocknąłeś. — Potrząsnął głową i cmoknął ze współczuciem.

— A wiesz — powiedział Stagga — coś mi się przypomina. Niewyraźnie i wszystko jest pomieszane, ale pamiętam jak oprzytomniałem po wypiciu tego tam Styksu. Byłem słaby i bezradny jak dziecko. Pamiętam hałas. Baby, wrzeszczące jakby same rodziły...

— Ty byłeś dzieckiem — przerwał Calthorp.

— Tak! Skąd wiesz?

— Sprawy układają się we wzór nie tak zupełnie nieznanym.

— Jeśli coś wiesz, powiedz — błagał Stagga. — W każdym razie przez cały czas byłem co najwyżej półprzytomny. Próbowałem się opierać, kiedy położyły mnie na stole, a białe jagnię na mnie. Nie wiedziałem, co chcę zrobić, dopóki nie podcięły mu gardła. Zalały mnie krwią od stóp do głów. Później zdjęły mnie ze stołu i zaczęły przeciskać przez wąski trójkątny otwór, zbudowany na pewno na szkielecie z metalu, ale otoczony czymś różowym, gąbczastym. Dwie kapłanki złapały mnie za ramiona i przeciągały na drugą stronę. Inne wyły jak upiory. Mimo, że byłem jak zaprawiony, krew zastygała mi w żyłach. W życiu nie słyszałeś czegoś aż tak przerażającego.

— I owszem, słyszałem — powiedział Calthorp. — Cały Waszyngton słyszał. Wszy-



scy dorośli obywatele miasta zgromadzili się przed wejściem do Białego Domu.

— Utknąłem w tym otworze i kapłanki ciągnęły mnie jak dzikie. Utknąłem ramionami. Poczułem nagle, jak w plecy wali mi strumień wody. Ktoś musiał polewać mnie z węża. Pamiętam, jak pomyślałem, że muszą tu mieć coś w rodzaju pompy, bo ciśnienie było straszne. W końcu wyslizgnąłem się przez ten otwór, lecz wcale nie spadłem na podłogę. Dwie kapłanki złapały mnie za nogi, podniosły w powietrze, przytrzymały głową w dół i waliły po pośladkach. Byłem tak zaskoczony, że wrzasnąłem na całe gardło.

— Do tego właśnie dążyły.

— Potem położyły mnie na innym stole. Oczyszczyły mi usta, nos i oczy. Śmieszne, ale przedtem wcale nie czułem, że coś w rodzaju galarety zapycha mi gardło i nos. Pewnie miałem jakieś kłopoty z oddychaniem, ale jakoś nie zdawałem sobie z tego sprawy... a później... później...

— Później?

Stagg zaczerwienił się.

— Później zaniósł mnie do potwornie grubej, ogromnej kapłanki leżącej na moim łóżku i podpartej poduszkami. Nigdy jej przedtem nie widziałem.

— Może przyjechała z Manhattanu? Ziarno Jęczmienia mówił mi, że tamtejsza kapłanka jest strasznie gruba.

— Strasznie to nieodpowiednie słowo — opowiadał dalej Stagg. — Tak wielkiej baby jeszcze nie widziałem. Założę się, że gdyby wstała, byłaby mojego wzrostu. A ważyła ze dwieście kilo. Leżała tak, cała upudrowana; potrzeba było z beczki pudru na to cielsko. Wyglądała jak królowa pszczół stworzona do tego, żeby tylko znosić miliony jaj i...

— I co?

— Położyły mnie tak, że leżałem głową na jej piersiach. Największych cycach na świecie, przysięgam. Wyglądały jak sama Ziemia; wyginały się gdzieś, za horyzontem. Złapały mnie za głowę i obróciły. Próbowałem walczyć, ale byłem taki słaby, że nic nie mogłem zrobić. Nic a nic. Poczułem się nagle jak małe dziecko. Nie byłem już dorosłym mężczyzną, byłem Peterem Staggiem, niemowlęciem. To musiał być efekt tego napoju; miał działanie hipnotyczne, przysięgam. W każdym razie poczułem... poczułem że jestem... jestem...

— Głodny? — zapytał cicho Calthorp.

Stagg skinął głową.

A później, najwyraźniej pragnąc zmienić temat, dotknął czoła i powiedział:

— Hmm, obsadzili solidnie te rogi.

— Poroże — poprawił go Calthorp. — Ale nadal możesz nazywać je rogami. Zauważyłem, że i w DeCe także używają niewłaściwego określenia. Cóż, nawet jeśli nie różnią rogów od poroża, to w każdym razie ich naukowcy są wspaniałymi biologami.

Może i niewiele wiedzą o fizyce i elektronice, ale operacje przeprowadzają jak artyści. Przy okazji; to poroże to więcej niż tylko symbol lub ornament. Ono żyje. Stawiam tyśiąc do jednego, że zawiera gruczoły pompujące ci w krew kupę różnych hormonów.

Stagg drgnął.

— A to dlaczego?

— Po pierwsze: Ziarno Jęczmienia parokrotnie coś mi napomykał. Po drugie: świadczy o tym fakt, że błyskawicznie przychodzisz do siebie po tak trudnej operacji. W końcu musieli wyciąć ci w czaszce dwie dziury, wszczepić poroże, podwiązać naczynia krwionośne, włączyć je w krwioobieg i Bóg jeden wie, co jeszcze.

— Ktoś za to zapłaci — warknął Stagg. — To robota tej Dziewicy! Rozerwę ją na kawałki przy najbliższej okazji. Już mi się znudziło przestawianie z kąta w kąt.

Calthorp przyglądał mu się z niepokojem.

— Lepiej się czujesz? — zapytał.

Stagg rozdał nozdrza i wałnął się w pierś.

— Już tak. Czuję się doskonale. Tylko jedno: jestem głodny jak niedźwiedź, który właśnie obudził się z zimowego snu. Jak długo byłem nieprzytomny?

— Około trzydziestu godzin. Na dworze robi się już ciemno.

Calthorp przyłożył dłoń do czoła kapitana.

— Masz gorączkę. Nic dziwnego. Twoje ciało płonie jak stos tworząc nowe komórki na prawo i lewo i jak oszalałe pompuje ci w krew hormony. Musisz podrzucić do ognia.

Stagg rąbnął pięścią w stół.

— I muszę się napić. Płonę!

Zaczął walić w gong, aż dźwięk rozległ się w całym pałacu. Służba wbiegła przez otwarte z hukiem drzwi, niosąc pełne tace i puchary, jakby tylko czekała na sygnał.

Stagg, zapominając o jakichkolwiek normach zachowania, wyrwał tacę z rąk najbliższego służącego i zaczął pakować sobie do gardła mięso, ziemniaki, sos, kukurydzę, pomidory, chleb i masło, przerywając mielenie ich gwałtownie poruszającymi się szczękami tylko po to, by spłukać jedzenie wielkimi haustami piwa. Odpadki spadały mu na nagę, ochlapaną piwem pierś, lecz, chociaż zawsze jadał bardzo schludnie, tym razem nie zwracał na to uwagi.

Tylko raz, po potężnym beknięciu, które omal nie zważyło z nóg najbliższego służącego, ryknął:

— Mogę przejeść i przepić... — Przerwało mu drugie beknięcie, po którym rzucił się na jedzenie jak świnia.

Patrząc nań Calthorp poczuł, że dostaje mdłości; nie tylko dlatego, że widzi to, co widzi, lecz przede wszystkim dlatego, że to r o z u m i e. Najwyraźniej hormony zawarte w porożu zmywały wszelkie cywilizowane nawyki, redukując człowieka do zwierzęcej

części jego natury.

W końcu Stagg wstał. Brzuch sterczał przed nim jak u goryla. Zabębnił pięściami w pierś i wrzasnął:

— Czuję się wspaniale, wspaniale! Hej, Calthorp, ty też powinieneś sprawić sobie parę rogów. Ach prawda, zapomniałem, przecież masz rogi! To dlatego opuściłeś Ziemię, ha, ha, ha!

Mały antropolog z twarzą czerwoną i skrzywioną we wściekłym grymasie skrzeknął, po czym rzucił się na Stagga. Śmiejąc się ciągle, kapitan złapał go za koszulę i przytrzymał na odległość wyciągniętego ramienia, choć Calthorp klął wściekle i bezradnie wywijał krótkimi rączkami. Nagle poczuł, jak podłoga ucieka mu spod nóg. Z wielką siłą rąbnął w coś plecami, rozległ się głuchy dźwięk i półprzytomny, nieświadomie próbujący wstać antropolog, zdał sobie sprawę, że został ciśnięty na gong.

Poczuł, jak wielka ręka zaciska się na przegubie jego dłoni i podrywa go w górę. Przerażony myślą, że Stagg go teraz wykończy, zacisnął pięść i zamachnął się dzielnie, wymierzając słabiutki cios. Lecz nagle opuścił dłoń.

Stagg płakał.

— Wielki Boże, co się ze mną stało? Musiałem oszaleć, kompletnie oszaleć, żeby zrobić coś takiego tobie, mój najlepszy przyjacielu. Co się stało. Jak mogłem?

Szlochając objął Calthorpa i przytulił go do swej szerokiej piersi. Czując jak trzeszczą mu zębra, Calthorp wrzasnął głośno. Stagg puścił go, sprawiając wrażenie urażonego.

— W porządku, nie gniewam się — powiedział Calthorp oddalając się nieznacznie od kapitana. Zrozumiał, że nie odpowiada on już za swoje czyny. Pod wieloma względami był jak dziecko, a dzieci nigdy nie są wyłącznie egoistyczne, często bywają też bardzo wrażliwe. Stagg był rzeczywiście zmartwiony i zawstydzony.

Calthorp podszedł do okna i wyjrzał.

— Na ulicy aż się roi od ludzi — powiedział. — Pełno pochodni. Pewnie będziemy dziś mieli kolejną wielką prywatkę. — Nawet w jego uszach te słowa zabrzmiały fałszywie. Doskonale wiedział, że naród DeCe zebrał się na ceremonię, na której jego kapitan będzie gościem honorowym.

— Masz chyba na myśli publiczkę — poprawił go Stagg. — Tutaj na party dzieje się wszystko bez wyjątku. Wszelkie normy zostają odrzucone jak skóra węża... i nieważne, kto na tym ucierpi.

A później powiedział coś, co zdumiało Calthorpa.

— Mam nadzieję, że szybko zaczną. Im szybciej tym lepiej.

— Na miłość Boską, co ty gadasz? Przecież widziałeś wystarczająco wiele, by wleźć pod łóżko ze strachu!

— Nie wiem. Ale czuję coś, czego nie czułem nigdy w życiu. Czuję wolę i moc, prawdziwą moc, najprawdziwszą, jak nigdy przedtem. Czuję się... czuję się... jak bóg! Bóg!

Nabrzmiwam potęgą świata. Chciałbym wybuchnąć! Ty tego nie zrozumiesz. Żaden człowiek tego nie pojmie.

Za oknem wrzeszczały biegnące ulicą kapłanki.

Mężczyźni zamilkli, nasłuchując. Nieruchomi niczym posągi słuchali pozorowanej walki między kapłankami a Strażniczkami. Po chwili włączyli się w nią Wapiti, pokonując kapłanki.

A potem na korytarzu rozległ się tupot i Wapiti uderzyli masą w drzwi ich pokoju z siłą, która wyrwała je z zawiasów.

Porwali Stagga, usadzili go na ramionach i wynieśli.

Człowieczeństwo wróciło mu na chwilę w momencie porwania. Odwrócił się i krzyknął: „Pomóż mi, doktoru. Ratunku!”

Calthorp mógł już tylko płakać.

## Rozdział czwarty

Było ich ośmiu: Churchill, Sarvant, Lin, Yastzhembski, Al-Masyuni, Steinborg, Gbwehun i Chandra. Wraz z nieobecnymi Staggiem i Calthorpem dziesiątka ta ocalała z trzydziestoosobowej załogi Terry, która opuściła Ziemię osiemset lat temu. Ośmiu kosmonautów zebranych w wielkiej świetlicy budynku, w którym więziono ich przez sześć tygodni, słuchało Tomasza Tytonia.

Jak nazywano go po urodzeniu — nie wiedzieli; w każdym razie na pewno inaczej. Oczywiście zapytali o właściwe imię, ale otrzymali odpowiedź, że nie wolno go wymawiać. W chwili, gdy został Tomaszem Tytoniem przestał być człowiekiem i stał się „palem”. Najwyraźniej „pal” oznaczało półboga.

— Gdyby wszystko było normalnie — mówił właśnie Tomasz Tytoń nie ja bym z wami rozmawiał, lecz Jan Ziarno Jęczmienia. Wielkiej Białej Matce spodobało się jednak zakończyć jego życie przed Świętem Zasiewów. Odbyły się wybory i ja, wódz wielkiego bractwa Tytoniu, zająłem jego miejsce jako władca DeCe. Będę nim, dopóki się nie zestarzeję i nie osłabnę. A wtedy stanie się to, co ma się stać.

W krótkim czasie, który załoga statku kosmicznego spędziła w Waszyngtonie, kosmonauci zdołali opanować fonologię, morfologię, składnię i podstawy słownika standardowego języka DeCe. Maszyny z laboratorium Terry umożliwiły im płynne posługiwanie się deceańskim, choć nie potrafili akcentować słów jak tubylcy i pewnie nigdy się tego nie nauczą. Znacznie zmieniła się sama struktura angielskiego, pojawiły się nowe zgłoski, których nigdy nie było ani w nim, ani nawet w żadnym z jego germańskich korzeni. Używano nowych słów o nieznanym pochodzeniu; połączenie przycisku i modulacji głosu miało poważny wpływ na znaczenie. Co więcej, nieznanomość kultury DeCe ograniczała możliwości porozumienia, a na dodatek Tomasz Tytoń z trudnością posługiwał się standardowym deceańskim. Urodził się i wychował w Norfolk w Wirginii; mieście najbliższym południowej granicy DeCe. Norfolkski, czyli nafek, różnił się od waszingu (czyli waszyngtońskiego) mniej więcej tak jak hiszpański od francuskiego czy szwedzki od islandzkiego.

Tomasz Tytoń, podobnie jak jego poprzednik Jan Ziarno Jęczmienia, był wysoki i chudy. Nosił brązowy cylinder, napierśnik z usztywnionego płótna wycięty w kształcie liścia tytoniu, brązową pelerynę, zielonkawy kilt z zawieszonym u pasa półmetrowym cygarem i brązowe buty do pół łydki. Jego długie włosy były również brązowe; okulary — służące wyłącznie do dekoracji — miały przyciemnione na brązowo szkła, a w poczerniałych od nikotyny zębach tkwiło niezmiennie cygaro. Nie przestając mówić, Tomasz Tytoń wyjął cygara z kieszeni kiltu i poczęstował nimi obecnych. Zapalili wszyscy oprócz Sarvanta. Cygara okazały się wyśmienite.

Tomasz Tytoń wypuścił z ust kłęb zielonkawego dymu i powiedział:

— Zostaniecie uwolnieni w chwili, kiedy stąd wyjdę. Czyli wkrótce, bowiem jestem człowiekiem bardzo zajęтым. Muszę podjąć wiele decyzji, podpisać wiele dokumentów, pełnić wiele funkcji. Mój czas nie należy do mnie, lecz do Wielkiej Białej Matki.

Churchill pykał z cygara zbierając myśli. Jego koledzy, jak zwykle, mówili jeden przez drugiego, jednak milkli zawsze, gdy zabierał głos. Nie tylko dlatego, że jako porucznik, był pod nieobecność Stagga ich oficjalnym dowódcą — siła osobowości czyniła go przywódcą prawdziwym.

Churchill był niewysokim mężczyzną o krótkiej szyi i potężnych mięśniach rąk i nóg. Jego twarz, choć z pozoru dziecinna, zdradzała mocny charakter; włosy miał rude, a na policzkach ślady piegów. Niebieskie oczy, okrągłe i dziecinne, nos krótki, kartoflowaty mogły na pierwszy rzut oka nadawać mu wygląd bezradnego dziecka, lecz cechował go także dziecięcy talent komenderowania wszystkimi, którzy go otaczali. Dźwięczny niski głos doskonale uzupełniał ten portret.

— Jest pan z pewnością bardzo zajęty, panie Tytoniu — przemówił wreszcie — ale chyba nie do tego stopnia, by nie móc nas poinformować, o co w ogóle tu chodzi. Jesteśmy więźniami. Nie pozwolono nam skontaktować się z naszym dowódcą i doktorem Calthorpem. Mamy powody podejrzewać, że spotkali się z nieczystym zagranieniem. Lecz ilekroć o nich pytamy, pan odpowiada: „Stanie się to, co ma się stać”. Bardzo to pięknie! Bardzo pocieszające! Panie Tytoniu, domagam się odpowiedzi na nasze pytania. Niech się panu nie wydaje, że strażnicy, których postawił pan pod drzwiami, ocalą pana od rozszarpania na części tu i teraz. Żądamy odpowiedzi i chcemy je uzyskać natychmiast!

— Proszę wziąć cygaro. I ochłonać. Z pewnością jest pan w trudnej sytuacji, niewiele pan wie i to pana gniewa. Tylko proszę nie mówić mi o prawach. Nie jesteście obywatelami DeCe i to stawia was w niezmiernie delikatnej sytuacji. Udzielę wam jednak kilku odpowiedzi; po to zresztą tu przyszedłem. Po pierwsze: zostaniecie zwolnieni. Po drugie: macie miesiąc na przystosowanie się do naszego życia. Po trzecie: jeśli pod koniec tego miesiąca nie zdradzicie zadatków na dobrych obywateli DeCe, zostaniecie zabici. Nie wygnani, lecz zabici. Gdybyśmy odprowadzili was pod eskortą do granicy, przyczy-

nilibyśmy się do zwiększenia populacji naszych wrogów. Tego nie mamy zamiaru czynić.

— Cóż, przynajmniej wiemy, na czym stoimy. Choć w gruncie rzeczy niewiele nam to wyjaśnia. Czy będziemy mieli dostęp do Terry? Na statku są rezultaty dziesięciu lat unikalnych badań.

— Nie. Ale własność prywatna zostanie wam zwrócona.

— Dzięki. Czy wie pan, że oprócz paru książek nie mamy właściwie własności prywatnej? Jak będziemy zarabiać na życie nie mając pracy? Pracy, o którą w tak prymitywnym społeczeństwie może nam być raczej trudno.

— Doprawdy, nie mam pojęcia. W każdym razie nie odebraliśmy wam życia. Byli tacy, którzy uznali to za zbytnią hojność.

Tomasz Tytoń włożył dwa palce w usta i gwizdnął. W drzwiach pojawił się mężczyzna, trzymający w rękach niewielką torbę.

— Muszę już iść, panowie. Sprawy wagi państwowej. Jednakże, ponieważ nie chcemy, byście łamali prawa tego błogosławionego kraju na skutek niewiedzy, i by nie zechciało wam się na przykład kraść, człowiek ten objaśni wam nasze prawa i pożyczy sumę pieniędzy wystarczającą do przeżycia przez tydzień. Zwróćcie je nam po znalezieniu pracy. Jeśli znajdziecie pracę. Niech was Columbia błogosławi!

Godzinę później ośmiu mężczyzn stało przed budynkiem, z którego właśnie ich wyprowadzono. Kres niewoli nie przyniósł ulgi; czuli się raczej oszołomieni i bezradni. Churchill przyjrzał się im, i chociaż odczuwał to samo, powiedział:

— Na litość boską, rozchmurzcie się! Co się z wami dzieje? Przecież bywało gorzej. Pamiętacie, jak na Wolf 69 III płynęliśmy na tratwie przez te jurajskie rozlewiska? Jak napadł na nas ten baloniasty stwór, przewrócił tratwę, straciliśmy broń i wracaliśmy na statek piechotą, z gołymi rękami? Było gorzej niż teraz, a przecież nie wyglądaliśmy jak siedem nieszczęść. Co się stało? Aż tak się zmieniliście?

— Obawiam się, że tak — odpowiedział Steinborg. — Przyczyna nie leży w tym, że straciliśmy odwagę; po prostu oczekiwaliśmy zbyt wiele. Łądując na nieznaną planetę spodziewaliśmy się niespodzianek i nieszczęść. Byliśmy ich pewni. A Ziemia... no, po prostu spodziewaliśmy się zbyt wiele. A poza tym jesteśmy bezbronni. Pozbawiono nas broni i jeśli wpadniemy w kłopoty, nie możemy zwyczajnie utorować sobie strzałami drogi do statku.

— I pewnie macie zamiar tak tu stać i czekać na szczęśliwe zakończenie? Na litość boską! Jesteście śmietanką; wybrano was z dziesiątków tysięcy kandydatów z uwagi na inteligencję, wykształcenie, pomysłowość i sprawność fizyczną. Jesteście rozbitkami wśród krajowców nie mających pojęcia o rzeczach, które wy macie w małym palcu. Ludzie, powinniście się czuć bogami, a trzęsiecie się jak myszy!

— Zamknij się — warknął Lin. — To po prostu szok. Nie wiemy co robić i tego się

obawiamy.

— Cóż, ja nie mam zamiaru czekać aż ktoś weźmie mnie za rączkę i poprowadzi. Mam zamiar działać — teraz, od razu.

— A co dokładnie zamierzasz? — zainteresował się Yastzhembski.

— Pospaceruję sobie po Waszyngtonie, póki nie zdarzy się jakaś okazja. A wy, jeśli chcecie pójść ze mną, proszę bardzo. A jeśli nie chcecie, to też dobrze. Mogę być waszym dowódcą, ale nie mam zamiaru zostać niańką.

— Nie rozumiesz — tłumaczył Yastzhembski. — Sześciu z nas nie pochodzi nawet z tego kontynentu. Ja na przykład chciałbym wrócić na świętą ziemię Syberii, Gbwehun chce wrócić do Dahomeju, Chandra do Indii, Al-Masyuni do Mekki, a Lin do Szanghaju. Ale to raczej niemożliwe. Pewnie Steinborg mógłby powrócić do Brazylii, ale zastałby tam tylko pustynię, dżunglę i dzikich krajowców. Więc...

— Więc musicie zostać tutaj i spróbować zrobić to, co nam poradził Tytoń — dostosować się. Przynajmniej ja mam zamiar to zrobić. Kto jeszcze?

Nie czekając na odpowiedź ruszył przed siebie ulicą, nie oglądając się do tyłu. Zatrzymał się jednak za rogiem, przyglądając się grupce nagich chłopców i dziewcząt grających w piłkę.

Po mniej więcej pięciu minutach westchnął. Najwyraźniej został sam.

Mylił się. Miał właśnie ruszyć dalej, gdy usłyszał głos krzyczący: „Poczekaj!” Był to Sarvant.

— A gdzie inni?

— Azjaci postanowili wrócić do siebie. Pewnie jeszcze się kłóca, czy ukraść łódkę i płynąć przez Atlantyk, czy też ukraść jelenie i dotrzeć na nich do Cieśniny Beringa, przez którą mogliby przepłynąć na Syberię.

— Muszę przyznać, że ci faceci mają największe jaja na świecie... albo najmniejsze mózgi. Naprawdę myślą, że to się może udać? I że tam będzie im lepiej niż tu?

— Tego nie wiedzą. Są po prostu zdesperowani.

— Chciałbym wrócić i życzyć im szczęścia. Ale pewnie skończyłoby się na tym, że próbowałbym wybić im z głowy ten szalony pomysł. Odważni ludzie. Powiedziałem o myszach tylko po to, żeby ich sprowokować. Chyba za dobrze mi się udało.

— Przekazałem im twoje błogosławieństwo, chociaż prawie wszyscy są agnastykami. Obawiam się jednak, że ich kości pozostaną na tym kontynencie.

— A co z tobą? Masz zamiar spróbować dotrzeć do Arizony?

— Z tego, co widziałem z orbity wynika, że w Arizonie nie ma nie tylko zorganizowanego rządu, ale nawet obywateli. Spróbowałbym dojść do Utah, ale i ono nie wygląda obiecująco. Wyszło nawet Wielkie Słone Jezioro. Nie ma do czego wracać. Mniejsza z tym. Starczy mi tutaj roboty na całe życie.

— Roboty? Chyba nie chcesz zostać kaznodzieją!? — Churchill przyjrzał się Sarvan-



towi z niedowierzaniem, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

Nephi Sarvant był niski, szczupły, ciemnowłosy. Szczękę miał tak wydatną, że wydawało się, że sterczy do góry, a usta o cienkich wargach sprawiały wrażenie jednej prostej linii. Nos sterczał mu niemal tak jak szczęka i, zakrzywiony w dół, wydawał się jej dotykać. Koledzy twierdzili, że Sarvant z profilu przypomina dziadka do orzechów.

Jego wielkie piwne oczy, zawsze bardzo wymowne, wydawały się teraz świecić jakimś wewnętrznym światłem. Błyszczały tak i w czasie podróży, gdy wynosił pod niebo zasługi swego kościoła, jedyne prawdziwego kościoła na Ziemi. Należał do radykalnego odłamu sekty Ostatnich Wiernych: ortodoksyjnej gałęzi religii, która uległa „urbanizacji” jak wiele innych. Uważani niegdyś za szczególnych ludzi, członkowie tej sekty różnili się od innych chrześcijan tylko tym, że ciągle jeszcze chodzili do swych kościołów. Ale duchowy płomień wygasł.

Została tylko grupa, do której należał Sarvant. Nie popełniła, mówiąc jej słowami, „grzechów przyjaciół”. Zebrała się w całości w mieście o nazwie Czwarty Lipca, w Arizonie, i stamtąd rozsyłała misjonarzy w obojętny lub rozbawiony świat.

Sarvant został wybrany w skład załogi Terry jako najwyższej klasy autorytet w dziedzinie geologii. Warunkiem przyjęcia jego kandydatury było zobowiązanie, że nie będzie próbował nikogo nawracać. I nie próbował, przynajmniej nie bezpośrednio. Ale rozdał wszystkim Biblię swego Kościoła z prośbą, by ją tylko przeczytali. I udowadniał jej prawdziwość w rozmowach.

— Oczywiście, że zamierzam zostać kaznodzieją! Ten kraj czeka na Ewangelię tak, jak czekał na nią przed Kolumbem. Coś ci powiem, Rud. Kiedy zobaczyłem, jak kompletnie zniszczony jest Południowy Zachód, byłem zrozpaczony. Wydawało mi się, że mój Kościół został zmieciony z powierzchni ziemi i że był fałszywy, bo miał trwać wiecznie. Lecz modliłem się i doznałem objawienia. Przecież ja żyję! I za moim pośrednictwem Kościół może ożyć znowu, potężny jak nigdy. Przecież ci poganie, już nawróceni, staną się Pierwszymi Uczniami. Słowa Księgi wzniecą płomień. Widzisz, my, Ostatni Wierni, niewiele mogliśmy osiągnąć wśród chrześcijan, bo oni wierzyli, że mają już swój prawdziwy Kościół. Ale dla nich ten prawdziwy kościół był tylko czymś w rodzaju klubu. Nie kroczyli ścieżką Prawdy i Życia, jedyną ścieżką. Nie...

— Jasne, rozumiem — przerwał mu Churchill. — I mogę ci tylko powiedzieć, żebyś mnie w to nie mieszał. I tak już sprawy kiepsko stoją. No, ruszajmy.

— Gdzie?

— Gdzieś, gdzie będziemy mogli przehandlować te głupie ciuchy na miejscowe ubrania.

Szli ulicą Konchy. Biegła z północy na południe i Churchill miał wrażenie, że jeśli pójda na południe, trafią w końcu do portu. A w porcie, jeśli nie wszystko się zmieniło, znajdą niejednego sklep, w którym będą mogli zamienić ubrania i przy okazji być może

trochę zarobić. W tym miejscu wzdłuż ulicy stały rezydencje bogaczy i wielkie budynki rządowe. Dobrze utrzymane ogrody oddzielały od drogi domy prywatne z cegły i kamienia, przeważnie jednopiętrowe, szerokie, ze skrzydłami dobudowanymi pod kątem prostym, kolorowe i bogato dekorowane. Przed każdym z nich stał duży totem, najczęściej kamienny, bowiem drzewo zastrzeżone było do budowy statków, wozów, bronni służyło też jako opał w kuchniach. Ceglane i marmurowe gmachy rządowe stały tuż przy ulicy. Miały koliste ściany i otwarte portyki podtrzymywane smukłymi kolumnami. Przykryte były kopułami wieńczonymi rzeźbą.

Churchill i Sarvant szli asfaltową ulicą (chodników nie było) przez dziesięć przecznic. Od czasu do czasu musieli odskakiwać pod ściany chroniąc się przed dosiadającymi jeleni jeźdźcami i pędzącymi powozami. Jeźdźcy byli bogato ubrani i najwyraźniej spodziewali się, że piesi zejda im z drogi, gdyż w przeciwnym razie zostaną strataniani. Mężczyźni pędzący w powozach sprawiali wrażenie posłańców lub kurierów.

Otoczenie zmieniło się nagle na gorsze. Gmachy napały na ulicę, z rzadka tylko oddzielone alejkami. Były to najwyraźniej budynki rządowe sprzedane drobnym przedsiębiorcom i zamienione na sklepiki i mieszkania do wynajęcia. Na ulicy bawiły się nagie dzieci. Było tu znacznie brudniej.

Churchill znalazł sklep. Wszedł; Sarvant deptał mu po piętach. Mały pokoik zawalony był wszelkiego rodzaju ubraniami. Okno wystawowe i cementowa podłoga lepiły się od brudu. Powietrze wypełniał odór psich szczyn. Dwa kundle próbowały wskoczyć na przybyszów.

Właściciel był niski i brzuchaty. Na szyję spływały mu dwa podbródki, a w uszach wisiały wielkie mosiężne kolczyki. Wyglądał jak każdy tego rodzaju sklepikarz we wszystkich wiekach, choć jego twarz miała charakterystyczny jeleni kształt.

— Chcemy sprzedać ubrania powiedział Churchill.

— A są coś warte?

— Jako stroje, niewiele. Ale jako ciekawostka nie mają ceny. Jesteśmy ze statku kosmicznego.

Oczy właściciela rozszerzyły się wyraźnie.

— Ach, jesteście braćmi Słonecznego Bohatera?

Churchill nie pojmował, jakie ma to znaczenie. Wiedział tylko to, co Tomasz Tytoń powiedział im w rozmowie — Stagg jest jakimś Słonecznym Bohaterem.

— Jestem pewien — ciągnął — że każdą część tych ubrań sprzedasz za okrągłą sumkę. One były wśród gwiazd; tak daleko, że gdybyś chciał tam zajść na piechotę nie jedząc i nie śpiąc po drodze, i tak zajęłoby ci to z połowę wieczności. W tej tkaninie zakłete są promienie obcych słońc i powietrze innych światów. W butach utkwiliły grudki ziemi, po której stapały z hukiem lawiny potwory większe od twojego domu...

Na handlarzu nie wywarło to żadnego wrażenia.

— Ale czy Słoneczny Bohater dotykał kiedyś tych strojów?

— Wielokrotnie. Nosił nawet tę kurtkę...

— Ach!

Sklepikarz zorientował się nagle, że zdradza swe uczucia. Zasłonił oczy powiekami i twarz mu znieruchomiała.

— Wszystko pięknie, ale jestem ubogim człowiekiem. Żeglarze, którzy u mnie kupują, nie są bogaczami. Jak już wyjdą z ostatniej gospody gotowi są raczej sprzedać własne ubrania.

— Pewnie to i prawda. Ale jestem przekonany, że masz swoje kontakty, przez które możesz sprzedać te rzeczy zamożnym patronom.

Sklepikarz wyjął kilka monet z kieszeni swego kiltu.

— Dam wam za wszystko cztery kolumbie.

Churchill skinął na Sarvanta i ruszył w stronę drzwi. Handlarz zabiegł im drogę.

— Może mógłbym dać wam pięć.

Churchill wskazał palcem na kilt i sandały.

— A to ile jest warte?

— Trzy ryby.

Churchill zamyślił się. Kolumbia równała się mniej więcej pięciodolarówce z ich czasów. Ryba równała się dwudziestu pięciu centom.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że zarobisz na mnie z tysiąc procent. Chcę dwudziestu kolumbii.

Sklepikarz wyrzucił ręce w górę gestem rozpacz.

— Skończ z tym cyrkiem. Mogę się przejść od domu do domu w dzielnicy bogaczy i zarobić fortunę. Ale nie mam czasu. Dajesz dwadzieścia czy nie. Pytam po raz ostatni.

— Odbieracie chleb od ust moim głodnym dzieciom, ale... daję!

Dziesięć minut później dwaj kosmonauci opuścili sklep ubrani w sandały, kilty i okrągłe kapelusze o szerokich miękkich rondach. Przy szerokich skórzanych pasach wisały pochwy, a w nich długie stalowe noże. W kieszeni mieli po osiem kolumbii, a w rękach torby z ponchami od deszczu.

— Następny przystanek: doki powiedział Churchill. Zarabiałem kiedyś na studia wynajmując w lecie jacht bogaczom.

Wiem, że umiesz żeglować. Nie pamiętasz, jak dowodziłeś żaglówką, którą ukradliśmy uciekając z więzienia na Vixie?

— Zapomniałem. Teraz chcę tylko znaleźć pracę. Potem możemy trochę powęszyć. Może odkryjemy, co się stało ze Staggiem i Calthorpem?

— Rud, masz na myśli coś więcej niż tylko chęć znalezienia pracy. Dlaczego akurat łódź? Znam cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie myślisz jednotorowo.

— W porządku. Wiem, że nie będziesz chlapać ozorem. Jeśli znajdziemy odpowied-

nią łódź, skontaktujemy się z ludźmi Yastzhembskiego i popłyniemy do Azji przez Europę.

— Miło to słyszeć. Już myślałem, że ich opuściłeś, — że umyłeś ręce. Tylko jak się odnajdziemy?

— Chyba kpisz — Churchill roześmiał się. — Wystarczy zapytać w najbliższej świątyni.

— Świątyni?

— Jasne! Rząd oczywiście będzie miał nas na oku. A właściwie już ma. Jakiś facet śledzi nas od czasu, kiedy opuściliśmy więzienie.

— Gdzie?

— Nie odwracaj się. Później ci go pokażę. Idź przed siebie.

Churchill zatrzymał się nagle. Drogę zagroziła mu grupa klęczących na ulicy mężczyzn. Można ich było łatwo obejść, ale Churchill stał i patrzył.

— Co oni robią? — zapytał Sarvant.

— Grają w dwudziestodzieciowieczną wersję kości.

— Nie wolno mi nawet patrzeć na grę! Mam nadzieję, że nie chcesz się do nich przyłączyć?

— A właśnie, że chcę.

— Rud, nie! — Sarvant próbował powstrzymać Churchilla kładąc mu dłoń na ramieniu. — To się źle skończy.

— Jestem z innej parafii, proszę księdza dobrodzieja. Pewnie trzymają się reguł. Tylko tego mi trzeba! — Wyjął z kieszeni trzy kolumbie i powiedział głośno: — Czy mogę przyłączyć się do gry?

— Pewnie — odpowiedział mu potężnie zbudowany, ciemny mężczyzna z opaską na oku. — Możesz grać, póki starczy ci forsy. Zszedłeś niedawno ze statku?

— Niedawno — odpowiedział Churchill. Klęknął i położył na ziemi kolumbię.

— Moja kolejka, co? Do roboty, dzieciaczki, do roboty, tatuś jest głodny.

Pół godziny później podszedł do Sarvanta, szeroko uśmiechnięty. W garści trzymał kilkanaście srebrnych monet..

— Kara za grzechy — powiedział.

Spowaźniał jednak natychmiast słysząc za plecami głośny okrzyk. Odwrócił się i zobaczył graczy idących w ich kierunku. Wołał wysoki, jednooki mężczyzna.

— O, kurczę — powiedział Churchill i dodał, niemal nie otwierając ust: — Szykuj się do ucieczki, bracie. Ci faceci nie umieją przegrywać.

— Nie oszukiwałeś, prawda? — upewniał się nerwowo Sarvant.

— Skądże! Przecież mnie znasz. A poza tym nie kantowałbym takich bandziorów.

— Posłuchaj, przyjacielu — przemówił jednooki. — Mówisz jakoś tak śmiesznie. Skąd jesteś? Albany?

— Manitowoc, Wisconsin — odpowiedział Churchill.

— Nigdy nie słyszałem. Co to takiego, jakaś wiocha na północy?

— Na północnym zachodzie. A o co chodzi?

— Nie lubimy tu obcych, co nawet mówić nie potrafią przyzwoicie. Obcy dziwnie grywają w kości. Z tydzień temu złapaliśmy tu majtka z Norfolk, który próbował wygrywać magią. Wybiliśmy mu zęby, przywiązaliśmy kamień do szyi i spuściliśmy z pokładu. Więcej się nie pojawił.

— Jeśli uważasz że oszukuję, powinieneś powiedzieć w trakcie gry.

Żeglarz zignorował tę uwagę.

— Nie masz znaków żadnego bractwa. Kim jesteś?

— Lambda Chi Alfa — Churchill położył dłoń na rękojeści noża.

— A to co znowu? Chyba nie Lampart?

Churchill zorientował się, że mogą z Sarvantem zostać zarżnięci jak barany, jeśli nie udowodnią, że chroni ich potężny totem. W normalnych warunkach nie miałby nic przeciw ratowaniu się kłamstwem z sytuacji takiej jak ta, ale warunki nie były normalne. Przez sześć tygodni przyjmował ciosy nic nie rozumiejąc i miał już dosyć.

— Jestem człowiekiem — wrzasnął. — To więcej niż możecie powiedzieć o sobie!

Jednooki marynarz spurpurowiał i warknął:

— Na piersi Columbii, wytnę ci serce. Żaden śmierdzący obcy nie będzie tak do mnie mówił.

— To chodźcie, złodzieje — syknął Churchill. Wyjął nóż i krzyknął na Sarvanta: — Wiej!

Jednooki także wyciągnął nóż i skoczył na Churchilla. Kosmonauta rzucił mu w oczy garść drobnych, zrobił krok do przodu. Kantem lewej dłoni uderzył w rękę trzymającą nóż, wytrącając go, i pchnął w sterczący brzuch przeciwnika.

Wyciągnął nóż i odskoczył, czekając na kolejny atak. Jednak przeciwnicy, jak przystało na marynarzy, nie trzymali się niewolniczo zasad fair-play. Jeden z nich podniósł cegłę ze stosu i rzucił nią w głowę Churchilla. Kosmonautę zamroczyło: uświadomił sobie, że krew z rany na czole zalewa mu oczy. Nim oprzytomniał, zabrano mu nóż, a dwóch marynarzy unieruchomiło mu ramiona.

Trzeci z nich, niski i chudy, uśmiechnął się pokazując resztki zębów, zrobił krok i wymierzył cios wprost w brzuch.

## Rozdział piąty

Peter Stagg obudził się. Leżał na wznak na czymś miękkim, a przed oczami miał gałęzie wielkiego dębu, przez które mógł widzieć jasne bezchmurne niebo. Wśród gałęzi dostrzegł ptaki: wróbla, drozda... i sójkę, siedzącą na pupie i machającą w powietrzu gołymi ludzkimi nogami. Nogi miała opalone, smukłe i bardzo długie.

Dostrzegłszy, że Stagg otwiera oczy, sójka zdjęła maskę odkrywając śliczną dziewczęcą twarz, opaloną i wielkooką. Dziewczyna sięgnęła za plecy, wymacała wiszącą na okalającym jej szyję sznurze trąbkę i nim Stagg zdążył ją powstrzymać, zagrała na niej długi drżący sygnał.

W tej samej chwili gdzieś za nim rozległ się szum.

Stagg usiadł i odwrócił się, chcąc dostrzec źródło hałasu. Zobaczył tłum stojący po przeciwnej stronie drogi; szerokiej betonowej autostrady przecinającej niezmierzone pola. Sam siedział blisko niej na grubej warstwie koców, na które położył go ktoś bardzo troskliwy. Nie wiedział, skąd i jak dotarł na to miejsce. I gdzie jest. Doskonale pamiętał wszystko to, co się zdarzyło przed świtem, natomiast o tym, co nastąpiło później, nie miał zielonego pojęcia. Słońce stało wysoko, dochodziła jedenasta.

Piękna sójka zawisała na gałęzi trzymając się jej rękami, po czym sfrunęła z wysokości półtora metra. Zachwiała się, odzyskała równowagę i powiedziała:

— Witaj, Szlachetny Rogaczu. Jak się czujesz?

Stagg jęknął.

— Bolą mnie wszystkie mięśnie. Cały zeszywniałem. I potwornie boli mnie łeb.

— Po śniadaniu wszystko będzie dobrze. Czy wolno mi stwierdzić, że zeszłej nocy byłeś wspaniały? Nie widziałam jeszcze Słonecznego Bohatera, który mógłby ci dorównać. Muszę już iść. Twój przyjaciel Calthorp powiedział, że kiedy się obudzisz, będziesz chciał porozmawiać z nim sam na sam.

— Calthorp — Stagg podniósł głowę i jęknął — to ostatni człowiek, którego chciałbym teraz widzieć. — Ale dziewczyna przebiegła już przez drogę i dołączyła do stojącej tam grupy ludzi.

Zza drzewa wychyliła się siwa głowa Calthorpa. Zbliżał się trzymając w rękach wielką przykrytą tacę. Uśmiechał się, lecz było jasne, że rozpaczliwie próbuje ukryć troskę.

— Jak się czujesz? — krzyknął.

Stagg w odpowiedzi zapytał:

— Gdzie jesteśmy?

— Powiedziałbym, że na byłej autostradzie numer jeden, która nazywa się teraz Rogatką Maryški. Od obecnych granic Waszyngtonu dzieli nas jakieś piętnaście kilometrów. Dwa kilometry stąd leży małe miasteczko, które nazywa się Wiele Łaski. Normalnie ma ze dwa tysiące mieszkańców, teraz jest tam około piętnastu tysięcy ludzi. Farmerzy i córki farmerów z całej okolicy zebrali się tam i niecierpliwie czekają na ciebie. Ale ty nie jesteś na każde gwizdnięcie. Jesteś Słonecznym Bohaterem i możesz sobie spokojnie odpoczywać. To znaczy, do zachodu słońca. W nocy musisz występować w roli, którą już przeciwczyłeś.

Stagg spojrział w dół i nagle zorientował się, że jest nagi.

— Widziałeś mnie w nocy? — zapytał, patrząc błagalnie na swego starszego przyjaciela.

Teraz z kolei zażenowany Calthorp musiał spuścić wzrok.

— Zajmowałem honorowe miejsce, przynajmniej na początku. Później ominąłem tłum i wszedłem do budynku. Obserwowałem tę orgię z balkonu.

— Nie masz za grosz wstydu? — uniósł się Stagg. — Nie dość, że sam nie mogę nic na to poradzić, to jeszcze i ty byłeś świadkiem mojego poniżenia!

— Poniżenia, rzeczywiście! Tak, obserwowałem cię. Jestem antropologiem. Po raz pierwszy miałem okazję uczestniczyć w obrzędach kultu płodności, zobaczyć wszystko na własne oczy. A poza tym, jestem twoim przyjacielem i martwiłem się o ciebie. Okazało się zresztą, że niepotrzebnie. Doskonale sobie poradziłeś. Inni też.

Oczy Stagga zabłyśły groźnie.

— Żarty się ciebie trzymają?

— Niech mnie ręka boska broni! Nie! To nie objaw dobrego humoru, raczej zdumienia. I zazdrości. Oczywiście, poroże daje ci chęć i możliwości. Ciekawe, czy wstrzyknęliby mi chociaż odrobinę tego, co produkuje?

Antropolog postawił tacę przed Staggiem i zdjął przykrywającą ją płótno.

— Oto śniadanie, jakiego nigdy nie jadłeś.

— Zabierz to! — Stagg obrócił głowę. — Bo się wyrzygam. Boli mnie brzuch i boli mnie dusza na wspomnienie tego, co wyprawiałem w nocy.

— Sprawiałeś wrażenie, jakbyś się dobrze bawił.

Stagg zacharczał z wściekłości i Calthorp podniósł dłoń w uspokajającym geście.

— Nie, nie chciałem cię urazić. Po prostu wszystko widziałem i pamiętam. No, chłopcze, jedz. Zobacz, co tu dla ciebie mamy. Świeżo upieczony chlebek. Świeżo ubite ma-

sełko. Dżem. Miód. Jajka, bekon, szynka, pstrągi, dziczyzna... i dzban zimnego piwa. Za-  
wsze możesz zażądać dokładki!

Przez dłuższą chwilę Stagg siedział nieruchomo, patrząc w milczeniu na stojące po  
przeciwnej stronie drogi kolorowe namioty i stłoczonych wśród nich ludzi. Calthorp  
usiadł obok i zapalił długie zielone cygaro.

Nagle kapitan szybkim ruchem chwycił dzban i długo pił zimne piwo. Odstawił nie-  
mał puste naczynie, grzbietem dłoni otarł pianę z ust, beknał, i złapał za nóż i widelec.  
Jadł, jakby był to pierwszy... lub ostatni posiłek w jego życiu.

— Muszę jeść — usprawiedliwiał się między kęsami. — Jestem słaby jak kociak. Zo-  
bacz, jak mi się trzęsą ręce.

— Musisz jeść za stu mężczyzn — pocieszał go Calthorp — skoro za stu pracujesz.  
Co ja mówię, stu! Raczej za tysiąc!

Stagg podniósł dłoń i pomacał rogi.

— Ciągłe tu są. Hej! Już nie takie twarde jak zeszłej nocy. Zmiękły! Może się skurczą,  
wyschną i odpadną?

Calthorp potrząsnął głową.

— Nie. Stwardnieją, kiedy odzyskasz siły i podniesie ci się ciśnienie krwi. To nie jest  
prawdziwe poroże. Jeleń ma wyrostki kostne nie pokryte keratyną. Twoje rogi wyrasta-  
ją z kości, ale zbudowane są z chrząstki pokrytej skórą i naczyniami krwionośnymi. Nic  
dziwnego że zmiękły. Cud raczej, że nie pękło żadne naczynie krwionośne albo jeszcze  
coś innego.

— Cokolwiek pompują mi w krew, zniknęło. Czuję się słaby i obolały, to wszystko.  
Nic niezwykłego. Gdybym tylko mógł pozbyć się tego poroża! Doktorku, mógłbyś je  
obciąć?

Calthorp potrząsnął głową ze smutkiem. Stagg zbladł.

— Więc będę musiał przejść przez to jeszcze raz?

— Obawiam się że tak, mój chłopcze.

— Dziś wieczorem? W Wiele Łaski? I następnej nocy, w następnym miasteczku...  
o rany, i to do kiedy tak?

— Peter, naprawdę bardzo mi przykro. Nie mam pojęcia, jak długo to będzie trwało.

Calthorp krzyknął z bólu. Wielka dłoń omal nie złamała mu nadgarstka, ale zaraz  
zwolniła uścisk.

— Przepraszam, doktorku. Robię się nerwowy.

— No, ale — mówił dalej Calthorp masując czule obolały przegub — jest jedna moż-  
liwość. Wydaje mi się, że skoro cała ta sprawa zaczęła się w dniu zimowego przesilenia,  
to powinna się skończyć wraz z letnim przesileniem, to znaczy dwudziestego pierw-  
szego lub dwudziestego drugiego czerwca. Jesteś symbolem słońca. W rzeczywistości  
ci ludzie widzą w tobie prawdziwe słońce, zwłaszcza że zstąpiłeś z niebios na plującym



ogniem żelaznym rumaku.

Stagg pochylił głowę i objął ją dłońmi. Spomiędzy palców pociekły łzy, plecy zadrżały. Calthorp, również płacząc, poklepał go po złotej głowie. Znał dobrze kapitana i rozumiał, jak wielkie było jego cierpienie skoro ten potężny mężczyzna, mimo wszelkich zwyczajowych ograniczeń, po prostu płakał jak dziecko.

Kapitan wstał w końcu i skierował się do pobliskiego strumyka.

— Muszę wziąć kąpiel — mruknął. — Skoro już muszę być tym, jak mu tam, Słonecznym Bohaterem, mogę przynajmniej być czystym herosem.

— A oto i świta — Calthorp wskazał palcem grupę ludzi, oczekujących w odległości mniej więcej pięćdziesiąt metrów. — Twoi wierni czciciele i strażnicy.

Stagg skrzywił się.

— Teraz nienawidzę sam siebie, ale w nocy podobała mi się moja rola. Nic mnie nie powstrzymywało. Przeżywałem marzenie każdego mężczyzny: nieograniczone zdolności, niewyczerpane możliwości. Byłem b o g i e m. — Zatrzymał się i znów złapał Calthorpa za rękę. — Wracaj na statek. Zdobądź broń i przemyć ją przez strażę, jeśli będziesz musiał. Wróć i palnij mi w łeb. Przynajmniej nie będę musiał przeżywać tego po raz drugi.

— Przepraszam, ale wybij to sobie ze łba. Po pierwsze: nie wiedziałbym, skąd wziąć broń. Tomasz Tytoń powiedział, że zabrano ją ze statku i ukryto. Po drugie: nie potrafiłbym cię zastrzelić. Póki życia, poty nadziei. Wydobędziemy się jakoś z tego bagna.

— Ciekawe jak — mruknął Stagg.

Dalsza rozmowa okazała się niemożliwa. Tłum przeszedł przez drogę i otoczył ich. Trudno jest porozumiewać się w huku trąbek i bębnow grających wprost w uszy, wśród wrzasku czynionego przez syringi i gadających ile sił w płucach ludzi, gdy piękne dziewczęta niemal siłą myją cię, wycierają i perfumują. Napierający tłum rozdzielił w końcu obu kosmonautów.

Stagg poczuł się lepiej. Zręczne dłonie dziewcząt rozmasowały napięte, obolałe mięśnie i, nim słońce doszło do zenitu, wróciła mu pełnia sił. O drugiej promieniał już witalnością i marzył, by coś się wreszcie zaczęło. Niestety, była akurat pora sjesty. Tłum rozpełzł się w poszukiwaniu cienia. Wokół pozostali tylko nieliczni wierni. Widząc, jak bardzo są senni pomyślał, że najpewniej też chcieliby położyć się w cieniu, ale nie mogą. To jego strażnicy: muskularni, twardzi wojownicy uzbrojeni we włócznie i noże. Kilka metrów dalej stali także łucznicy. Mieli dziwne strzały; szerokie stalowe groty zastąpiły długimi igłami, niewątpliwie zatrutymi środkiem paralizującym każdego Słonecznego Bohatera, który miałby ochotę uciec.

Przemknęło mu przez myśl, że wystawienie warty jest głupotą. Gdy tylko poczuł się lepiej, przestał myśleć o ucieczce. Zastanawiał się nawet, jak w ogóle mógł wymyśleć coś tak idiotycznego. Dlaczego miałby uciekać ryzykując śmiercią, gdy tu czekało go tak

wspaniałe, tak intensywne życie.

Poszedł w kierunku namiotów. Straż ruszyła za nim w pełnej szacunku odległości.

Na łące stało mniej więcej czterdzieści namiotów, w ich cieniu trzykrotnie więcej ludzi spało głębokim snem. Ludzie na razie go nie obchodzili. Chciał porozmawiać z zamkniętą w klatce dziewczyną. Interesował się nią od czasu, gdy zamieszkał w Białym Domu. Kim jest? Dlaczego ją więzono? Na wszystkie te pytania odpowiadano mu do tychczas doprowadzającym do furii „stanie się, co ma się stać”. Pamiętał, że spojrzał na nią tuż przed spotkaniem z Dziewicą, Wielką Kapłanką. Wspomnienie obudziło w nim cień wstydu, który odczuwał wcześniej, uczucie to minęło jednak szybko.

Klatka na kółkach stała w cieniu rzucanym przez rozłożysty platan. Opodał pasł się ciągnący ją jeleń. W zasięgu słuchu nie było żadnego strażnika.

Dziewczyna siedziała na kibelku w kącie klatki. Obok stał wieśniak i, czekając aż skończy, spokojnie palił długie cygaro. Miał później wyciągnąć nocnik z wnęki pod stołkiem i zanieść cenne odchody na swoje pole, by je użyźnić.

Dziewczyna ubrana była w dżokejską czapkę z długim daszkiem, szarą koszulę i, jak wszystkie maskotki, sięgające do połowy łydki spodnie, opuszczone teraz do kostek. Zwiesiła głowę, ale Stagg nie sądził, by było to spowodowane wstydem wynikającym z konieczności publicznego załatwiania potrzeb fizjologicznych; zbyt dobrze znał bezpretensjonalny, zwierzęco naturalny sposób życia tych ludzi. Mieli swoje przyzwyczajenia i odczuwali wstyd, lecz nie z powodu publicznego wypróżnienia.

Pod dachem klatki wisiał ciasno zwinięty hamak. W jednym rogu stała szczotka do zamiatania, a w drugim przykręcona do podłogi szafka, zawierająca prawdopodobnie środki higieny, o czym świadczyła stojąca w pobliżu na półce miednica i wiszące obok ręczniki.

Stagg jeszcze raz spojrzał na tabliczkę, górującą nad klatką jak płetwa rekina: MASKOTKA, POJMANA W NAPADZIE NA CASEYLAND. Co to znaczy? Słyszał już, że DeCeańczycy nazywali „maskotkami” ludzkie dziewice. Słowo „Dziewica” zarezerwowane było dla kapłanek-panien. Ale poza tym nie wiedział nic.

— Cześć — powiedział.

Dziewczyna drgnęła, jakby przerwał jej drzemkę. Miała piękne, ciemne oczy i śliczną twarz o drobnych rysach. Z natury była blada, a widząc kto się do niej zwraca, zbladła jeszcze bardziej i szybko odwróciła głowę.

— Powiedziałem ci „cześć”. Jesteś niema? Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

— Nie zamierzam z tobą rozmawiać, ty bestio — odezwała się dziewczyna drżącym głosem.

— Wynoś się!

Stagg powoli zbliżał się do klatki, lecz słowa te zatrzymały go w miejscu. Oczywiście — widziała to, co zdarzyło się zeszłej nocy. Gdyby nawet odwróciła głowę i zamknęła

oczy, to i tak musiała słyszeć wrzaski. A ciekawość kazała jej zapewne zerkać na uroczy-  
stość, przynajmniej od czasu do czasu.

— Nic nie mogłem na to poradzić. To przecież nie ja, to te rogi — dotknął ich pal-  
cem — te rogi zmieniają mnie w bydlę. Nie jestem sobą.

— Wynoś się! Nie zamierzam z tobą rozmawiać. Jesteś pogańskim diabłem!

— Czy dlatego, że chodzę nago? Mogę włożyć kilt.

— Wynoś się!

Jeden ze strażników podszedł bliżej.

— Wielki Rogaczu, pragniesz tej dziewczyny? Będziesz ją miał; nie teraz jednak. Nie  
przed końcem podróży. Ale Wielka Biała Matka ostatecznie ci ją ofiaruje.

— Chciałem z nią tylko porozmawiać.

Strażnik uśmiechnął się oblesnie.

— Ogień rozpalony pod tą śliczną piczką pewnie zmusiłby dziewczynę do gadania.  
Niestety, nie wolno nam jej torturować. Jeszcze nie.

Stagg odwrócił się tyłem do klatki.

— Znajdę jakiś sposób, żeby ją zmusić do gadania. Później. Teraz chcę jeszcze tro-  
chę zimnego piwa.

Nie troszcząc się o to, że budzi cały obóz, strażnik z całej siły dmuchnął w gwizdek.  
Zza namiotu wybiegła dziewczyna.

— Zimne piwo — wrzasnął strażnik.

Dziewczyna wbiegła do namiotu i po chwili pojawiła się z tacą, na której stał mie-  
dziany dzban. Jego ścianki błyszczały wilgocią. Stagg wziął dzban i zapominając  
o dziewczynie podniósł go do ust. Opuścił pusty.

— Dobrze było — powiedział głośno. — Ale piwo tylko człowieka rozdyma. Macie  
trochę błyskawicy na lodzie?

— Oczywiście, sire.

Dziewczyna wróciła do namiotu wynosząc po chwili dwa srebrne dzbany. Jeden  
z nich wypełniony był kostkami lodu, drugi — czystą whisky. Wlała whisky na lód i po-  
dała dzban Staggowi. Nim odstawił naczynie na tacę, wypił połowę.

Strażnik zaniepokoił się.

— Wielki Rogaczu, jak tak dalej pójdzie będziemy musieli wnieść cię do miasta.

— Słoneczny Bohater może pić za dziesięciu — powiedziała dziewczyna — i nadal  
będzie w stanie jednej nocy poprzerzywać sto maskotek.

Stagg roześmiał się hałaśliwie, jakby zagrzmiały trąby.

— Oczywiście, śmiertelniku. Nic o tym nie wiedziałeś? A poza tym, po co być Wiel-  
kim Rogaczem, jeśli nie dostaje się tego, czego się pragnie?

— Wybacz mi, panie — usprawiedliwił się strażnik. — Mówię to, bo wiem, jak gorą-  
co przywitają cię mieszkańcy Wiele Łaski. W zeszłym roku, panie, gdy Słoneczny Boha-

ter był Lwem, wjeżdżaliśmy do Waszyngtonu inną drogą, więc ci ludzie nie mogli wziąć udziału w ceremoniach. Poczują się skrzywdzeni, jeśli i tym razem się im nie objawisz.

— Zamknij się, głupcze — powiedziała dziewczyna. — Jak śmiesz mówić w ten sposób do Słonecznego Bohatera. Możesz go rozwścieczyć i wtedy cię zabije. Takie rzeczy już się zdarzały, wiesz?

Strażnik zbladł.

— Za pozwoleniem, sire, chciałbym wrócić do moich przyjaciół.

— Wracaj! — rozkazał mu Stagg ze śmiechem. Strażnik pobiegł kłusem do grupki ludzi, oddalonych o jakieś pięćdziesiąt metrów.

— Znów jestem głodny! Dajcie mi jeść! Mięsa!

— Tak, panie.

Stagg rozpoczął wędrówkę między namiotami. Mijając tłustego, siwego mężczyznę, śpiącego w rozpiętym między dwoma stojakami hamaku, rozhuścił go, obrócił, i wyrzucił na ziemię. Rycząc ze śmiechu szedł dalej, wrzeszcząc do ucha każdemu śpiącemu, na którego natknął się po drodze; siadali zaskoczeni, z szeroko otwartymi oczami i mocno bijącymi sercami. Śmiejąc się ciągle Stagg złapał za nogę jedną ze śpiących dziewcząt i zaczął ją łaskotać w piętę. Dziewczyna niemal popłakała się ze śmiechu, błagając go, by przestał, a młodzieniec, jej narzeczony, stał nieruchomo z boku. Zaciskał wprawdzie pięści, lecz przeszkadzanie Słonecznemu Bohaterowi byłoby świętokradztwem.

Stagg zerknął w górę i dostrzegł go. Zmarszczył czoło, puścił dziewczynę, i wyprostował się wolno. W tej chwili wróciła dziewczyna, którą posłał po jedzenie, niosąc tacę, na której stały również dwa dzbany piwa. Stagg wziął jeden z nich i powoli, ze stoickim spokojem, wylał jego zawartość na młodego człowieka. Wywołało to wybuch śmiechu ze strony dziewczyn, stając się jednocześnie sygnałem dla całego obozu. Rozległo się wycie.

Dziewczyna, która przyniosła tacę, uniosła drugi dzban i wylała piwo na tłusciucha wyrzuconego z hamaka. Plując zimnym płynem grubas poderwał się na nogi. Pobiegł do namiotu i wrócił niosąc niewielką beczkę, której zawartość wylał na dziewczynę. Gra w oblewanie piwem stopniowo objęła cały obóz i wkrótce nie sposób było znaleźć kogoś nie skapanego jeszcze w piwie lub whisky. Mokry był nawet sarn Słoneczny Bohater, który śmiał się rozbawiony, czując jak chłodny płyn spływa mu po skórze i szukał pełnych beczek. Po drodze zmienił jednak zamiar. Wpadł mu do głowy nowy, iście szatański pomysł. Zaczął przewracać namioty tak, że nikt nie mógł z nich wyjść. Ze środka dobiegały ryki protestu. Nie musiał długo czekać na naśladowców i wkrótce na polu trudno było znaleźć stojący namiot.

Stagg złapał dziewczyny; tę, która mu usługiwała i tę, którą łaskotał w piętę.

— Musicie być maskotkami — powiedział. — Inaczej nie byłybyście tak rozebrane. Jakim cudem pominąłem was zeszłej nocy?

— Nie jesteśmy wystarczająco piękne na pierwszą noc.

— Sędziowie byli ślepi — ryknął Stagg. — Przecież jesteście dwiema najpiękniejszymi i najbardziej godnymi pożądanymi dziewczynami, jakie spotkałem w życiu.

— Dziękujemy ci, lecz nie tylko uroda liczy się przy wyborze na narzeczoną Słonecznego Bohatera, panie, chociaż nie powinnam w ogóle o tym mówić, bo kapłanki podsłuchują wszędzie. Ale jest prawda, że jeśli dziewczyna ma majątnego i wpływowego ojca, to szansa na wybór się zwiększa.

— Więc jak się wam udało znaleźć w mym otoczeniu?

— Obie zajęłyśmy drugie miejsce w konkursie Miss Ameryki, panie. Nasza obecność tutaj to wprawdzie nie to samo, co debiut w Waszyngtonie, ale jest także wielkim honorem. Mamy nadzieję, że tu, w Wiele Łaski...

Patrzyły na niego szeroko rozwartymi oczami. Usta i piersi im nabrzmiały. Oddychały ciężko.

— Po co czekać do wieczora! — ryknął Stagg.

— Nie jest w zwyczaju, panie, robienie czegokolwiek przed początkiem ceremonii. No i większość Słonecznych Bohaterów dochodzi do siebie dopiero wieczorem.

Stagg wypił do dna, po czym wyrzucił pusty dzban w powietrze tak wysoko, jak tylko mógł i roześmiał się.

— Nie spotkaliście jeszcze takiego Słonecznego Bohatera jak ja. Jestem prawdziwym, wielkim Rogaczem.

Wziął obie dziewczyny pod pachę i zaniósł do jednego z namiotów.

## Rozdział szósty

Churchill wykonał unik, po raz ostatni starając się dosięgnąć kopniakiem zębów szczerbatego marynarza, cios w głowę był jednak zdecydowanie mocniejszy, niż mu się wydawało. Z trudem oderwał nogę od ziemi.

— Spróbuj, dziecińo! — warknął Szczerbaty, który uskoczył widząc ruch Churchilla, a teraz pewnie zrobił krok do przodu i wymierzył przeciwnikowi cios nożem wprost w splot słoneczny.

W tym momencie powietrze rozdarł pisk i mały człowieczek wskoczył pomiędzy walczących z wyciągniętą do przodu ręką. Nóż trafił w rozpostartą dłoń i przebił ją na wylot. Pocięła krew.

W ten niezdarny choć skuteczny sposób Sarvant uratował życie swojemu przyjacielowi, lecz niebezpieczeństwo zażegnane zostało tylko na chwilę. Inny marynarz pchnął z całej siły Sarvanta, przewracając go na ziemię (nóż nadal tkwił w ranie) i skoczył z zamiarem dobicia Churchilla, gdy nad jego uchem rozległ się nagle przeraźliwy gwizd, natychmiast przerywając atak.

Mężczyzna, który tak skutecznie użył gwizdka, uzbrojony był w laskę w kształcie ciurpigi i jej ostrzem zdążył już objąć chudą szyję Szczerbatego. Ubrany był w błękitną tunikę harmonizującą z jego niebieskimi, zimnymi jak lód oczami.

— Ci ludzie — powiedział — są pod ochroną samej Columbii. Znikajcie stąd natychmiast, jeśli nie chcecie wisieć za dziesięć minut. Nie będziecie szukać na nich zemsty za to, co tu zaszło.

Pod warstwą opalenizny żeglarze wyraźnie zbledli. Kiwnęli głowami z trudem przykajac ślinę, i rzucili się do ucieczki.

— Zawdzięczamy ci życie — powiedział Churchill drżącym głosem.

— Zawdzięczacie je Wielkiej Białej Matce, która odbierze co jej według swych zamiarów. Ja tylko jej służę. Przez cztery tygodnie będziecie pod naszą opieką i mam nadzieję, że okażecie się jej godni. — Mężczyzna spojrział na okrwawioną dłoń Sarvanta. — Jemu także zawdzięczasz, że jeszcze żyjesz. Był tylko narzędziem Columbii, lecz skutecznym.

Chodźcie za mną, trzeba opatrzyć tę ranę.

Poszli za swym wybawcą. Churchill podpierał jęczącego z bólu Sarvanta.

— To on nas śledził — tłumaczył. — I... dzięki za to, co zrobiłeś.

Rysujący się dotychczas na twarzy Sarvanta ból zastąpiła ekstatyczna radość.

— Dla ciebie zrobiłem to z przyjemnością, Rud. I zrobiłbym jeszcze raz, chociaż teraz wiem, co znaczy ból. Czuję że... życie ma jakiś sens.

Nie znajdując odpowiednich słów, Churchill po prostu milczał.

Maszerowali dalej w milczeniu. Po wydostaniu się z doków doszli do świątyni stojącej z dala od ulicy. Przewodnik wprowadził ich do chłodnego wnętrza i wdał się w rozmowę z kapłanem, który po chwili zaprowadził przybyłych do niewielkiej sali. Tu Sarvanta zabrano, a Churchilla poproszono grzecznie, by był uprzejmy zaczekać. Nie sprzeciwiał się. Był przekonany, że nikt nie chce zrobić krzywdy jego przyjacielowi — przynajmniej na razie. Spacerował tam i sam: piasek, przesypujący się w wielkiej klepsydrze wskazał, że upłynęła godzina. Sala była chłodna, cicha i ciemna.

Miał zamiar właśnie odwrócić klepsydrę, gdy nagle pojawił się Sarvant.

— Jak ręka?

Sarvant podsunął mu ją pod nos. Żadnego bandaża. Dziura po nożu wyglądała jak sklejona, ranę pokrywała cienką warstwą jakaś przezroczysta substancja.

— Powiedzieli mi, że mogę jej już używać nawet do ciężkiej pracy — mówił zdumiony Sarvant. — Rud, ci ludzie są może pod wieloma względami zacofani, ale w biologii nie mają sobie równych! Kapłanka powiedziała, że to pseudo-ciało rozrośnie się i spoi ranę tak, jakby jej nigdy nie było. Zrobili mi transfuzję i nakarmili czymś, co natychmiast naładowało mnie energią. Ale nic za darmo — dokończył gorzko. — Zapowiedzieli, że przyślą rachunek.

— Mam wrażenie, że ich kultura nie toleruje wolnych duchów — stwierdził Churchill. — Znajdźmy sobie lepiej jakąś pracę. I to jak najszybciej.

Wyszli ze świątyni i ponownie skierowali się ku dokom, kontynuując przerwana wędrówkę. Tym razem do Potomacu dotarli bez przeszkód.

Port ciągnął się po obu stronach rzeki przez co najmniej dwa kilometry. Przy nabrzeżach cumowało wiele statków, inne kotwiczyły na rzece.

— Jak na obrazie z początku dziewiętnastego wieku — stwierdził Churchill. — Żaglowce wszelkich rozmiarów i rodzajów. Jakoś nie spodziewałem się ujrzeć parowców, choć należy przypuszczać, że ci ludzie umieją je budować.

— Węgiel i ropę wyeksploatowano na długo przed naszym odlotem — przypomniał mu Sarvant. — Mogliby palić drewnem, ale mam wrażenie, że choć nie brak im lasów, wycinają je tylko wtedy gdy jest to absolutnie konieczne. Najwyraźniej albo nic nie wiedzą o energii jądrowej, albo skrzętnie ukrywają tę wiedzę.

— Żaglowcem nie płyniesz szybko, ale za to za darmo. I w końcu zawsze dotrzesz do-

kąd chcesz. O rany, jaka piękna łódź!

Wskazał jednomasztowy biały jacht o szkarłatnych żaglach, podpływający właśnie do nabrzeża, przy którym stali i najwyraźniej zamierzający do niego przybić.

Churchill skinął na Sarvanta. Zeszli razem po schodach nad brzeg rzeki. Churchill lubił rozmowy o łodziach, a ludzie z jachtu, który go tak zachwyił, przypominali mu tych, dla których kiedyś pracował.

Sternik był siwym, potężnie zbudowanym mężczyzną liczącym około pięćdziesięciu pięciu lat. Widoczni na pokładzie chłopak i dziewczyna wyglądali na jego dzieci. Mniej więcej dwudziestoletni syn był wysoki, jasnowłosy, dobrze zbudowany. Córka, niewysoka w porównaniu z bratem, miała ładny, duży biust, smukłą talię, długie nogi, niesłychanie piękną twarz i długie włosy w kolorze miodu. Churchill ocenił ją na jakieś szesnaście, może osiemnaście lat. Nosiła rozszerzające się do dołu spodnie i krótką niebieską kurtkę. Stopy miała bose. Stała na dziobie łodzi i widząc dwóch mężczyzn czekających przy nabrzeżu błysnęła w uśmiechu białymi zębami.

— Chwyć linę, żeglarzu! — krzyknęła.

Churchill złapał cumę i przyciągnął jacht.

Dziewczyna zeskoczyła na beton i ponownie się uśmiechnęła.

— Dziękuję, żeglarzu.

Chłopak sięgnął do kieszeni kiltu i rzucił Churchillowi monetę.

— Za fatygę, dobry człowieku.

Churchill obrócił pieniądz w palcach. Kolumbia. Warto bliżej poznać ludzi dających takie napiwki za drobną przysługę. Odrzucił monetę chłopcu, który, mimo zaskoczenia, złapał ją bez trudności jedną ręką.

— Dziękuję ci — powiedział — lecz nie jestem niczym sługą.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, ciemne, niebieskoszare.

— Nie chcieliśmy cię obrazić — powiedziała miłym, dźwięcznym, lekko gardłowym głosem.

— Nie obraziliście mnie.

— Poznaję po akcencie, że nie jesteś DeCeańczykiem — mówiła dalej. — Czy nie urazi cię pytanie o to, skąd pochodzisz?

— Skądże, nie! Urodziłem się w nieistniejącym już miasteczku Manitowoc. Nazywam się Rudyard Churchill, a mój towarzysz to Nephi Sarvant. Pochodzi z Mesa w Arizonie. Mamy po osiemset lat i trzymamy się zadziwiająco dobrze jak na ten wiek. Dziewczyne zatkało na moment z wrażenia.

— Ach! Bracia Słonecznego Bohatera!

— Tak, jesteśmy z załogi kapitana Stagga — Churchill był najwyraźniej zadowolony z efektu wywołanego jego słowami.

Ojciec wyciągnął rękę i Churchill rozpoznał z tego gestu, że zostali uznani za rów-



nych, przynajmniej na razie.

— Nazywam się Res Whitrow. To jest mój syn Bob i córka Robin.

— Macie piękną łódź — Churchill wiedział, że w ten sposób najłatwiej będzie zacząć rozmowę.

Res Whitrow bez wahania pogrążył się w wychwalaniu wszystkich zalet swego jachtu. Robin i Bob wtórowali mu entuzjastycznie. Wkrótce jednak temat został wyczerpany i zapadła cisza, którą przerwała podekscytowana dziewczyna.

— Och, musieliście widzieć tyle wspaniałych rzeczy, takich cudownych, czy naprawdę byliście wśród gwiazd? Tak bym chciała o nich usłyszeć.

— Tak — powiedział Whitrow. — Ja też chętnie o nich posłucham. Proszę, bądźcie moimi gośćmi dzisiejszego wieczora. Jeśli oczywiście nie macie innych planów.

— To dla nas zaszczyt. Obawiam się jednak, że nie jesteśmy odpowiednio ubrani, by zasiąść przy twoim stole.

— Tym nie musicie się przejmować — powiedział serdecznie Whitrow. — Dopilnuję, byście dostali stroje odpowiadające godności braci Słonecznego Bohatera.

— Może mógłbyś powiedzieć nam, co się stało z kapitanem Staggiem?

— Czyżbyście nic nie wiedzieli? Cóż, wygląda mi na to, że nie. Możemy pogadać wieczorem. Najwyraźniej niezbyt dobrze znacie tę Ziemię, którą opuściliście tak strasznie dawno temu. Czy to możliwe? Ustrzeż nas, Columbio!

Robin zdjęła kurtkę i stała obok nich naga do pasa. Miała piękne piersi, ale najwyraźniej nie przywiązywała do ich piękności wagi większej niż do jakiegokolwiek innego szczegółu swej urody. To znaczy, wiedziała oczywiście, że jest śliczna i zgrabna, lecz wiedza ta nie przeszkadzała jej zachowywać się naturalnie i w dziewczynie nie było nic świadomie wyzywającego. Sarvant jednak najwyraźniej czuł się zażenowany i starał się nie patrzeć na Robin, od czasu do czasu rzucając jej tylko szybkie, ukradkowe spojrzenia. To dziwne, myślał Churchill, wprawdzie jego przyjaciela oburzały stroje deceańskich dziewczic ale on sam na ulicy nie czuł się nieswojo. Może dlatego, że tamte dziewczęta nic dla niego nie znaczyły; były tylko dzikimi mieszkankami obcego kraju, a z Whitrowami poznali się już osobiście.

Weszli po schodach na nabrzeże, na którym czekał powóz. Zaprzęg składał się z dwóch dużych rudawych jeleni. Służbę, oprócz woźnicy, stanowili także dwaj uzbrojeni strażnicy stojący na specjalnej platformie z tyłu powozu. Whitrow i jego syn wsiedli pierwsi, wskazując Sarvantowi miejsce obok siebie. Robin bez wahania usiadła tuż obok Churchilla, tak blisko, że czuł ciepło jej piersi na swym ramieniu. Zarumienił się, przeklinając się w duchu za tak jawne uzewnętrznianie swych uczuć.

Jechali szybkim kłusem. Woźnica był najwyraźniej zdania, że piesi mają albo uskokczyć, albo ponieść konsekwencje swej niezdarności. W ciągu kwadransa minęli budynki rządowe i wjechali do dzielnicy zamieszkałej przez tych, których Columbia obdarzy-

ła bogactwem i potęgą. Powóz skręcił w długi, wysypany żwirem podjazd i po chwili zatrzymał się przed dużym białym domem.

Churchill wyskoczył i podał rękę Robin. Uśmiechnęła się mówiąc „dziękuję”, ale on zajęty był już studiowaniem stojącego w ogrodzie wielkiego słupa totemowego, rzeźbionego w łby wielu zwierząt; najczęściej powtarzał się motyw kota.

Whitrow dostrzegł jego zainteresowanie.

— Jestem Lwem — powiedział. — Moja żona i córka należą do korporacji Leśnych Kotów.

— Właśnie się nad tym zastanawiałem. Wiem, że totem jest w waszym społeczeństwie czymś ważnym i potężnym. To dla mnie coś nowego.

— Zauważyłem, że nie nosicie oznak przynależności do żadnego z bractw. Być może będę mógł wam pomóc dostać się do mojego. Lepiej gdzieś należeć. Oprócz was dwóch nie znam nikogo bez totemu.

Rozmowę przerwało im pięcioro małych dzieci, które wybiegły z domu i z okrzykami radości rzuciły się na ojca. Whitrow przedstawił gościom nagich chłopców i dziewczynki, a po przekroczeniu progu domu także żonę — otyłą kobietę w średnim wieku, której twarz zachowała jeszcze ślady wielkiej urody.

Minęli mały przedpokój, następnie weszli do wielkiej sali biegnącej przez całą długość domu i będącej jednocześnie pokojem dziennym, wypoczynkowym i jadalnią.

Tymczasem Bob na polecenie ojca zajął się gośćmi. Przeprowadził ich przez dom do obszernej łazienki, w której wzięli prysznic i przebrali się w piękne, delikatne ubrania. Mimo szczyrych protestów z ich strony Bob nalegał, by je sobie zatrzymali na własność.

Po kąpieli wrócili do dużego pokoju, gdzie Robin natychmiast poczęstowała ich winem. Churchill zdołał uprzedzić odmowę Sarvanta.

— Wiem, że masz swoje zasady — szepnął — ale nie powinieneś obrażać gospodarzy. Chociaż spróbuj!

— Jeśli dziś poddam się w drobiazgach, jutro zgrzeszę w rzeczach istotnych.

— Dobra, rób z siebie upartego durnia — Churchill rzeczywiście się wściekł. — Ale jedną szklanką się przecież nie upijesz i sam o tym doskonale wiesz.

— Podniosę ją do ust. To wszystko.

Churchilla to bynajmniej nie uspokoiło; był zły, ale nie aż tak, by nie rozkoszować się wspaniałym bukietem. Zdołał opróżnić swą szklaneczkę, nim poproszono ich do stołu. Whitrow posadził gości po swej prawicy, na honorowym miejscu. Churchill znalazł się obok gospodarza, mając Robin po przeciwnej stronie. To go zachwyciło; już samo patrzenie na dziewczynę było powodem do radości. Angela usiadła na drugim końcu stołu. Whitrow odmówił modlitwy, pokroił mięso, podał je gościom, a dopiero po nich rodzinie. Jego żona mówiła wiele, ale nie przerywała nigdy mężowi. Dzieci chichotały

i szeptem wymieniały jakieś sekrety, uważały jednak, by przypadkiem nie zdenerwować ojca. Nawet domowe koty, których było chyba ze dwadzieścia, zachowywały się bardzo spokojnie.

Kolacja była wyraźnym dowodem na to, że w tej Ameryce nie racjonowano żywności. Obok zwyczajowych owoców i warzyw podano także dziczyznę, kozie steki, kurczaki, indyki oraz szynkę i smażone koniki polne a także mrówki. Służba nalewała piwo i wino bez ograniczeń.

— Bardzo chciałbym usłyszeć wszystko o waszej podróży do gwiazd — mówił Whitrow — ale o tym porozmawiamy później. W czasie posiłku nie będziemy poruszać tak ważnych spraw. Opowiem wam za to o nas, byście mogli czuć się w tym domu jak u siebie.

Whitrow rwał zębami wielkie kęsy jedzenia, przeżuwał je i opowiadał...

Urodził się na małej farmie w południowej Wirginii, niedaleko Norfolk. Jego ojciec był człowiekiem szanowanym bo, jak wiedzą wszyscy, może z wyjątkiem przybyszów z gwiazd, hodowców świń ceni się bardzo wysoko w całym DeCe. On sam nie przepadał jednak za świniami. Ciągnęło go na morze i gdy tylko skończył szkołę, opuścił farmę i przeniósł się do Norfolk. Nauka ograniczała się najwyraźniej do tego, co w dawnych czasach nazywano podstawówką, a Whitrow wspominał, że nie jest obowiązkowa, ale za to całkiem kosztowna. Większość obywateli DeCe stanowili analfabeci.

Zamustrował się jako majtek na kuter rybacki. Po kilku latach udało mu się zaoszczędzić sumę wystarczającą, by wrócić do Norfolk i uczyć się nawigacji. Z anegdotek, które opowiedział, można była wywnioskować, że sekstans i kompas są nadal w użyciu.

Chociaż był marynarzem, Whitrow nie wstąpił do żadnego z bractw żeglarskich. Mimo młodego wieku dobrze wiedział, czego chce. Wiedział, że w Waszyngtonie najpotężniejsze są Lwy. Młodemu, niezbyt zamożnemu marynarzowi trudno byłoby dostać się do bractwa, ale pomogło szczęście.

— Sama Columbia okryła mnie swymi opiekuńczymi skrzydłami — powiedział i stuknął palcami w stół. — To nie brak szacunku, o Pani. Chcę tylko, by i ci ludzie poznali twą dobroć.

Tak, byłem prostym marynarzem choć ukończyłem Norfolską Szkołę Matematyki. Potrzebowałem bogatego patrona, by zostać kandydatem na oficera. I znalazłem go. Pływałem wtedy na handlowej brygantynie Petrel. Szliśmy do Miami na Florydzie. Florydańscy przegrali właśnie dużą bitwę morską i musieli błagać o pokój. Byliśmy tam pierwszym deceańskim statkiem kupieckim od dziesięciu lat i spodziewaliśmy się niezłych zysków. Pokochaliby nasze towary, choć nie musieli kochać nas samych. Po drodze zaatakowali nas jednak kareliańscy piraci.

Churchill myślał początkowo, że Karelianie to mieszkańcy Karoliny, ale kilka wypowiedzianych przez Whitrowa zdań zmieniło jego przekonanie. Miał wrażenie, że nazwą

tą określano ludzi mieszkających za morzem. Jeśli się nie mylił, Ameryka nie była kompletnie odcięta od świata.

Karelianie staranowali kupiecki statek i zaatakowali go abordażem. W czasie walki Whitrow miał szczęście osłonić bogatego kupca przed szerokim mieczem jednego z piratów. Piraci zostali w końcu odparci, choć straty własne były ogromne. Oficerowie zginęli w walce, więc Whitrow objął dowództwo, ale zamiast zawrócić, popłynął jednak do Miami. Sprzedał towary z wielkim zyskiem.

Od tego czasu odnosił same sukcesy. Wkrótce otrzymał pierwsze dowództwo. Jako kapitan miał wiele okazji, by pomnożyć prywatny majątek. Co więcej, uratowany przed niechybną śmiercią kupiec, dobrze zorientowany w operacjach finansowych Manhattanu i Waszyngtonu, odwdzieczył się wskazując mu okazje, na których można było dobrze zarobić.

— Byłem częstym gościem w jego domu i tam poznałem Angelę. Po ślubie zostałem współnikiem jej ojca. I tak osiągnąłem to, co mam: piętnaście dużych statków handlowych, kilka farm. Jestem dumnym ojcem zdrowych, ładnych dzieciaków. Oby Columbia dalej darzyła nas swym błogosławieństwem!

— Piję za to — powiedział Churchill i osuszył kolejną, dziesiątą już, szklaneczkę wina. Wcześniej usiłował powstrzymać się od picia w przekonaniu, że bystry dowcip może mu się przydać, lecz Whitrow nalegał, by goście pili równo z nim. Sarvant odmówił i od tej chwili gospodarz zwracał się do niego tylko w odpowiedzi na jakieś adresowane bezpośrednio pytanie.

Przy stole tymczasem bawiono się już na całego. Dzieciaki piły wino i piwo; pił nawet najmłodszy z chłopców mający zaledwie sześć lat. Nie chichotały już dyskretnie, lecz śmiały się hałaśliwie, zwłaszcza z kolejnych dowcipów gospodarza, które z pewnością wprawiłyby w zachwyt Rabelais'a. Stojący za krzesłami służący ryczeli ze śmiechu, aż łzy ciekły im po policzkach, już po kilku chwilach trzymając się rękami za obolałe boki.

Ludzie ci nie odmawiali sobie żadnych prostych radości życia. Mlaskali i siorbali przy jedzeniu, gadali dużo i najczęściej z pełnymi ustami, a kiedy tata beknął głośno, któreś z dzieci musiało mu natychmiast dorównać, a nawet go przewyższyć.

Churchillem wstrząsnęło początkowo takie zwierzęce zachowanie ślicznej Robin. Uświadomił sobie dzielącą ich przepaść, głębszą niż osiemset lat różnicy wieku. Jednak po piątej szklaneczce jego obrzydzenie zmalało wyraźnie. Stwierdził po prostu, że stosunek tych ludzi do przyjemności stołu jest zdrowszy, niż w jego czasach. Nie ma, pomyślał, manier bezwzględnie dobrych i bezwzględnie złych. To zwyczaje określają reguły przyzwoitego zachowania.

Sarvant był najwyraźniej innego zdania. W trakcie kolacji milkł stopniowo, aż w końcu w ogóle nie odrywał wzroku od talerza.

Humor Whitrowa stawał się natomiast coraz jowialniejszy. Kiedy przechodziła obok niego żona, idąca do kuchni, by wydać polecenia służbie, dał jej mocnego przyjacielskiego klapsa w duży tyłek i śmiejąc się powiedział, że przypomina mu to noc, w której poczęła się Robin. Przeszedł do szczegółów.

W trakcie tej opowieści Sarvant nie wytrzymał. Wstał i bez słowa wyszedł z domu. Zdumieni, wszyscy umilkli.

Przedłużającą się ciszę przerwał w końcu Whitrow.

— Czy twój przyjaciel zachorował?

— Tak to można nazwać — odparł Churchill. — W jego ojczyźnie seks był tabu.

Whitrow zdumiał się.

— Ale... jak to możliwe? Co za dziwny zwyczaj?

— Wy chyba też macie jakieś swoje tabu, które jemu wydałyby się zdumiewające. Jeśli pozwolisz, wyjdę i zapytam go, co ma zamiar zrobić. Wrócę za chwilę.

Churchill znalazł Sarvanta w niezwykłym miejscu: uwieszona w połowie totemowego słupa, trzymającego się kurczowo wyrzeźbionej na nim zwierzęcej głowy. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na zalany światłem księżycy trawnik, by wskoczyć z powrotem do domu.

— Tam jest lwica! Zapędziła Sarvanta na totem!

— Ach, to pewnie Alice. Wypuszczamy ją w nocy żeby odstraszyć złodziei. Poproszę Robin, by się nią zajęła. Ona i jej matka lepiej radzą sobie z wielkimi kotami niż ja. Robin, czy mogłabyś odprowadzić Alice?

— Wolałabym raczej zabrać ją ze sobą. Tato, czy miałbyś coś przeciwko temu by pan Churchill zabrał mnie teraz na koncert, możecie przecież porozmawiać później. Jestem pewna, że chętnie przyjmie twoją propozycję i zamieszka z nami na stałe.

Między ojcem i córką doszło do jakiegoś tajemniczego porozumienia i Whitrow uśmiechnął się szeroko.

— Oczywiście. Panie Churchill, czy zechce pan być gościem w moim domu? Niech pan zostanie z nami tak długo, jak tylko pan zechce.

— Czuję się zaszczycony. Czy to zaproszenie dotyczy również mego kolegi?

— Jeśli zechce je przyjąć. Ale wątpię, czy będzie się dobrze czuł wśród nas.

Churchill otworzył drzwi i przepuścił przed siebie Robin. Dziewczyna bez najmniejszej obawy wzięła lwicę za obrożę,

— Sarvant, złaż — krzyknął Churchill. — Chrześcijanie nie są tu jeszcze rzućani lwom na pożarcie!

Sarvant zlażł na ziemię bez przekonania.

— Nie powinienem przerazić się aż tak. Zaskoczyła mnie. Czegoś takiego w ogóle się nie spodziewałem.

— Nikt cię nie gani za to, że dałeś dyla. Na twoim miejscu zrobiłbym z pewnością to

samo. Górskiego lwa raczej trudno zlekceważyć.

— Zaczekajcie — powiedziała Robin. — Wezmę smycz.

Podrapała lwicę po łbie i gardle. Wielki kot zamruczał, co przypominało nieco odgłos dalekiego grzmotu, a na komendę swej pani posłusznie odszedł z nią za dom.

— W porządku, Sarvant. A teraz powiedz mi, dlaczego zmyłeś się tak cholernie „dyskretnie”? Czy nie zdawałeś sobie sprawy z tego, że możesz śmiertelnie obrazić gospodarza? Mamy szczęście, bo Whitrow się nie wściekł. Stanałeś na drodze losu, który dla odmiany zgotował nam całkiem przyjemną niespodziankę.

Sarvant był zły.

— Chyba nie spodziewałeś się, że będę po prostu siedział tam i tolerował takie zwierzęce zachowanie? Te jego obsceniczne opisy pożycia z żoną?

— Zrozum, tu i teraz nie ma w tym nic zdroźnego. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ci ludzie... no, oni po prostu mocno stoją na ziemi. Lubią dobrą zabawę w łóżku i z radością wracają do niej w rozmowie.

— Dobry Boże, ty ich chyba nie usprawiedliwiasz?

— Sarvant, przestaję cię rozumieć. Na Vixie obserwowałeś obyczaje gorsze niż tu, nawet obrzydliwe. Przeciwno nim nie protestowałeś!

— Jest pewna różnica. Vixanie to nie ludzie.

— Ale humanoidzi. A tych ludzi też nie należy oceniać naszymi kryteriami.

— Czy to oznacza również, że mam się śmiać z ich łózkowych dowcipów?

— Sam czułem się trochę nieswojo, kiedy opowiadał o poczęciu Robin. Może dlatego, że ona się temu przysłuchiwała. Ale najwyraźniej nie sprawiało jej to przykrości. Przecież śmiała się wraz z innymi, serdecznie i szczerze.

— Ci ludzie to degeneraci! Bóg ich pokaże!

— A ja myślałem, że jesteś kapłanem Boga Pokoju?

— Co? — Sarvanta zatkało na moment, a po dłuższej chwili rzekł cicho: — Masz rację. Nienawidziłem, kiedy powinienem kochać. Ale przecież jestem tylko człowiekiem. Jednak nawet taki poganin jak ty, ma prawo przywołać mnie do porządku, kiedy zacznę mówić o potępieniu.

— Whitrow zaprasza cię do domu.

Sarvant potrząsnął głową.

— Nie, nie zniósłbym tego. Jeden Bóg wie, co mogłoby się zdarzyć w nocy. Nie byłbym zbyt zaskoczony, gdyby wsadził mi do łóżka własną żonę.

— Co to, to raczej nie — roześmiał się Churchill. — Whitrow nie jest przecież Eskimosem. Nie wolno sądzić go po słowach. Ich zwyczaje seksualne mogą być pod pewnymi względami znacznie mniej swobodne niż nasze. Co masz zamiar zrobić?

— Znajdę sobie coś w rodzaju motelu na noc. A ty?

— Robin chyba chce mnie zabrać do miasta. Przenocuję tutaj. Nie chcę zmarno-

wać tej szansy. Dzięki Whitrowowi możemy zdobyć niezłą pozycję tu, w Waszyngtonie. W pewnym sensie to miasto wcale się nie zmieniło. Nadal opłaca się znać wpływowych ludzi.

Sarvant wyciągnął rękę. Jego śmieszna twarz dziadka do orzechów była śmiertelnie poważna.

— Niech cię Bóg prowadzi — rzekł i odszedł w ciemność ulicy.

Robin wyszła z domu. W jednej ręce trzymała smycz, w drugiej dużą skórzaną torbę. Najwyraźniej nie ograniczyła się do wzięcia na smycz lwicy; nawet w bladym świetle księżycy widać było, że przebrała się i poprawiła makijaż. Zamiast sandałów miała na nogach pantofle na wysokich obcasach.

— Gdzie jest twój przyjaciel? — zapytała.

— Poszedł poszukać noclegu.

— To dobrze. Nie spodobał mi się. I bałam się, że będę musiała być nieuprzejma, bo nie chciałam, żeby poszedł z nami.

— Po pierwsze nie potrafię sobie wyobrazić, byś mogła być nieuprzejma, a po drugie, nie trać czasu martwiąc się o Sarvanta. On chyba lubi cierpieć. Dokąd idziemy?

— Myślałam o koncercie w parku, ale tam musielibyśmy zbyt długo siedzieć w jednym miejscu. Możemy iść do wesołego miasteczka. Wiesz, co to takiego?

— Wiem. Ciekawe, czy się zmieniło. Ale mnie wszystko jedno, dokąd pójdziemy. Chcę tylko być z tobą.

— Wydawało mi się, że mnie polubiłeś — Robin uśmiechnęła się.

— Oczywiście. Przecież jestem mężczyzną. Dziwię się tylko, że i ty chyba mnie lubisz. Przecież nawet nie jestem przystojny, taki sobie rudy zapaśnik z twarzą dziecka.

— Lubię dzieci — odpowiedziała mu ze śmiechem. — I nie udawaj niewiniątka. Jestem pewna, że skotłowałeś sto dziewczyn!

Churchill skrzywił się. Najwyraźniej nie był aż tak niewrażliwy na deceański język, jak sądził Sarvant. Niemniej miał wystarczająco wiele zdrowego rozsądku, by się nie przechwalać.

— Mogę ci przysiąc na klęczkach, że nie tknąłem kobiety... od ośmiuset lat!

— Och, Columbio! — krzyknęła Robin z udanym przestraczem. — To cud, że nie wybuchłeś pod tym ciśnieniem!

Zachichotała wesoło, a Churchill zarumienił się. Był zadowolony, że oświetla ich tylko księżyc.

Mam pomysł! — wykrzyknęła Robin radośnie. — Może byśmy tak sobie poześlowali? Księżyc jest w pełni i na Potomacu będzie bardzo pięknie. Uciekniemy od tego upału. Nad wodą jest zawsze trochę wiatru.

— Doskonale, ale to długi spacer.

— Chroń nas, Dziewico! Chyba nie myślisz że pójdziemy tam piechotą. Powóz już

czeka.

Sięgnęła do kieszeni szerokiej spódnicy i wyciągnęła mały gwizdek. Wysokiemu, przeraźliwemu dźwiękowi natychmiast odpowiedział stukot kopyt na żwirze podjazdu. Churchill podsadził dziewczynę, za nimi wskoczyła Alice i ułożyła się u ich stóp grzejąc im nogi. Woźnica zawołał „wio!” i powóz popędził oblaną światłem księżycą ulicą. Churchill zastanowił się przelotnie, dlaczego Robin zabrała ze sobą lwicę, skoro z tyłu powozu stali dwaj uzbrojeni mężczyźni. Pewnie była rodzajem dodatkowego zabezpieczenia; w walce wystarczyłyby za dziesięciu zbrojnych.

Wysiedli z powozu we trójkę. Robin poleciła służbie czekać na ich powrót. Gdy schodzili na nabrzeże, Churchill zapytał:

— Nie będą się nudzić czekając na nas?

— Nie sądzę. Mają butelkę i kości.

Alice wskoczyła na jacht pierwsza i ulokowała się na dachu małej kabinki, mając pewnie nadzieję, że tam nie zmoknie. Churchill odcumował łódź, odepchnął ją od nabrzeża i wskoczył na pokład. Przez parę chwil obydwójce zajęci byli stawianiem żagli i klarowaniem osprzętu.

Żeglowało się wspaniale. Księżyc świecił niezbyt mocno, lecz wystarczająco, a wiatru było akurat tyle, by nabrali szybkości. Miasto wyglądało jak czarny potwór o tysiącu błyszczących niespokojnych oczu — pochodni, niesionych przez spacerujących po ulicach ludzi. Churchill usiadł na rufie trzymając rumpel jedną ręką, a drugą obejmując dziewczynę. Opowiadał o Waszyngtonie sprzed ośmiuset lat.

— Mnóstwo wież stało obok siebie. W powietrzu łączyły je mosty, pod ziemią tunele. Wieże wbijały się w niebo na dwa kilometry i na dwa kilometry wbite były w ziemię. Światła świeciły tak mocno, że miasto nie znało nocy.

— A teraz wszystko minęło, zburzone i pokryte pyłem — powiedziała dziewczyna i zadrżała, jakby sama myśl o ogromie betonu i stali, i milionach zmarłych ludzi, przejęła ją chłodem. Churchill przytulił ją mocniej i nie czując oporu, pocałował. Pomyślał, że nadszedł czas, by zwinąć żagle i rzucić kotwicę. Czy Alice będzie zaniepokojona? Pomyślał, że Robin z pewnością wie, jak zachować się w tych okolicznościach. Może będą musieli zejść do kabiny, chociaż wolałyby zostać na pokładzie. Być może lwica nie będzie protestować, kiedy zostanie zamknięta w kabinie?

Ale nie dane mu było się o tym przekonać. Kiedy prosto z mostu powiedział Robin, czemu zabiera się do zrzucenia żagli, odpowiedziała mu, że nie ma się po co trudzić. W każdym razie nie teraz. Mówiła cicho i uśmiechała się. Powiedziała nawet, że jest jej przykro.

— Nie masz pojęcia, co ze mną zrobiłeś, Rud — mówiła. — Chyba się w tobie zakochałam. Ale nie jestem pewna, czy kocham właśnie ciebie, czy też brata Słonecznego Bohatera. Jesteś dla mnie więcej niż mężczyzną, pod wieloma względami jesteś półbogiem.



Urodziłeś się osiemset lat temu i podróżowałaś tak daleko, że kręci mi się w głowie, kiedy próbuję o tym myśleć. Widzę wokół ciebie światło, które świeci nawet w dzień. Ale jestem porządną dziewczyną. Nie mogę, chociaż Columbia wie, jak bardzo bym chciała kochać się z tobą teraz. Muszę być pewna... Ale rozumiem co czujesz. Czemu nie pójdziesz jutro do Świątyni Gotew?

Churchill nie miał pojęcia, o czym Robin mówi. Obawiał się, że obraził ją tak mocno, że nigdy więcej nie będzie chciała go widzieć na oczy. Przecież to nie tylko pożądanie zwróciło go ku tej dziewczynie; tego był pewien. Kochałby ją i pragnął jej nawet wśród setki innych!

— Wracajmy — powiedziała Robin. — Niestety, chyba popsułam ci humor. To moja wina. Nie powinnam cię pocałować. Ale tak bardzo chciałam!

— Więc nie jesteś na mnie zła?

— A czemu?

— Nie, nic. Znów jestem szczęśliwy.

Przycumowali łódź i zaczęli wspinać się po schodach do czekającego na nich powozu. Churchill zatrzymał się nagle.

— Robin, kiedy, i właściwie czego masz być pewna...?

— Jutro idę do świątyni. Powiem ci, jak wrócę.

— Będziesz modlić się o objawienie? Coś w tym rodzaju?

— Będę się modlić, ale nie tylko o to chodzi. Chcę, żeby kapłanki mnie zbadały.

— I po badaniu będziesz pewna, że chcesz wyjść za mnie za mąż?

— O Bogini, nie! Przecież muszę cię lepiej poznać, nim zaczniemy myśleć o małżeństwie. Skądże! Kapłanki powiedzą, czy mogę iść z tobą do łóżka.

— A co to za badania.

— Jeśli nie wiesz, nie martwisz się. Jutro już będę pewna.

— Pewna czego? — rozgniewał się Churchill.

— Pewna tego, że mogę już przestać udawać dziewicę — Robin miała na twarzy wyraz zachwyty. — Dowiem się, czy noszę w sobie dziecko Słonecznego Bohatera!

## Rozdział siódmy

Rankiem tego dnia, w którym Słoneczny Bohater miał poprowadzić procesję do Baltimore, lało jak z cebra. Stagg i Calthorp siedzieli w namiocie bez ścian i dla rozgrzewki popijali grzaną whisky. Nieruchomy jak posąg Stagg poddawał się codziennemu rytuałowi malowania pośladków i genitaliów, koniecznemu, gdyż farba ścierała się nocami. Trójka dziewcząt, których jedynym zadaniem było malowanie tych dekoracji, chichotała i prawiła mu komplementy, na które nie zwracał żadnej uwagi. Milczał i milczał także Calthorp, który zazwyczaj gadał jak najęty, próbując pocieszyć jakoś swego kapitana.

Pierwszy odezwał się Stagg.

— Doktorku, wiesz, że Wiele Łaski opuściliśmy już dziesięć dni temu? Dziesięć dni, dziesięć miast. Powinniśmy już mieć przynajmniej jakiś plan ucieczki. Tak naprawdę, gdybyśmy nadal byli tacy jak kiedyś, siedzielibyśmy teraz za siedmioma górami i siedmioma lasami. Tyle tylko, że o ucieczce mogę myśleć wyłącznie rano, kiedy jestem zbyt zmordowany i przygnębiony, by zdziałać coś konkretnego. W południe wszystko przestaje mnie obchodzić i świat znowu wygląda pięknie, a to, co robię, coraz bardziej mi się podoba.

— A ja nie jestem żadną pomocą, prawda? — stwierdził smutno Calthorp. — Upijam się na równi z tobą i rano mam takiego kaca, że nie potrafiłbym dać kopniaka gryzącemu mnie psu.

— Co się tu u diabła dzieje? — zapytał z gniewem Stagg. — Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że ja nawet nie wiem, co tu jest grane i co się ma stać ze mną, kiedy ten cały cyrk się skończy? Ba, nie mam nawet zielonego pojęcia, kim jest właściwie ten Słoneczny Bohater?

— To moja wina. Nie mogę się jakoś pozbierać.

Stagg spojrział na jednego ze strażników, stojących przy wejściu do sąsiedniego namiotu.

— Jak myślisz, powiedziałyby mi wszystko, gdybym zagroził, że skręcę mu kark?

— Zawsze warto spróbować.

Stagg wstał z krzesła.

— Podaj mi płaszcz, dobrze? Mam nadzieję, że pozwolą mi go włożyć. Przecież pada deszcz.

Ta niezwykła uwaga dotyczyła incydentu, który wydarzył się poprzedniego dnia. Kapitan włożył kilt, by nie przerażać zamkniętej w klatce dziewczyny, z którą chciał porozmawiać. Służący dostali szoku i wezwali strażników. Strażnicy otoczyli Stagga i nim zorientował się, o co im chodzi, jeden z nich zerwał z niego kilt i uciekł do lasu. Znikł na cały dzień przerażony tym, na co się naraził: gniewem swego herosa, ale nauka nie poszła w las. Od Słonecznego Bohatera wymagano, by paradował w całej swej nagiej chwale przed oczami pełnych podziwu wyznawców.

Okryty płaszczem Stagg wyszedł z namiotu i deptając bosymi stopami mokrą trawę ruszył przed siebie. Wierna Straż szła za nim w pełnej szacunku odległości.

Zatrzymał się przed klatką. Siedząca w niej dziewczyna spojrzała na niego i szybko odwróciła wzrok. Zapadła cisza.

— Na litość boską powiedz coś! Jestem więźniem, jak ty. Też mam swoją klatkę!

Dziewczyna chwyciła się kurczowo prętów i przytuliła do nich swą śliczną buzię.

— Powiedziałeś „na miłość boską!” Co to znaczy? Czy ty też jesteś Caseylandczykiem? Niemożliwe. Nie mówisz jak moi rodacy? Ale też nie mówisz jak DeCeańczyk i jak nikt, kogo spotkałam. Powiedz mi, czy ty wierzysz w Columbię?

— Wyjaśnię wszystko, jak tylko dasz mi szansę. Ale Bogu dzięki, że się w ogóle odezwałaś.

— Znowu „Bóg”. Nie, nie możesz być wyznawcą tej suki Columbii. Więc dlaczego jesteś Rogatym Królem?

— Miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz. A jeśli nie, może dowiem się czegoś innego... — Wyciągnął butelkę. — Napijesz się?

— Chciałabym się napić, tak. Ale nie mogę przyjąć daru od wroga. Możesz być wrogiem.

Stagg z trudnością rozumiał dziewczynę. Dzięki podobieństwu części słów łapał ogólny sens, ale wymowa niektórych samogłosek była inna, podobnie jak modyfikacja znaczeń wysokością głosu.

— Czy znasz decański? Nie radzę sobie z caseylandzkim.

— Owszem, całkiem nieźle. Jaki jest twój ojczysty język?

— Amerykański XXI wieku. Dziewczyna westchnęła z zaskoczenia, a jej wielkie oczy stały się jeszcze większe.

— Jak to?

— Urodziłem się w dwudziestym pierwszym wieku. Trzydziestego stycznia 2030 roku... to będzie...

— Nie musisz mi mówić — odpowiedziała w jego rodzinnym języku. — To będzie...

no... 1 A.D. to 2100 B.D. Więc... według kalendarza DeCe urodziłeś się w roku siedemdziesiątym B.D. Ale co to ma za znaczenie? My, Caseylandczycy liczymy lata w starym stylu.

Stagg w końcu przestał gapić ze zdumieniem na dziewczynę.

— Mówisz amerykańskim z XXI wieku? No, czymś podobnym?

— Tak. Zazwyczaj używają go tylko kapłani, ale mój ojciec jest bogaty. Studiowałam na Uniwersytecie Bostońskim. Tam nauczyli mnie kościelnego amerykańskiego.

— Czy to jest teraz język liturgii?

— Tak. Łacina nie przetrwała Spustoszenia.

— Muszę się napić — stwierdził Stagg. — A ty? No, to w ręce pań!

Dziewczyna uśmiechnęła się i powiedziała:

— Nie wszystko, co mi mówiłeś, zrozumiałam, ale napiję się.

Stagg przesunął butelkę przez pręty klatki.

— Przynajmniej znam twe imię. Nazywasz się Mary-Idę-Do-Raju-Mała Caseyka. Strażnicy nie chcieli powiedzieć mi nic więcej.

Mary oddała mu butelkę.

— Cudowne. Dawno nie piłam. Mówiłeś coś o strażnikach? Po co ci strażnicy? Myślałam, że wszyscy Słoneczni Bohaterowie są ochotnikami.

Stagg opowiedział jej o sobie. Nie miał czasu na szczegóły; zresztą, patrząc na Mary, łatwo mu było zorientować się, że rozumie ona zaledwie połowę jego opowieści. Od czasu do czasu musiał przechodzić na decański — dziewczyna mogła sobie studiować liturgiczny amerykański, ale z pewnością go do końca nie opanowała.

— Więc widzisz — kończył — jestem ofiarą tak samo jak ty. Nie odpowiadam za to, co robię.

Mary zarumieniła się.

— Nie chcę o tym mówić. Moja dusza płacze.

— Moja też. To znaczy z rana. Później...

— I nie możesz uciec?

— Jasne, że mogę. Po to, żeby pędem wrócić.

— Och, ci wstrętni DeCeańczycy! Musieli cię zaczarować, musieli zakląć ci diabła w podbrzuszu! Gdybyśmy tylko mogli uciec do Caseylandu, nasi kapłani odprawiliby egzorcyzmy.

Stagg rozejrzał się.

— Zaczynają zwijać obóz. Za chwilę ruszamy. Słuchaj, opowiedziałem ci o sobie, a o tobie dalej nie wiem nic. Skąd jesteś? Jak cię złapali? Pewnie mogłabyś wyjaśnić, co się ze mną dzieje i o co w ogóle chodzi z tym Słonecznym Bohaterem.

— Nie rozumiem? Przecież Cal... — Mary przykryła usta dłonią.

— Cal? Calthorp? Co on ma z tym wspólnego? Tylko mi nie opowiadaj, że z tobą

rozmawiał. Mówił mi, że nic nie wie...

— Tak, rozmawiał ze mną. Myślałam, że wszystko ci powiedział.

— Nic mi nie powiedział! Twierdził, że jest tak samo głupi jak ja! Co...  
Zabrakło mu słów i pędem uciekł spod klatki.

Odzyskał głos biegnąc przez pola. Pędził, wykrzykując imię małego antropologa ile sił w płucach. Przerażeni ludzie uskakiwali mu z drogi pewni, że Wielki Rogacz oszalał. Calthorp wyszedł przed namiot i widząc biegnącego Stagga zwał w popłochu przez drogę. Nie powstrzymało go nawet kamienne ogrodzenie; przeskoczył je jak akrobata, zachwiał się i dalej uciekał ile sił w cienkich nóżkach, by wreszcie zniknąć wśród zabudowań najbliższej farmy. Poganiał go wrzask: — Kiedy cię złapię, Calthorp, połamię ci wszystkie gnaty!

Stagg zatrzymał się, dysząc ciężko. Po chwili odwrócił się i pomaszerował z powrotem mrużąc: — Ale czemu? Czemu?

Deszcz ustał nagle. Niebo przetańczyło się i w ciągu zaledwie kilku minut zabłysło czystym południowym słońcem.

Stagg zerwał płaszcz i cisnął nim wściekle o ziemię.

— Do diabła z tobą, Calthorp! — wrzasnął. — Nie potrzebuję cię i nigdy nie potrzebowałam. Zdrajca! Idź do diabła!

Zawołał Sylwię, służącą, i rozkazał przynieść jedzenie i picie. Jadł i pił jak zwykle po południu, a kiedy skończył, rozejrzał się dziko dookoła. Rogi, rankiem miękkie i chwiejące się przy każdym ruchu głowy, uniosły się i stwardniały.

— Jak daleko do Baltimore! — ryknął.

— Dwa i pół kilometra, sire. Czy mam wezwać powóz?

— Do diabła z powozem! Za wolno jedzie! Pobiegnę do Baltimore, zaskoczę miasto, spadnę im na karki, nim zorientują się, co się stało. Pomyślą, że napadł na nich sam wielki przodek wszystkich Rogaczy! A ja poszaleję sobie, skotłuję im wszystkie baby! Nie tylko te ich maskotki, nie tylko te, które mi przygotowali! Żadne Miss Ameryka! Całe miasto!

Sylwia była przerażona.

— Sire, ale... tak się nie robi. Od niepamiętnych czasów...

— Jestem Słonecznym Bohaterem, czy nie? Rogatym Królem, czy nie!? Robię, co zechcę, czy nie!!!?

Porwał z tacy butelkę i pobiegł drogą.

Najpierw biegł po betonowej nawierzchni, ale beton ranił nawet jego stwardniałe jak żelazo stopy, więc skręcił na trawę, nie zmieniając tempa ani kierunku.

— Tak lepiej — powiedział do siebie. — Im bliżej jestem Matki Ziemi, tym lepiej dla mnie i tym lepiej się czuję. Być może przekonanie, że mężczyzna odzyskuje siły dotykając ziemi, to tylko głupi przesąd, ale wierzę tym DeCeańczykom. Czuję, jak wypełnia

mnie siła płynąca z serca Matki Ziemi, jak jej prąd przepływa przez me ciało i ładuje je. I czuję, jak wraz z tym prądem wypełnia mnie moc; wielka, tak wielka, że moje ciało jej nie wystarcza. I moc przebiega przeze mnie i bije z rogów w niebo. Czuję to!

Zatrzymał się na chwilę, by otworzyć butelkę. Wypił. Dostrzegł biegnących za nim strażników, ale dzieliło ich od niego jakieś dwieście metrów. Nie mieli jego siły i szybkości, ani dodającego sprężystości i mocy poroża. Stagg pomyślał, że jest zapewne najsilniejszym i najszybszym z ludzi, jacy kiedykolwiek żyli na ziemi. Napił się znowu. Strażnicy zbliżyli się trochę, ale dyszeli ciężko i brakowało im tchu. Nałożyli strzały na cięciwy, lecz Stagg nie przypuszczał, by mieli strzelać, przynajmniej tak długo, jak długo nie zboczy z drogi do Baltimore. A on nie miał zamiaru z niej zbaczać. Pragnął biec przed siebie po wypukłej piersi Ziemi, czuć przepływającą przez niego i bijącą w niebo moc, czuć ekstazę kłębiących się pod czaszką myśli.

Biegł coraz szybciej. Co kilka kroków wyskakiwał w powietrze, krzycząc jakieś dziwne słowa zrodzone z radości, z poczucia wypełniającej go siły i płodności, i z zaspokojenia nienazwanych tęsknot. Krzyczał w języku pierwszych żyjących na ziemi ludzi, w języku dążącym dopiero ku mowie, formującym się w ustach dwunożnych małp, usiłujących po raz pierwszy nazwać otaczający je świat. Stagg znał ten świat i nie próbował go nazywać, chciał nazwać uczucia i tak jak jego przodkowie odlegli o setki tysięcy lat, nie potrafił tego dokonać. Lecz radością napełniał go sam wysiłek, sama chęć nazywania. A z tego natężonego wysiłku rodziła się świadomość obecności czegoś nowego, czegoś, czego człowiek nigdy jeszcze nie doświadczył, czego nie doświadczyła zapewne żadna żyjąca na Ziemi istota.

Biegł i zauważył idących z przeciwka mężczyznę, kobietę i dziecko. Ludzie ci dostrzegli go i zamarli w zdumionym bezruchu, a rozpoznając Słonecznego Bohatera upadli na kolana. Stagg przebiegł koło nich krzycząc: „Waż się wydaje, że jestem sam? Nie! Jest ze mną Ziemia, Matka moja i wasza. Ziemia jest moją Kochanką i idzie za mną tam, gdziekolwiek ja idę. Była ze mną nawet wtedy, gdy przemierzałem Kosmos ku miejscom odległym o lata świetlne; mam na to dowód, bowiem wróciłem, jestem właśnie tu, i po ośmiuset latach narzeczeństwa będę z nią brał ślub!”

Minał ich wciąż biegnąc i krzycząc, nie troszcząc się o to, czy go słyszą. Chciał mówić, mówić, mówić... krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć... wypalić płuca wykrzykując tę prawdę — do końca.

Zatrzymał się nagle. Dostrzegł wielkiego, rudego rogacza pasącego się na ogrodzonej łące; jedyne samca w stadzie wielu łani, ciężkiego jak wół rozplodowca o krótkich nogach, wielkim ciele i głupich, lecz błyszczących życiem i żądzą oczach; zwierzę hodowane dla mięsa i mleka, prawdopodobnie bezcenne w tej hodowli.

Jednym susem przesadził ogrodzenie, choć miało półtora metra wysokości i zrobione było ze spojonych zaprawą kamieni, które nie rozpadłyby się od uderzenia. Wylądow-

wał pewnie i pobiegł w stronę byka, ryczącego, lecz nie zamierzającego się cofnąć. Ła- nie rozbiegły się i uciekły w kąt przy ogrodzeniu, skąd przyglądały się im ciekawie. Pod- niecone, czekały jak psy, tak głośno, że z pobliskiej stodoły wyskoczył ich przerażo- ny właściciel.

A Stagg biegł w kierunku wielkiego samca. Zwierzę stało nieruchomo, dopuszczając człowieka na mniej więcej dwadzieścia metrów, po czym gwałtownie schyliło łeb nastawiając rogi, ryknęło wyzywająco, i zaszarżowało.

Człowiek roześmiał się radośnie i biegł dalej. Z niezwykłą zręcznością wybrał właściwy ułamek sekundy i skoczył wysoko w powietrze, rozgałęzione rogi świsnęły w miejscu, w którym stał przed chwilą i chybiły. Człowiek podciągnął w uniku nogi, a następnie wyprostował je tak, że stopy dotknęły głowy bestii: jedna u nasady rogów, druga na napiętym karku. W tej samej chwili jeleni poderwał łeb, próbując zadać kolejny cios. Ten ruch człowiek wykorzystał jak odbicie z trampoliny, skoczył na szeroki zad zwierzęcia i odbił się, wykonując salto, by następnie wylądować na jego grzbiecie. Poślizgnął się jednak, stoczył z karku jelenia i spadł na ziemię.

Zwierzę raz jeszcze ryknęło wyzywająco, obróciło się, i ponownie spróbowało ataku. Człowiek zdążył już jednak wstać, zrobił unik, chwycił wielkie ucho i jednym susem znalazł się na grzbiecie.

Przez następne pięć minut nieruchomy i zdumiony farmer patrzył, jak nagi mężczyzna ujeżdża jego jelenia; skaczącego, wierzgającego, kręcącego się w miejscu, parszającego wściekle, i jak te wszystkie wysiłki okazują się w końcu daremne, bo jeździec nie daje się zrzucić z grzbietu. Wreszcie jeleni dał za wygraną i znieruchomiał. Oczy wychodziły mu z orbit, z rozwartego pyska kapąła ślina, oddech wydobywał się ze świstem z umęczonych płuc.

— Otwórz bramę — krzyknął Stagg. — Jadę do Baltimore! Jadę tak, jak przystoi Rogatemu Królowi!

Milczący farmer otworzył wrota. Nie zamierzał ryzykować odmawiając Słonecznemu Bohaterowi swego bezcennego byka; nie mógłby odmówić mu także domu, żony, córki, życia...

Stagg skierował swego wierzchowca w stronę miasta. Daleko, z przodu, dojrzał pędzący powóz. Nawet z tej odległości dostrzegł Sylwię jadącą uprzedzić mieszkańców o jego wcześniejszym przybyciu i przekazać im obietnicę — obietnicę podbicia miasta.

Miał ochotę pościgać się z nią i przyjechać, jak zamierzał, niezapowiedziany, ale jeleni dyszał ciężko, pozwolił mu więc zwolnić. Pół kilometra przed Baltimore Stagg kopnął bestię piętami w żebra wrzeszcząc jednocześnie w jej uszy. Jeleni przeszedł w kłus, a później, ciągle poganiany przez jeźdźca, w galop. Przejechali między dwoma wzgórzami i nagle znaleźli się na głównej ulicy miasta, ciągnącej się przez dwanaście przecznicy i kończącej na wielkim, centralnym placu, na który w pośpiechu spędzano tłumy.

W chwili, w której wjeżdżał w granice Baltimore, orkiestra zagrała „Columbia, klejnot oceanu” i grupa kapłanek wyszła mu na spotkanie.

Za kapłankami, ściśnięte w tłumie, stały maskotki — szczęśliwe, bo wybrane na ten dzień, narzeczone Słonecznego Bohatera. Wyglądały bardzo pięknie w białych spódniczkach w kształcie dzwonu i białych koronkowych welonach; ich obnażone piersi także ozdobione były kawałkami koronki. Każda z maskotek trzymała w ręku bukiet białych róż.

Stagg pozwolił swemu wierzchowcowi zwolnić i zebrać siły do ostatniego zrywu. Jechał powoli, kłaniając się i pozdrawiając rękami ludzi stojących po obu stronach drogi i wrzeszczących dziko na jego cześć. Do dziewcząt stojących przy rodzicach, nieszczęśnic, które ominąć miała uroczystość, bowiem odpadły w konkursie Miss Ameryka, wołał: „Nie płaczcie! Ja was nie odrzucę! Nie dziś!”

Ulicę wypełnił nagle pisk trąbek, huk bębnów, wrzask syring. Kapłanki były już blisko. Maszerowały, ubrane w jasnobłękitne szaty — kolor zarezerwowany dla bogini Marii, patronki Marylandu. Legenda sławiła Marię, wnuczkę Columbii, córkę Dziewicy, bo pokochała ten kraj i objęła jego mieszkańców swą opieką.

Kapłanek było pięćdziesiąt. Podchodziły coraz bliżej i bliżej, a Stagg stał ciągle i czekał. Kiedy podeszły na mniej więcej pięćdziesiąt metrów, kopnął nagle jelenia piętami i walnął go pięścią w głowę. Zwierzę stanęło dęba, cofnęło się i ruszyło galopem w stronę zaskoczonych kobiet. Kapłanki przerwały śpiew, nie wiedząc co się dzieje. Nagle z przerażeniem stwierdziły, że jeździec nie powstrzymuje swego wierzchowca — przeciwnie, popędza go — i w panice rzuciły się do ucieczki, próbując zejść mu z drogi, jednak zbity w nieruchomą ścianę tłum opierał się ich naciskowi, nie uginając się nawet o milimetr. Rzuciły się więc w inną stronę w poszukiwaniu drogi ucieczki, potrącając się i przeszkadzając sobie nawzajem.

Na miejscu pozostała tylko jedna spośród nich: Wielka Kapłanka, kobieta lat około pięćdziesięciu, trwająca w dziewictwie, którym czciła swą boginię. Stała w miejscu, jakby przykuta do niego swą odwagą. Stała nieruchomo jak posąg, z ręką wyciągniętą w geście błogosławieństwa, którym przywitać miała zjawiającego się Słonecznego Bohatera. Zgodnie ze zwyczajem rzuciła mu pod nogi bukiet nagietków, złotym sierpem kreśląc w powietrzu symbole religijne.

Nagietki wylądowały pod kopytami jelenia i natychmiast zostały stratowane. Uderzona rogami kapłanka upadła na ziemię. Kopyta rozplątały jej czaszkę.

Ta niespodziewana przeszkoda nie powstrzymała ważącego co najmniej tonę, pędzącego jelenia. Z pełną prędkością wbił się w tłum przerażonych kobiet.

I stanął w miejscu, jakby trafił łbem w mur.

A Stagg wzleciał z jego grzbietu. Przez chwilę wydawało się, że zawisł w powietrzu nad grupą kapłanek, którą uderzenie rozbiło na połowy. We wszystkie strony pofrunę-



ły ciała; jedne twarzami ku ziemi, inne plecami, jeszcze inne skulone, koziółkujące. Na spotkanie Stagga pofrunęła głowa, odcięta z karku ciosem twardej kości.

Przeleciał nad błękitnym piekłem i znalazł się nad rajem białych welonów, skrytych za welonami czerwonych ust, wirujących spódniczek i nagich dziewczęcych piersi.

Wylądował w pułapce koronek i ciało i znikł.

## Rozdział ósmy

Peter Stagg spał aż do późnego popołudnia następnego dnia, a i tak obudził się jako drugi człowiek w procesji. Pierwszym był Calthorp, siedzący cierpliwie przy łóżku swego kapitana.

— Kiedy przyjechałeś?

— Do Baltimore? Deptałem ci po piętach. Widziałem, jak jechałeś na jeleniu, jak stratowałeś kapłanki... widziałem wszystko.

Stagg usiadł i jęknął.

— Czuję się tak, jakby mi pozrywano wszystkie mięśnie.

— Sam je sobie pozrywałeś. Poszedłeś spać około dziesiątej rano. Ale powinieneś czuć coś więcej niż zwykły ból. Jak tam twój kark?

— Rzeczywiście, jest coś takiego... Jakby ktoś sparzył mnie papierosem.

— To wszystko? — Calthorp uniósł w zdziwieniu brwi. — Cóż, mogę tylko powiedzieć, że to poroże musi pompować ci w krew coś więcej niż męskie hormony. Coś, co przyspiesza gojenie ran.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi?

— Jak to, przecież zeszłej nocy dostałeś pchnięcie nożem. Żeby cię to choć trochę przyhamowało! Zresztą rana zagoiła się bardzo szybko. Nóż wszedł w ciało chyba tylko na centymetr. Masz cholernie twarde mięśnie.

— Jakbym coś sobie przypominał Stagg drgnął. — A co się stało z zamachowcem?

— Kobiety rozszarpały go na strzępy.

— Dlaczego mnie dziabnął?

— Najwyraźniej miał nie po kolei w głowie. Nie podobało mu się, że zdradzałeś pewne zainteresowanie jego żoną i wyciągnął nóż. Oczywiście, popełnił straszliwe bluźnierstwo. Kobiety pokarały go zębami i pazurami.

— A czemu mówisz, że był psychicznie chory?

— Bo przecież był, przynajmniej z punktu widzenia tej kultury. Nikt przy zdrowych zmysłach nie sprzeciwiałby się stosunkom swej żony ze Słonecznym Bohaterem. Wręcz

przeciwnie, czułby się niezwykle zaszczycony, ponieważ Rogaty Król poświęca zazwyczaj swój czas wyłącznie dziewicom. Ty jednak zrobiłeś zeszłej nocy wyjątek... dla całego miasta. A w każdym razie próbowałeś.

Stagg westchnął ciężko.

— Ta noc była najgorsza. Nawet ofiar jest chyba więcej, prawda?

— O to nie możesz już mieć pretensji do tych ludzi. To ty zacząłeś tę zabawę tratując kapłanki. Przy okazji: skąd ten pomysł?

— Nie mam zielonego pojęcia. Coś mi odbiło. Może podświadomie usiłowałem szukać na tych ludziach zemsty za to, co mi zrobili? — Stagg dotknął rogów i spojrzał na Calthorpa. — Ty Judaszu! No, czego mi jeszcze nie powiedziałeś?

— Dziewczyna się wygadała?

— Tak, ale to nie ma znaczenia. No, doktorku, śpiewaj! Nawet jeśli zranisz me uszy, masz śpiewać! Nie zrobię ci krzywdy. Te rogi to dobry wskaźnik poziomu intelektualnego. Widzisz, jak oklapły?

— Zacząłem podejrzewać prawdę, kiedy tylko nauczyłem się ich języka — opowiadał Calthorp — ale nie byłem całkiem pewny dopóty, dopóki nie wyposażyli cię w te rogi. Chciałem ci wszystko powiedzieć dopiero wtedy, gdy wymyślę jakiś sposób ucieczki; bałem się, że jeśli sam spróbujesz czegoś durnego, skończysz ze strzałą w plecach. Ale szybko zrozumiałem, że nawet gdybyś zwiął rankiem, wrócisz wieczorem — jeśli nie wcześniej. Ta stercząca ci z czoła biologiczna maszyna obdarzyła cię nie tylko niemal nieograniczonymi możliwościami rozsiewania nasienia, ale również nieokiełznanym pragnieniem, by robić właśnie to! Jesteś nawiedzony, to przypadek najgorszej satyriasis w historii ludzkości!

— To wszystko już wiem — Stagg zaczął się niecierpliwić. — Chcę się tylko dowiedzieć, jaką rolę gram ja? W jakim celu? I po jaką cholere całą ta zabawa w Słonecznego Bohatera?

— Może chciałbyś się najpierw napić?

— Nie. Nie mam zamiaru topić smutków w alkoholu. Dzisiaj mam zamiar czegoś dokonać. Owszem, mam ochotę... na łyk zimnej wody. Chciałbym wykapać się, zmyć pot i brud, ale to może poczekać. Wyjaśnienia, nie. No, dawaj! Szybko!

— Nie mam teraz czasu, by zagłębiać się w mity i historię DeCe. To może poczekać do jutra. Potrafię jednak wyjaśnić, kim jesteś i na czym polega dwuznaczny zaszczyt, którym cię obdarzono. W największym skrócie: łączysz w sobie rolę kilku symbolów religijnych, skupionych w postaciach Słonecznego Bohatera i Rogatego Króla. Słoneczny Bohater jest człowiekiem wybieranym co roku jako żywy symbol Słońca krążącego wokół Ziemi. Tak, oczywiście, Ziemia krąży wokół Słońca; wiem to ja, wiedzą to kapłanki DeCe i cała masa jego nie umiejących czytać i pisać obywateli. Z praktycznego punktu widzenia to jednak Słońce obiega Ziemię i myślą tak wszyscy — nawet naukowcy, kie-

dy przestaną myśleć naukowo. Więc najpierw dokonuje się wyboru Słonecznego Bohatera, a później organizuje ceremonię jego narodzin, która odbywa się około dwudziestego pierwszego grudnia, w dzień zimowego przesilenia. Słońce świeci wtedy najsłabiej i z południa. To dlatego musiałeś zagrać w scenie narodzin i dlatego jedziesz na północ. Powtarzasz drogę, którą przebiega Słońce. I tak samo jak ono, stajesz się mocniejszy. Pewnie sam zauważyłeś, że poroże działa coraz silniej — dowodem te zwariowane wyczyny kaskaderskie, którymi popisywałeś się w Baltimore.

— A co się stanie, kiedy już dotrę na północ? — głos Stagga był pewny i spokojny, a jednak widać było, jak nagle zbladł pod warstwą opalenizny.

— Będzie to w mieście znanym nam jako Albany, stan Nowy Jork. Tamtędy przebiega teraz północna granica DeCe. W Albany mieszka Alba, bogini-macióra. Poświęcona jest jej świnia, ponieważ śmierć, jak świnia, jest wszystkożerna. Alba nosi także tytuł Bogini Białego Księżyca, co również wskazuje na śmierć.

Calthorp zamilkł. Wydawało się, że nie wytrzyma tej rozmowy. Czy miał wilgotne.

— Dawaj, stary. Nie mam zamiaru płakać. Antropolog westchnął głęboko i opanował się.

— Północ, według wierzeń DeCeańczyków, jest krainą, w której Bogini Księżyca więzi Słonecznego Bohatera. Oznacza to...

— Śmierć — dokończył za niego Stagg.

Calthorp przełknął głośno ślinę.

— Tak. Słoneczny Bohater ma zakończyć podróż w dzień letniego przesilenia. Dwudziestego drugiego czerwca.

— A co z Rogatym Królem?

— DeCeańczycy to oszczędny narodek. Połączyli w jednej osobie dwa aspekty boskości. Rogaty Król to symbol męskości. Rodzi się jako słabe, bezradne niemowlę, dorasta i staje się lubieżnym, płodnym mężczyzną, kochankiem i ojcem. Lecz on także przechodzi Wielką Procesję i w końcu musi umrzeć. Spotyka śmierć ślepy, łysy, słaby, pozbawiony potencji. I... będzie walczył o ostatni oddech, ale... Alba zdusi go bez litości.

— Daj sobie spokój z symbolami, doktoru. Użyj normalnej, zwykłej angielszczyzny.

— W Albany odbędzie się ostatnia, największa ceremonia. Dostaniesz też kobiety; ale nie słodkie śliczne dziewice, lecz stare, siwe, wstrętne kapłanki Bogini-maciory. Naturalną niechęć do tych obrzydliwych staruch przezwyciężają, zamykając cię w klatce, aż oszalesz z pożądania i będziesz gotów zgwałcić własną prababcie. Później...

— Później...

— Później zostaniesz oślepiiony, wykastrowany, oskalpowany i powieszony. Przez tydzień trwać będzie żałoba po tobie, a po tygodniu pochowają cię w pozycji płodu pod wielkim dolmenem, bramą zwieńczoną potężnym głazem. Nad twoim grobem kapłani

odmówią modlitwy i złożą ofiary z jelenia.

— To wielka ulga. Powiedz mi, doktorku, dlaczego właśnie mnie wybrano do tej roli? Czy to prawda, że Słoneczni Bohaterowie są zazwyczaj ochotnikami?

— Mężczyźni ubiegają się o ten zaszczyt tak, jak dziewczęta walczą o godność Narzeczonych Rogacza. Wybraniec jest najsilniejszym, najprzystojniejszym, najpłodniejszym młodzieńcem w tym narodzie. Miałeś po prostu pecha: nie tylko spełniasz wszystkie te warunki, lecz także dowodziłeś ludźmi, którzy wstąpili w niebo na płomiennym wierzchołku i wrócili na Ziemię. Krąży tu legenda o Słonecznym Bohaterze, który uczynił właśnie to, co ty. Myślę, że rząd DeCe zdecydował, że jeśli się ciebie pozbędzie, to rozbije jedność załogi i zminimalizuje szansę przywrócenia na Ziemi starej, obrzydliwej nauki. O, widzę, że macha na ciebie Mary Casey. Idź, pewnie ma ci coś ważnego do powiedzenia.

## Rozdział dziewiąty

— Dlaczego rozmawiając ze mną odwracasz wzrok? — zapytał dziewczynę Peter Stagg.

— Ponieważ — odpowiedziała Mary Casey — trudno mi oddzielić jedno od drugiego.

— Co od czego?

— Petera, z którym rozmawiam rano od Petera, którego oglądam wieczorem. Przykro mi, ale nic nie mogę na to poradzić. Zamykam oczy i próbuję myśleć o czymś innym, ale odgłosów nie da się wyciszyć. I chociaż wiem, że nie jesteś temu wszystkiemu winien, nienawidzę cię. Wybacz, ale tak właśnie jest.

— Więc dlaczego mnie przywołałaś?

— Ponieważ wiem, że nie postępuję miłosiernie. Ponieważ wiem, że chciałbyś wyostać się z klatki swego ciała, jak ja z klatki z żelaza. Ponieważ mam nadzieję, że uda się nam wymyślić razem jakiś sposób ucieczki.

— My z Calthorpem mamy już kilka sensownych planów. Problem w tym, jak powstrzymać mnie od powrotu. Gdy tylko zadziałają rogi, zaraz zacznę szukać jakiejś kobiety.

— Taką masz słabą wolę?

— Nawet święty nie oparłby się tym rogom.

— Więc nie mamy nadziei — powiedziała Mary głucho.

— Niezupełnie. Nie mam zamiaru zawędrować z pielgrzymką aż do Albany, wiesz? Mam zamiar zniknąć gdzieś za Manhattanem. Ucieknę w głąsę. Lepiej zginąć próbując uciec, niż dać się zaprowadzić jak cielę na rzeź. Zmieńmy temat. Opowiedz mi o sobie i swym narodzie. Najbardziej przeszkadza mi ignorancja. Po prostu za mało wiem, żeby jakoś sensownie zaplanować sobie życie.

— Z przyjemnością. Chciałabym z kimś pogadać, nawet z... Przepraszam.

Przez następną godzinę Stagg stał przed klatką, a wpatrzona w podłogę Mary opowiadała o sobie i o Caseylandzie. Od czasu do czasu Stagg musiał jej przerywać pyta-

niami — zakładała, że pewne podstawowe fakty są znane wszystkim.

Caseyland zajmował tę część Ameryki, którą dawniej nazywano Nową Anglią. Był nieco rzadziej zaludniony i uboższy od DeCe. Ludność zajmowała się rolnictwem, ale głównym źródłem żywności była hodowla świń i jeleni oraz morze. Mimo wojny z leżącym na południowym zachodzie DeCe, Karelionami z północy i Irokezami z północnego zachodu, prowadzono też z nieprzyjaciółmi handel. Walki toczyły się według zasad skodyfikowanych w niezwykłym dokumencie nazywanym Układami Wojennymi. Na ich podstawie ustalano, ilu wojowników w ciągu roku może przekroczyć granice nieprzyjacielskiego kraju i jaki sposób walki się wybiera. DeCeańczycy i Irokezi zawsze stosowali się do Układów, Karelianie łamali je od czasu do czasu.

— W jaki sposób można wygrać taką wojnę? — zapytał zdumiony Stagg.

— Ależ nikt nie chce niczego wygrywać! Sądzę, że nasi przodkowie opracowali układy w jednym tylko celu: by niespokojni młodzi ludzie mogli się wyszaleć, nie przeszkadzając większości narodu pracującej na roli. Myślę też, że wojna na wielką skalę, bez przestrzegania reguł rozpoczyna się, gdy w jakimś kraju dochodzi do przeludnienia. Na razie nikt nie czuje się wystarczająco silny, by zacząć wojnę bez zasad, Karelianie łamią układy tylko dlatego, że w ich kraju obowiązuje gospodarka wojenna.

Dalej Mary streściła krótko historię i pochodzenie swego narodu. Istniały dwa mity wyjaśniające, dlaczego Caseyland nazywa się właśnie tak. Według pierwszego z nich, po Spustoszeniu powstała organizacja Rycerzy Columbusa, która stworzyła miasto-państwo koło Bostonu. Tak jak niegdyś Rzym, miasto to rozrosło się dzięki podbojom. Nazywano je KC i po pewnym czasie inicjały te zmieniły się w nazwisko Casey, nadane tajemniczemu przodkowi jego mieszkańców.\*

Drugi mit głosił, że to rodzina Caseyów założyła miasto, które nazwano od ich nazwiska. Caseyowie stworzyli system klanowy i w zgodzie z nim każdy z mieszkańców otrzymywał ich nazwisko.

Istniała także trzecia wersja, która była połączeniem dwóch poprzednich i nie cieszyła się wielką popularnością. Według niej człowiek nazwiskiem Casey był dowódcą Rycerzy Columbusa.

— Być może każdy z tych mitów jest fałszywy — podsunął Stagg.

Mary nie była zachwycona jego sugestią, lecz prosta uczciwość nakazywała jej przyznać, że to możliwe.

— A co z tym twierdzeniem DeCeańczyków, że czcicie boga imieniem Columbus i że przywłaszczyliście sobie imię Columbii zmieniając jej wyłącznie płeć? Czy to prawda, że wasz bóg ma dwa imiona: Jehowah i Columbus?

---

\*Rycerze Columbusa, w oryginale: Knights of Columbus. Skrót K.C. podobny jest w wymowie do nazwiska Casey.

— To nie tak — rozzłościła się Mary. — DeCeańczycy pomylili naszego boga ze świętym Columbusem. To prawda, że modlimy się do świętego o wstawiennictwo u Jehowah, lecz nie czcimy go jako boga.

— A kim był święty Columbus?

— Ojej, przecież wszyscy wiedzą, że przybył ze wschodu, zza oceanu, i wylądował w Caseylandzie. To on nawrócił ojców-założycieli miasta, Caseyów, na prawdziwą wiarę. On też założył zakon Rycerzy Columbusa. Gdyby nie święty Columbus, do tej pory bylibyśmy poganami.

Stagg poczuł pierwsze oznaki podniecenia, zdołał jednak zadać dziewczynie jeszcze jedno pytanie.

— Wiem, że dziewice nazywa się tu maskotkami. Może wiesz, skąd się wzięło to określenie?

— Ono istniało zawsze — odpowiedziała Mary, po raz pierwszy patrząc mu prosto w oczy. — Maskotka przynosi szczęście, nie wiedziałeś o tym? Może zauważyłeś, że przy każdej okazji DeCeańczycy starają się dotknąć włosów dojrzałej maskotki. To dlatego, że szczęście może czasami przenieść się na dotykającego. Oczywiście, każdy oddział idący na wyprawę wojenną zawsze zabiera ze sobą maskotkę. W napadzie na Poughkeepsie byłam nią ja. Ten napis na klatce kłamie, to my na nich napadliśmy. Ale czego można się spodziewać po wyznawcach Matki Kłamstwa?

Stagg nabrał przekonania, że Caseylandczycy pomieszali fakty z fikcją dokładnie tak, jak mieszkańcy DeCe. Nie było sensu spierać się z nimi i oddzielać mitów od historii.

Tętnice u podstawy rogów zaczęły mu pulsować, a rogi stwardniały.

— Muszę już iść — powiedział. — Do zobaczenia jutro.

Odszedł szybko, całą siłą woli powstrzymując się by nie biec.

Tak mijały dni i noce. Rankami, osłabiony Stagg planował ucieczkę. Po południu jadł, pił i czasami brawurowo ujeżdżał wierzchowce. Wieczorami... z wieczorów i nocy pozostawał mu w pamięci wrzask i białe ciała, uczucie pulsu bijącego w rytm serca Matki Ziemi, wspomnienie przemiany człowieka w żywioł, w siłę natury; ślepa ekstaza, ciało słuchające rozkazów Władcy, który zmienił je w narzędzie, nie mające możliwości innej niż wypełnianie woli twórcy, który je opętał.

Procesja szła szosą prowadzącą z Waszyngtonu, Autostradą Columbia, niegdyś drogą państwową numer jeden, do Baltimore, gdzie wchodziła na autostradę czterdzieści, znaną jako Droga Marii. Za Wimlin (Wilmington, Delaware) skręcała na autostradę stanową New Jersey, którą nazwano imieniem innej córki Columbii, Njuhzhii. Zatrzymali się na tydzień w Kaept (Campden) i Stagg zauważył, że stacjonuje tu wielu żołnierzy. Powiedziano mu, że jest to konieczne, ponieważ Filadelfia po drugiej stronie rzeki Dway (Delaware) jest stolicą wrogiego kraju Pantelfów (wschodnia Pensylwania).

Żołnierze towarzyszyli procesji na byłej drodze numer trzydzieści dopóty, dopóki



Słoneczny Bohater nie oddalił się na bezpieczną odległość od granicy. Następne w kolejności było miasto Berlin.

Po tradycyjnej już serii ceremonii i orgii, była autostradą numer trzydzieści procesja dotarła do Talant (Atlantic City). Zatrzymała się tu na dwa tygodnie. Metropolia Talant liczyła trzydzieści tysięcy mieszkańców lecz pielgrzymki okolicznych farmerów zwiększyły populację pięciokrotnie. Z Atlantic City, autostradą Garden State, autostradami stanowymi numer siedemdziesiąt dwa i siedemdziesiąt i drogą numer dwieście sześć, procesja osiągnęła Trint (Trenton), gdzie znów czekali na nią żołnierze. Z Trenton wyszła ponownie na Autostradę Columbii, niegdyś autostradę państwową numer siedem. Zatrzymując się po drodze w sporych miastach Elizabeth, Newark i Jersey City, Słoneczny Bohater dotarł wreszcie promem na wyspę Manhattan. Pobyt tam trwał najdłużej; nie tylko dlatego, że Manhattan miał pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, a okoliczne miasta liczyły ich drugie tyle.

Zaczęły się bowiem rozgrywki baseballu.

Stagg nie tylko rzucił pierwszą piłkę w pierwszym meczu — musiał oglądać wszystkie. Siedząc na trybunach po raz pierwszy zauważył, jak bardzo zmieniła się sama gra. Reguły ustalono w ten sposób, by mecz kończył się poranieniem wielu graczy, a śmiercią niektórych.

W pierwszej części rozgrywek walczyły ze sobą drużyna krajowe. W finale grały Manhattan i Waszyngton. Manhattańscy wprawdzie zwyciężyli, ale ponieśli tak wielkie straty, że jako rezerwy w rozgrywkach międzynarodowych musieli użyć połowy drużyny Waszyngtonu.

W części międzynarodowej wzięły udział najlepsze zespoły z DeCe, Caseylandu, Ligi Irokezkiej, Pantelfii, Karelii, Florydy i Buffalo. Ten ostatni naród zajmował ziemie rozciągające się od miasta Buffalo aż do wybrzeży jezior Ontario i Erie.

Finał międzynarodowy między Caseylandem i DeCe nie różnił się niczym od krwawej wojny. Częścią stroju Caseylandczyków były czerwone legginy, jednak pod koniec meczu wszyscy zawodnicy od stóp do głów byli czerwoni. Nienawidzili się gracze i nienawidzili kibice. Caseylandczycy siedzieli w sektorach odgradzonych od reszty stadionu zasiekami z drutu kolczastego; w pobliżu ulokowano zastępy policji Manhattanu gotowe interweniować gdyby doping stał się zbyt gorący.

Na nieszczęście sędzieja główny, Karelianin wybrany z powodu obiektywizmu, wynikającego z równej nienawiści do obu stron, popełnił fatalny błąd.

W dziewiątej rozgrywce, przy stanie siedem-siedem, wybijali DeCeańscy. Jeden z ich graczy był w trzeciej bazie i chociaż miał na karku głęboką ranę, zachował wystarczająco sił, by przy odpowiedniej dozie szczęścia zakończyć rundę. Dwóch innych zawodników wypadło z gry; dosłownie. Obaj leżeli, jeden przykryty prześcieradłem w okopie dla graczy, jęcząc przy zabiegach lekarza, który sklejał mu ciężkie rany głowy.

Wybijał najlepszy z DeCeańczyków, rzucał najlepszy Caseylandczyk. DeCeańczyk ubrany był w strój nie zmieniony niemal od XIX wieku; policzki wypychała mu wielka prymka tytoniu. Stał i bawił się podrzucając ogromny kij — palanta, w którym przy każdym obrocie odbijało się słońce, bowiem jego górna część wzmocniona była mosiężnymi pasami. Czekał na znak sędziego, ogłaszający początek rozgrywki. A jednak po otrzymaniu znaku nie od razu wkroczył na wyznaczone pole.

Zaczekał na maskotkę, która wybiegła z okopu.

Maskotka była maleńką, śliczną brunetką, ubraną w tradycyjny strój baseballowy z jednym tylko odstępstwem od tradycji: trójkątne wycięcie obnażało niewielkie, kształtne piersi.

Wybijający, Wielki Bili Drzewo Jabłoni, potarł kostkami palców włosy maskotki, pocałował ją w czoło i na odchodne żartobliwie klepnął w pupę. Poczekał aż dziewczyna zniknie w okopie, wszedł na pole zaznaczone kredą na trawie, i przyjął tradycyjną postawę wybijającego czekającego na piłkę.

Wysoki, tyczkowaty Jan Na-Wzgórze-Za-Rzekę-Jordan Potężny Casey splunął prymką i znieruchomiał w skupieniu. W prawej dłoni trzymał regulaminową piłkę; tak, by sterczące z niej symetrycznie cztery centymetrowe ostrza nie przecięły mu palców. Teoretycznie było mu więc trudniej niż w klasycznej grze, ale stał sześć metrów bliżej wybijającego, co więcej niż równoważyło techniczne trudności rzutu.

Zaczekał na caseylandzką maskotkę, potarł jej włosy i rzucił.

Piłka przeleciała o centymetry od twarzy Billa Drzewa Jabłoni który zamrugał gwałtownie powiekami, ale się nie uchylił. Publiczność nagrodziła go owacją za odwagę.

— Pierwsza piłka! — krzyknął sędzia. Caseylandczycy zawyli. Z miejsca, na którym siedzieli, mogło się wydawać, że piłkę należało wybić. Bili próbował wybić następną i chybił.

— Pierwsze wybicie — oznajmił Kareljanin.

W trzecim rzucie Drzewo Jabłoni zamachnął się kijem i trafił, jednakże piłka poszybowała w lewo. Wybicie było najwyraźniej nieczyste.

— Drugie wybicie.

Kolejna piłka śmignęła celując dokładnie w żołądek Billa, który wciągnął brzuch i uchylił się, unikając jej tak, by nie wykroczyć poza wyznaczone pole, co liczyłoby się jako wybicie.

W kolejnym rzucie próbował wybić i chybił. Caseylandczyk natomiast trafił dobrze. Drzewo Jabłoni padł jak ścięty, z piłką wbitą jednym kolcem głęboko w bok. Tłum wrzasnął, a potem nad stadionem zapadła względna cisza. Sędzia rozpoczął wyliczanie. Jabłoń musiał wstać w ciągu dziesięciu sekund. Gdyby nie wstał, zaliczono by mu wybicie.

Maskotka DeCeańczyków, wysoka piękna dziewczyna o wyjątkowo długich nogach

i wspaniałych rudych włosach spadających aż na twarde i krągłe jak jabłka pośladki, podbiegła do leżącego podnosząc wysoko kolana w pełnym wdzięku tańcu; taki był tradycyjny krok maskotek. Klęknęła przy Billu i pochyliła się, pozwalając mu dotknąć swych włosów. Jej dziewicza moc, moc maskotki poświęconej Wielkiej Białej Matce w postaci Unfekk, miała przepłynąć przez nią na zawodnika, ale najwyraźniej jednak nie przepłynęła. Drzewo Jabłoni powiedział coś dziewczynie, która wstała, odpięła pas materiału okrywający jej łono i znów klęknęła. Tłum ryknął rozumiejąc, że Bili jest tak ciężko ranny, że potrzebuje podwójnej dawki fizycznego i psychicznego wzmocnienia.

Sędzia doliczył do ośmiu i Drzewo Jabłoni wstał. Tłum ryczał ze szczęścia, nawet z sektora Caseylandczyków rozległy się oklaski. Wszyscy szanują prawdziwego mężczyznę.

Zawodnik wyjął wbitą w bok piłkę, wziął od maskotki opatrunek, i przyłożył do rany. Nie potrzebował plastra – pseudo-ciało setką wypustek połączyło się natychmiast z jego ciałem.

Skinał sędziemu, zgłaszając gotowość do gry.

— Piłka!

Bili mógł teraz rzucać. Miał jedną, jedyną, szansę załatwienia przeciwnika. Gdyby mu się to udało, znalazłby się w pierwszej bazie.

Skoncentrował się i rzucił. John Casey stał w małym, przeznaczonym na tę okazję kwadracie; gdyby z niego wykroczył, straciłby szacunek kibiców i zarobił wykluczenie, a Bili mógłby przejść do drugiej bazy.

John stał nieruchomo, nogi ugiął w kolanach, gotowy do wykonania uniku.

Bili rzucił. Technicznie było to pudło, ale jedno z wirujących ostrzy zostawiło na biodrze Caseylandczyka długą ranę.

Teraz miał rzucać John.

W sektorze DeCeańczyków zapadła względna cisza; kibice modlili się z zaciśniętymi kciukami lub muskali dłońmi włosy najbliższych maskotek. Caseylandczycy darli się aż do ochrypnięcia. Pantelfianie, Irokezi, Florydańczycy i Buffalczyki miotali obelgi pod adresem tej drużyny, której nienawidzili bardziej.

DeCeańczyk z trzeciej bazy wychylił się, gotów biec do końca rundy. Caseylandczyk rzucił na niego okiem, ale nie wykonał żadnego obelżywego gestu.

Rzut był prosty: rzucający wołał długie wybicie niż unik i zaliczenie czystego. Po czterech piłkach DeCeańczyk mógł przejść do pierwszej bazy.

Bili uderzył piłkę czysto ale, jak to się często zdarza, trafił przy okazji w jeden z kółców. Piłka poleciała wysokim, ostrym łukiem i zaczęła spadać między pierwszą i drugą bazą.

Bili cisnął palantem w rzucającego, do czego miał pełne prawo, i pobiegł do pierwszej bazy. Piłka spadła mu wprost na głowę, a pierwszy baseman, rozpaczliwie próbują-

cy ją złapać, zderzył się z nim gwałtownie. Drzewo Jabłoni wyrzniętą o ziemię, odbił się od niej jak gumowa piłeczka, przebiegł jeszcze kilka kroków i na brzuchu pojechał ku pierwszej bazie.

Baseman z pierwszej bazy, jeszcze leżąc, złapał piłkę i wykonał nią ruch w kierunku Drzewa Jabłoni. Moment później poderwał się na nogi i odrzucił ją partnerowi. Piłka znikła w wielkiej, grubej rękawicy rzucającego niemal dokładnie w chwili, gdy gracz z trzeciej bazy docierał na miejsce.

Sędzia wykluczył go i ta decyzja była bezdyskusyjna. Baseman z pierwszej bazy podszedł jednak do niego i zgłosił dotknięcie Jabłoni. Należy wykluczyć i jego, stwierdził głośno.

Bili zaprzeczył. Nie został dotknięty.

Baseman stwierdził, że może dowieść swego, bo jednym z kolców zranił przeciwnika w prawą kostkę.

Sędzia zmusił Billa do zdjęcia skarpetek.

— Masz tu świeżą ranę, która ciągle krwawi — stwierdził. — Wykluczenie!

— Żadne wykluczenie! — wrzasnęła Drzewo Jabłoni, plując w twarz sędziego tytoniowym sokiem. Krwawię także z dwóch ran na udzie, a skaleczono mnie w poprzedniej rozgrywce. Wyznawca Boga-Ojca jest łgarzem!

— A skąd niby mógł by wiedzieć o tej ranie na kostce, jeśli sam jej nie zadał — ryknął sędzia. — Ja tu rządzę i decyduję: wykluczenie! — Przeliterował to po decańsku: WYKLUCZENIE!

Kibice DeCe wydali ryk oburzenia. Poprzez rozdzierające uszy wycie przebiło się skandowane, tradycyjne: Sędzia trup! Sędzia trup!

Karelianin zbladł, ale nie ustąpił. Niestety, odwaga i pewność siebie przyniosły mu więcej szkody niż pożytku. Kibice wdarli się na boisko i powiesili go na ogrodzeniu. Rzucili się też na zawodników przeciwnika i być może zabiliby wszystkich, gdyby nie policja Manhattanu, która dała im ochronę płażując niesfornych fanów krótkimi mieczami. Szczęśliwie odcięto także sędziego, nim zdołał się udusić do końca.

Caseylandczycy pobiegli na odsiecz swoim. Nie zdołali się przebić, ale walczyli dobrze.

Stagg przyglądał się zachłannie tej bójce. Miał ochotę włączyć się w walkę i dać upust rozpierającej go energii. Łaknął krwi! Wstał i zamierzał właśnie wyskoczyć z trybuny, gdy w tej samej chwili kobiety, również podniecone walką, choć w zupełnie innym znaczeniu tego słowa, spadły na niego jak sępy.

## Rozdział dziesiąty

Tej nocy Churchill spał źle. Pamiętał wyraz zachwytu na twarzy Robin, kiedy oznajmiła mu, że urodzi dziecko Słonecznego Bohatera.

Po pierwsze: wymyślał sobie od durniów, bo nie przewidział, że właśnie ona, taka piękna i pochodząca z tak wpływowej rodziny, musi znaleźć się wśród stu dziewic wybranych do debiutu w waszyngtońskich uroczystościach. Nikt nie ośmieliłby się odrzucić jej kandydatury. Później zaczął się usprawiedliwiać. Bardzo słabo znał kulturę DeCe, wydarzenia interpretował z punktu widzenia swych czasów. Traktował Robin tak, jakby była dziewczyną z XXI wieku.

Po drugie: przeklinał swój temperament. Pokochał Robin, reagował jak dwudziestoletni dzieciak, a nie jak dorosły trzydziestodwuletni mężczyzna, a właściwie osiemset trzydziestodwuletni; człowiek podróżujący do gwiazd, który przebył setki milionów kilometrów i zmienił Wszechświat w kraj sobie podległy. Zakochać się w osiemnastolatce, znającej tylko maleńki kawałek Ziemi i tylko swój wymiar czasu!

Lecz Churchill był przede wszystkim człowiekiem praktycznym. Fakt pozostawał faktem. Chce Robin Whitrow. Chce się z nią ożenić... czy może raczej chciał, aż do tej chwili, w której oszołomiła go swym przedziwnym wyznaniem. Przez krótką chwilę nienawidził Petera Stagga. Odczuwał zawsze lekką rezerwę w stosunku do kapitana, który był taki wysoki, taki przystojny, i pełnił funkcję, którą tego Churchill był pewien, on sam również mógłby pełnić z powodzeniem. Szanował Stagga i nawet go lubił ale, będąc człowiekiem uczciwym, musiał przyznać, że jest o niego lekko zazdrosny.

A teraz Stagg znów był górą. Zawsze musiał być pierwszy. Sama myśl o tym sprawiała nieznośny ból.

A może jednak znośny?

Noc mijała powoli. Churchill wstał z łóżka, palił cygaro za cygarem, i miotał się po pokoju, zmuszając swój mózg i serce do absolutnie obiektywnego przemyślenia sprawy.

Nie miał wątpliwości, że nikt tu nie ponosił odpowiedzialności. Ani Stagg, ani Robin

nie byli niczemu winni. I Robin z pewnością nie zakochała się w Słonecznym Bohaterze. Kapitan, biedaczysko, skazany był na krótkie, choć intensywne życie. Na razie Churchill musiał rozstrzygnąć najbardziej palący problem: zdecydować, czy chce się ożenić z dziewczyną, która urodzi dziecko innego mężczyzny. To, że ani ona, ani przyszyły ojciec dziecka w niczym nie zawinili, nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, czy chce się ożenić z Robin i wychować jej dziecko jak własne.

W końcu Churchill wrócił do łóżka, zastosował uspokajające techniki jogi i dzięki nim zasnął.

Obudził się godzinę po wschodzie słońca i wyszedł z sypialni. Służba oznajmiła mu, że Whitrow pojechał do swego biura w śródmieściu, a Robin z matką poszły do świątyni. Powinny wrócić w ciągu dwóch godzin, może wcześniej.

Zapytał o Sarvanta. Nikt nie wiedział o nim nic nowego.

Zjadł śniadanie w towarzystwie kilkorga dzieci. Prosiły, żeby opowiedział im o swej podróży do gwiazd. Streścił więc historię z Wolf, kiedy to załoga, uciekająca przed Łupinami i podróżująca przez bagna na tratwie, zaatakowana została przez baloniaste ośmiornice; wielkie stwory fruujące w powietrzu za pomocą pęcherzy wypełnionych gazem i porywające ofiary długimi mackami, paraliżujące i zabijające je ładunkiem elektrycznym, rozrywające ciała ostrymi szczypcami umieszczonymi na końcu każdego z ośmiu potwornie silnych ramion. Dzieciaki słuchały go w pełnym podziwieniu milczeniu, najwyraźniej uznając tego gościa za półboga. Pod koniec śniadania Churchill wpadł w zdecydowanie lepszy humor, zwłaszcza gdy przypomniał sobie, jak to Stagg uratował mu życie odcinając jedną z macek. Ciekawość dzieci nie została zaspokojona i dla świętego spokoju musiał obiecać następne opowieści, by zyskać choćby odrobinę wolności.

Wydał służbie polecenia: Sarvant miał zostać poinformowany, by czekał, a Robin i jej matka powinny wiedzieć, że będzie szukał przyjaciół. Chciał wyjść na miasto. Służba nalegała, by wziął powóz. Skrzywił się nieco na tę propozycję, obawiając się, że zaciąga kolejny dług u Whitrowa, ale pomyślał, że odmowa może go obrazić, więc zgodził się wreszcie i w chwilę później jechał już ulicą Muszli ku miejscu, gdzie stała Terra.

Miał trochę kłopotu ze znalezieniem urzędnika, który był za nią odpowiedzialny, ale Waszyngton pod pewnymi względami zmienił się niewiele i nieco rozsądnie rozdanych pieniędzy zaprowadziło go ostatecznie pod właściwe drzwi.

— Chciałbym się dowiedzieć, gdzie jest reszta załogi? — zapytał w rozmowie.

Urzędnik przeprosił go i znikł na kwadrans. Najwyraźniej sprawdzał raporty dotyczące personelu statku kosmicznego. Wrócił z informacją że wszyscy, oprócz jednego, nocowali w Domu Zagubionych Dusz. Mogą tam, wyjaśnił, zatrzymać się i zjeść cudzoziemcy i podróżni, dla których, z różnych względów, niedostępne są schroniska prowadzone przez ich Bractwa.

— Gdyby Słoneczny Bohater był w mieście, mogliby zatrzymać się w domu Wapiti

— powiedział. — Dopóki nie jesteście członkami żadnego Bractwa, musicie znaleźć sobie sami jakieś miejsce, a to nie jest najłatwiejsze.

Churchill podziękował mu uprzejmie i, korzystając z udzielonych wskazówek, znalazł bez problemu Dom Zagubionych Dusz, a w nim całą załogę w komplecie. Tak jak i on, nosili współczesne ubrania. Tak jak i on, sprzedali stare.

Opowiedzieli nawzajem swe przygody od momentu rozstania. Churchill spytał o Sarvanta.

— Nic o nim nie wiemy — powiedział Gbwe-hun. — I ciągle nie mamy pojęcia, co robić dalej.

— Jeśli stać was na trochę cierpliwości — stwierdził porucznik — być może poze-  
glujemy razem.

Wyjaśnił im, czego się dowiedział o flocie DeCe i szansach na ewentualne opanowanie jakiegoś statku.

— Jeśli uda mi się go zdobyć — zakończył — przypilnuję, byście i wy się na nim znaleźli. Przedtem musicie jednak zdobyć zawód marynarza, co oznacza, że powinniście wstąpić do któregoś z bractw żeglarskich i odbyć praktykę na statku. To wszystko wymaga czasu. Jeśli to się wam nie podoba, spróbujcie drogi lądowej.

Dyskutowali szansę i po dwóch godzinach przyjęli plan Churchilla.

— W porządku — porucznik wstał z krzesła. — Na razie zatrzymajcie się tutaj. W razie czego wiecie, gdzie mnie szukać. Do zobaczenia... i życzę szczęścia.

Wracał powoli, pozwalając jeleniom zachować ich własne, ślamazarne tempo. Obawiał się nieco tego, co może zastać po powrocie do domu Whitrowów i ciągle nie wiedział, co ma zrobić. Niestety jednak dotarł do celu. Służba przejęła powóz i Churchill zmusił się, by przekroczyć próg. Pierwsze co zobaczył, to Robin siedzącą z matką przy stole; kobiety plotkowały jak szczęśliwe sroki.

Dziewczyna poderwała się z krzesła i podbiegła do niego.

— Och, Rud! Tak się cieszę! Urodzę dziecko Słonecznego Bohatera — i kapłanki mówią, że to będzie chłopiec!

Churchill usiłował się uśmiechnąć, ale nie potrafił. Nawet kiedy Robin objęła go i ucałowała, i szczęśliwa tańczyła po pokoju, ciągle nie potrafił zdobyć się na uśmiech.

— Przyniosę zimnego piwa — powiedziała Angela. — Wyglądasz, jakbyś otrzymał jakieś złe wieści. Mam nadzieję, że to nic poważnego. Dzisiejszy dzień powinien być szczęśliwy dla nas wszystkich. Jestem córką Słonecznego Bohatera, moja córka jest córką Słonecznego Bohatera, a mój wnuk będzie jego synem. Columbia trzykrotnie pobłogosławiła ten dom. Powinniśmy się jej odwdziaczyć, składając w ofierze naszą radość i śmiech.

Churchill usiadł i z przyjemnością wypił chłodne piwo, podane w wielkim kamiennym dzbanie. Wytarł z ust pianę i powiedział:

— Wybaczcie mi. Moi ludzie opowiedzieli mi o swych problemach. Ale nie powinienem was tym zajmować. Najbardziej chciałbym wiedzieć, co teraz robi Robin?

Angela Whitrow spojrzała na niego bystro, jakby wiedziała, o co mu naprawdę chodzi.

— To przecież jasne. Przyjmie oświadczyzny jakiegoś szczęściarza i wyjdzie za niego za mąż. Może tylko mieć kłopoty z wyborem; jest ich co najmniej dziesięciu.

— Czy lubi któregoś bardziej niż innych? — Churchill silił się na obojętny ton.

— Jeśli tak, to ja nic o tym nie wiem. Na twoim miejscu pośpieszyłabym się jednak i porozmawiała z nią już teraz, nim zjawią się inni.

Tak jasne postawienie sprawy zaskoczyło Churchilla, zdołał jednak utrzymać dobrą minę do złej gry.

— Skąd wiesz, że właśnie to miałem na myśli?

— Jesteś mężczyzną, prawda? Wiem, że Robin cię lubi. Myślę, że będziesz dla niej wymarzonym mężem.

— Dziękuję — wymamrotał i przez chwilę siedział nieruchomo, bębniąc palcami po stole. Nagle podniósł się z miejsca, podszedł do dziewczyny, bawiącej się z jednym z domowych kotów, i objął ją.

— Robin, czy chcesz zostać moją żoną?

— Och, tak! — dziewczyna rzuciła mu się w ramiona.

I tak to wyglądało.

Zdecydowawszy się raz na zawsze, Churchill postępował dalej zgodnie z przekonaniem, że nie ma najmniejszego powodu by nienawidzić Stagga za to, iż począł dziecko i Robin za to, że je urodzi. Ostatecznie, myślał, gdyby Robin wyszła za mąż za kapitana, urodziła mu dziecko, a później Stagg by umarł, to on, Churchill, nie miałby żadnych powodów do zazdrości. A przecież wszystko zmierza do takiego właśnie zakończenia. Kapitan ożenił się po prostu z jego dziewczyną. Wprawdzie jeszcze żył, ale miał niedługo umrzeć.

Prawdziwy problem tkwił w tym, że przedtem próbował oceniać sytuację za pomocą zespołu wartości, który wcale do niej nie pasował. Chciał, żeby jego żona była dziewicą. Nie jest. Kropka.

Mimo tych wszystkich logicznych łamańców ciągle jeszcze czuł się jakoś zdradzony.

Nie zostawiono mu jednak długiego czasu do namysłu. Wezwany pilnie do domu Whitrow przyjechał z biura, popłakał się z radości, przytulił córkę, przytulił przyszłego zięcia, po czym urznął się ze szczęścia. Churchilla oddano tymczasem w ręce młodych służących, które wykąpały go, ostrzygły i uczesały, a następnie wymasowały, natarły olejkami i skropiły perfumami.

Kiedy wyszedł z łaźni stwierdził, że Angela z przyjaciółkami zabrała się już do przygotowania narzeczeńskiej uczy, mającej się odbyć tego samego wieczora. Pierwsi goście



pojawił się tuż po kolacji. Teść i zięć byli już zdrowo pijani, co najwyraźniej nie przeszkadzało zaproszonym; wprost przeciwnie, wzmogło ich wysiłki, by jak najszybciej dogonić gospodarzy. Żartom, śmiechom i przechwałkom nie było końca, choć nie obyło się też bez towarzyskiego zgrzytu. Chłopak, który zalecał się kiedyś do szczęśliwej narzeczonej, zrobił obelżywy przytyk do dziwnej wymowy Churchilla i wyzwiał go na pojedynkę. Walka na noże miała się odbyć u stóp totemu, do którego walczący przywiązani byłiby linami zawiązanymi w pasie. Zwycięzca miał zdobyć Robin.

Ku wielkiej ucieście zgromadzonych Churchill zdzielił młodego człowieka w pysk, a jego rozbawieni przyjaciele wynieśli za ręce i nogi nieruchome ciało i rzucili je na powóz.

Około północy Robin zostawiła przyjaciółki, podeszła i wzięła Churchilla za rękę.

— Chodźmy do łóżka — szepnęła.

— Gdzie? Teraz? Zaraz?

— W moim pokoju, głuptasie. Oczywiście, zaraz. Czemu nie?

— Ależ, Robin, przecież nie jesteśmy jeszcze małżeństwem. Czy też może w pijanym widzie przegapiłem uroczystość?

— No, nie... Oficjalnie pobierzemy się w świątyni, w końcu przyszłego tygodnia. Ale co to ma wspólnego z pójściem do łóżka?

— Przypuszczam, że nic — Churchill wzruszył ramionami. — Te czasy, te obyczaje! Prowadź, Macduff.

Robin zachichotała.

— Co tam mruyczysz pod nosem?

— A co byś zrobiła, gdybym się rozmyślił przed ślubem?

— Oczywiście żartujesz?

— Oczywiście, żartuję. Robin, kochanie, musisz zrozumieć jak mało wiem o zwyczajach DeCe. Jestem po prostu ciekawy.

— No cóż... ja, oczywiście, nie zrobiłabym nic. Ale byłaby to śmiertelna obraza dla ojca i brata. Musieliby cię zabić.

— Tylko pytałem.

Następny tydzień mieli bardzo zajęty. Na domiar złego, podczas tych wszystkich przygotowań, Churchill musiał zdecydować, do jakiego bractwa chce przystąpić. To, by Robin poślubiła mężczyznę bez totemu, w ogóle nie wchodziło w grę.

— Bardzo bym chciał — mówił Whitrow — żebyś należał do mojego bractwa, do Lwów. Ale dla ciebie byłoby chyba lepiej przystąpić do tego, które jest bezpośrednio związane z twą pracą, błogosławione przez opiekuńczy duch zwierzęcia, którym będziesz się zajmował.

— Masz na myśli któreś z bractw rybackich, prawda? Albo łowców fok?

— Co? Skądże znowu, myślałem o Świni. Niezbyt rozsądnie byłoby hodować świnie

należąc do bractwa Lwów, które żywią się świniami.

— Ale — zaprotestował Churchill — co ja mam wspólnego z hodowlą świń?

Teraz zdumiał się Whitrow.

— A więc nie rozmawiałeś z Robin? Oczywiście, teraz rozumiem że nie. Mielicie mało czasu na rozmowy. Chociaż jesteście sami każdej nocy od północy do poranka, przypuszczam, że kotłujecie się przez cały czas, bez przerwy. Ach żeby znowu być młodym! A więc, chłopcze, wygląda to tak. Po ojcu, który wcale dobrze robił pieniądze, odziedzyczyłem kilka farm. Będziesz nimi zarządzać w moim imieniu. Z kilku powodów. Po pierwsze: nie ufam obecnemu zarządcy. Myślę, że mnie oszukuje. Ty tylko znajdź dowody, a ja go już powieszę. Po drugie: napadają mnie Karelianie. Kradną najlepsze zwierzęta i najładniejsze dziewczyny. Nie spalili jeszcze zabudowań i nie zagłodzili prosiąt tylko dlatego, że nikt nie zabija kury znoszącej złote jajka. Pobijesz ich raz i drugi, to dadzą sobie spokój. Po trzecie: rozumiem, że jesteś genetykiem. A więc powinieneś uszlachetnić rasę. Po czwarte: gdy wrócę na łono Wielkiej Białej Matki, odziedziczysz niektóre z tych farm. Flotę handlową zapiszę synowi. Churchill wstał.

— Będę musiał porozmawiać z Robin.

— Oczywiście, synu, oczywiście. Ale przekonasz się, że ona w pełni się ze mną zgadza.

Whitrow miał rację. Robin nie chciała, by jej mąż poszedł na morze. Nie zniosłaby częstej długiej rozłąki.

Churchill zaprotestował. Przecież mogłaby podróżować wraz z nim.

Robin wytłumaczyła mu, że to nie jest możliwe, bo żony marynarzy nie mogą pływać wraz z nimi. Płaczą się pod nogami, zmniejszają zyski i, co najgorsze, przynoszą pecha. Nawet, gdy kobieta jest płacącym pasażerem, kapłani muszą stosować najsilniejsze błogosławieństwa by przebłagać los.

Churchill zaatakował twierdząc, że gdyby Robin go kochała, zgodziłaby się na rozłąkę.

Robin zręcznie odparowała ten argument. Gdyby on ją kochał, stwierdziła, nie chciałby jej porzucać i uciekać na morze. A poza tym, co z dziećmi? Udowodniono przecież, że dzieci, których ojciec jest słaby lub często nieobecny, dorastają skrzywione psychicznie. Dzieci potrzebują silnego ojca, żeby je kochał, karmił i wychowywał.

Churchill poprosił o dziesięć minut do namysłu.

Gdyby porzucił Robin teraz, musiałby walczyć z jej ojcem i bratem. Ktoś z pewnością by zginął i miał wrażenie, że to byłby on. A nawet gdyby pokonał starego i Boba, zawsze znalazłby się jakiś krewny przejmujący zemstę na sobie, a tych krewnych było bardzo, bardzo wielu. Oczywiście, mógłby spowodować, by Robin rzuciła jego. Ale, przede wszystkim, nie chciał jej stracić.

W końcu zdecydował.

— Dobrze, kochanie. Zostanę hodowcą świń. Proszę cię tylko o jedno. Nim osiadę w głębi łądu, chcę jeszcze raz pożeglować. Czy możemy popłynąć do Norfolk statkiem, a później łądem dotrzeć na farmę?

Robin otarła łzy, uśmiechnęła się, pocałowała go i oznajmiła, że byłaby doprawdy obrzydliwą suką, gdyby pozbawiła go tej przyjemności.

Churchill zawiadomił przyjaciół, że muszą wykupić sobie miejsce na statku, którym popłynie wraz z żoną. Da im na to pieniądze. A gdy oddalą się od łądu porwą żaglowiec, przepłyną Atlantyk i skierują się na wschód. Nie nauczyli się żeglować, trudno; będą się uczyć w trakcie żeglugi.

— A twoja żona? Nie będzie zła? — zainteresował się Yastzhembski.

— Będzie wściekła. Lecz jeśli mnie rzeczywiście kocha, pójdzie za mną. Jeśli nie, wysadzimy ją na łąd wraz z załogą.

Okazało się jednak, że kosmonautom z Terry nie dane było porwać statek. W drugim dniu podróży zaatakowali ich kareliańscy piraci.

## Rozdział jedenasty

Wjeżdżając do miasteczka akademickiego w Vassar Stagg usłyszał tony pieśni, którą śpiewano mu zawsze, gdy otrzymywał klucze do miasta lub, jak dzisiaj, doktorat honoris causa. Wokół nie było jednak zwykłych tłumów wyjących mu na powitanie; zastępował je chór nowicjuszek, kleryczek. Starsze kobiety, kapłanki i profesorki, ustrojone w szkarłat i błękit, stojące półkolem za ubranym na biało, ustawionym w trójkąt chórem, kiwały poważnie głowami chwaląc artystyczne walory przedstawienia i stukały kaduceuszami w podłogę na znak radości, wywołanej obecnością Słonecznego Bohatera.

Oddział wojenny Pantelfian zdobył Kapłańskie Kolegium Nauk Proroczych przez kompletne zaskoczenie. Wojownicy dowiedzieli się jakoś, że o północy Stagg ma wziąć udział w prywatnej ceremonii w miasteczku akademickim, i że ostrzeżono ludzi, by trzymali się od niego z daleka. Słoneczny Bohater był jedynym na tej uroczystości mężczyzną; otaczała go najwyżej setka kapłanek. Żołnierze jak upiory wyłonili się z ciemności, rozjaśnionej tylko światłem pochodni. Kapłanki, zajęte śpiewem i obserwowaniem Stagga i młodziutkiej nowicjuszki, zauważyły napastników dopiero wówczas, gdy Pantelfianie wrzasnęli, a z karków poleciały pierwsze głowy.

Stagg nie wiedział, co wydarzyło się później. Pamiętał, że podniósł wzrok, zobaczył mężczyznę biegnącego w jego stronę, poczuł uderzenie płazem krótkiego miecza. Ocknął się wisząc jak upolowany jeleń na drągu, niesionym przez dwóch wojowników. Stracił czucie w dłoniach i stopach, związanych zbyt ciasno, by krew mogła swobodnie krążyć; miał za to wrażenie, że w każdej chwili może mu rozsadzić czaszkę. Głowę przewiercał mu ból, spowodowany nie tylko uderzeniem, lecz również przekrwieniem mózgu na skutek niesienia głową w dół.

Świecił księżyc w pełni i w jego słabym blasku widział gołe nogi a także nagą pierś idącego za nim wojownika. Odwrócił głowę i dostrzegł błyszczące w bladym świetle opalone ciała jego towarzyszy oraz białe stroje kapłanek.

Oprzytomniał, rzucony brutalnie na ziemię.

— Rogaty się obudził — powiedział głęboki męski głos.

— Nie moglibyśmy odwiązać tego sukinsyna? — zaproponował inny głos. — Zmęczyło mnie taszczenie jego cielska, a ten draż wbił mi się w ramię chyba na centymetr.

— W porządku — powiedział trzeci głos, należący niewątpliwie do wodza. — Ale skrępujcie mu ręce na plecach i założcie pętlę na szyję. Gdyby próbował się urwać, przydusimy go. I uważajcie. Ten gość jest silny jak byk.

— Och, taki silny, tak pięknie zbudowany! — zachwycił się czwarty głos, wyższy od pozostałych.

— Wymarzony kochanek!

— Mam być zazdrosny? — spytał któryś z żołnierzy. — Jeśli o to ci chodzi, gołąbeczku, to odnosisz olśniewające sukcesy. Tylko nie przesadź. Bo wytnę ci wątrobę i wepchnę w gardło twojej matki!

— Nie waż się wspominać mojej matki, ty włochata małpo! Zdaje się, że przestaję cię lubić! — krzyknął wysoki głos.

— W imię Columbii, naszej błogosławionej Matki, skończcie z tą sceną miłosną! Durnie! To wyprawa wojenna, nie zaloty wokół totemu! No, już, uwolnijcie go. I obserwujcie bez przerwy!

— Nie mogę się na niego napatrzeć — powiedział zdyszany wysoki głos.

— Może chcesz mi przyprowadzić jego rogi? — zapytał ten, który wspomniał przedtem o wycięciu wątroby. — Tylko spróbuj, a tak ci przefasonuję gębę, że żaden mężczyzna już na ciebie nie spojrzy. Nigdy!

— Po raz ostatni mówię: zamknijcie się! — krzyknął wódz ochryple. — Ani słowa więcej! Pierwszemu, który mi podskoczy, poderżnę gardło. Zrozumiano? Dobrze. Lecimy. Czeka nas cholernie długa droga. Nim dotrzemy na nasze ziemie, z pewnością spuszcza za nami swe gończe psy.

Stagg rozumiał tę wymianę zdań niemal bez kłopotu. Pantelfianie mówili językiem podobnym do deceańskiego bardziej niż holenderski do niemieckiego. W Camden miał już raz okazję go usłyszeć. Na jego cześć podcięto gardła grupie pantelfiańskich jeńców. Niektórzy demonstrowali wielką odwagę i miotali obelgi pod adresem Słonecznego Bohatera nawet wtedy, gdy ostrze noża cięło już ich gardziele. Teraz Stagg żałował, że nie podcięto gardeł wszystkim mężczyznom tego narodu. Powracające w dłoniach i stopach krążenie powodowało szalony ból. Zapewne wrzeszczałby nawet gdyby nie przekonanie, że uciszą go kolejnym ciosem w głowę. A poza tym nie chciał dawać wrogom satysfakcji pokazując im, jak bardzo cierpi.

Związano mu ręce na plecach, założono pętlę na szyję. Usłyszał obietnicę, że przy pierwszym podejrzanym ruchu dostanie nożem w żebra, po czym kopniakiem pognało go w drogę.

Z początku ledwie powłóczył nogami, jednak po chwili wróciło mu normalne krążenie i ból minął. Mógł już nadażyć za innymi. Miał szczęście. Wcześniej, gdy tylko po-

tknął się lub zwolnił, zaciśnięta pętla natychmiast pozbawiała go tchu.

Biegli w dół, po zboczach zarośniętego rzadkim lasem pagórka. Napastników było może czterdziestu; maszerowali ustawieni w dwóch kolumnach, uzbrojeni w szerokie miecze, oszczepy, pałki, łuki i strzały. Nikt nie nosił zbroi, prawdopodobnie po to, by zwiększyć mobilność oddziału. W odróżnieniu od mężczyzn z DeCe wojownicy obcinali włosy krótko, przy samej czaszce. Twarze sprawiały dziwne wrażenie ze względu na bujne ciemne wąsy; po raz pierwszy od wylądowania Stagg zobaczył zarost na twarzach tubylców.

Wyszli z lasu i dostrzegł brzeg rzeki Hudson. W jaśniejszym świetle polany można było rozpoznać, że wąsy Pantelfów są wytatuowane lub namalowane. Każdy z nich miał także wytatuowane na nagiej piersi jedno słowo: MAMA.

Wzięli siedmioro jeńców. Samego Słonecznego Bohatera, pięć kapłanek i — serce Stagga zamarło na moment — Mary Casey! Spróbował zbliżyć się do niej w biegu, jednak zaciśnięta gwałtownie, odbierająca oddech pętla uniemożliwiła ten zamiar.

Stanęli. Kilku wojowników odrzuciło stos suchych gałęzi pod którymi, w zagłębieniu gruntu, ukryto kilka dużych kanoe. Zaniesiono je nad wodę i zmuszono jeńców, by wsiedli do nich pojedynczo.

Rzekę przepłynęli szybko. Przy drugim brzegu kanoe puszczono z prądem, a oddział pobiegł truchcikiem przez las. Jeńcy potykali się od czasu do czasu, przewracali, a wtedy podnoszono ich mocnymi kopniakami i groźbami poderżnięcia gardeł, jeśli „nadal będą się zachowywali jak stado niezgrabnych krów”.

Raz przewróciła się Mary Casey. Dostała kopniaka w żebra i aż zawyła z bólu. Stagg warknął wściekle.

— Jeśli jakoś się uwolnię, Pantelfie — wyszczał — wyrwę ci ręce i zawiążę ci je na szyi!

Żołnierz roześmiał się.

— Koniecznie, jelonku! Nie przypuszczasz nawet, jaką rozkosz sprawiłyby mi twoje pieszczoty!

— Na litość boską, uspokój się! — warknął dowódca. — Co to jest? Wyprawa wojenna czy zaloty?

Przez resztę nocy nikt się już nie odzywał. Na przemian biegli i maszerowali; oddział poruszał się bardzo szybko, choć niezbyt prostą drogą. Kluczył i starannie omijał wszystkie wzgórza.

Niebo na wschodzie pobladło. Dowódca zarządził postój.

— Ukryjemy się i prześpiemy do południa. Potem, jeżeli ta okolica jest rzeczywiście niezamieszkała, pójdziemy dalej. W dzień będziemy szybsi; to się opłaci, nawet jeśli ła-twiej nas będzie wykryć.

Skryli się pod nawisem zbocza jednego ze wzgórz. Żołnierze rzucili koce wprost na

ziemię i natychmiast zasnęli. Czterech wartowników pilnowało jeńców i uważało, by nie zbliżył się żaden DeCeańczyk.

Tylko Stagg nie mógł zasnąć. Zawołał cicho jednego ze strażników.

— Słuchaj, nie mogę spać. Jestem głodny!

— Zjesz z nami — odpowiedział strażnik. — Jeśli w ogóle będziemy cię żywić.

— Nic nie rozumiesz — tłumaczył Stagg. — Nie jestem normalnym człowiekiem. Jeśli nie jem co cztery godziny, i to dwa razy więcej niż inni, zaczynam spalać własne ciało. To przez te rogi! Muszę żreć jak byk!

— Zaraz przyniosę ci siana — powiedział strażnik i zachichotał.

Za plecami Stagg usłyszał szept.

— Nie martw się, kochanie. Dam ci jeść. Byłoby grzechem zagłodzić na śmierć kogoś tak niesamowicie przystojnego.

Rozległ się trzask. Ktoś otwierał plecak. Strażnik przyjrzał się temu ze zdumieniem, a później uśmiechał się.

— Wygląda na to, że poderwałeś sobie Abnera — powiedział. — Tylko jego przyjaciel, Lukę, nie będzie zachwycony, kiedy się o tym dowie.

— Dobrze, że to nie Abner jest głodny — stwierdził inny. — Schrupałby cię z przyjemnością. Mniam, mniam.

Mężczyzna, który szeptał za plecami Stagga, pojawił się teraz przed nim. To on tak otwarcie zachwycał się w nocy jego wdziękami. W ręku trzymał pół kromki chleba, dwa grube kawałki szynki i manierkę.

— Usiądź, dziecino, usiądź. Mamusia nakarmi zaraz swego jelonka.

Strażnicy chichotali cicho. Stagg zaczerwienił się, ale był zbyt głodny, by nie przyjąć jedzenia. Czuł, jak w jego ciele szaleje pożerający je płomień.

Abner, smukły i niewysoki, miał może ze dwadzieścia lat. Bardzo szczupły w biodrach, w odróżnieniu od innych Pantelfian nie strzygł swych jasnobrązowych, kręconych włosów przy samej skórze. Kobiety nazwałyby go prawdopodobnie „ładnym chłopcem”. Miał duże, piwne oczy ocienione bardzo długimi rzęsami, aż nienaturalnie białe zęby i bardzo czerwony język; zapewne żuł coś, co nadawało mu ten kolor. Namalowane na dziewczęcej buzi wąsy wyglądały zdecydowanie dziwnie.

Zaciągnięty u kogoś takiego dług wdzięczności wydawał się Staggowi podwójnie wstrętny. Jego usta otworzyły się jednak bez udziału woli, a jedzenia starczyło zaledwie na jeden kęs.

— No i co? — powiedział Abner, głaszcząc jeden z rogów i przesuwając palcem po włosach kapitana. — Jelonek czuje się lepiej, prawda? A może buzi? Wielki rogacz powinien okazać wdzięczność małemu Abnerkowi.

— Wielki rogacz wykopie z ciebie duszę, jeśli się do niego zbliżysz!

Wielkie oczy chłopca jeszcze się powiększyły. Odsunął się, wydymając z gniewu war-

gi.

— Zawsze tak traktujesz przyjaciół, którzy właśnie uratowali cię przed śmiercią głodową? — spytał bardzo obrażony.

— Szczerze mówiąc, nie. Ale chcę, żebyś wiedział, że jeśli zrobisz to, co najwyraźniej masz zamiar zrobić, zabiję cię.

Abner uśmiechnął się i zamrugnął długimi rzęsami.

— Och, skarbie, przezwyciężysz chyba te niemądre uprzedzenia! A poza tym słyszałem, że wy, rogacze, bywacie mocno napaleni i nic nie możecie na to poradzić. Co zrobisz, jeśli akurat nie będzie kobiety?

Wymawiając słowo, przetłumaczone tu dowolnie jako „kobieta”, Abner skrzywił się z obrzydzeniem. Użył zresztą innego, w dawnych czasach obraźliwego, anatomicznego określenia, które, co Stagg odkrył później, padało zawsze, gdy mężczyźni rozmawiali między sobą. W obecności kobiet nazywali je „aniołami”.

— Nie będziemy się martwić przyszłością — powiedział kapitan, położył się, i natychmiast zasnął.

Wydawało mu się, że spał zaledwie minutę, chociaż gdy go obudzono, słońce siało już w zenicie. Zamrugnął, usiadł i zobaczył Mary Casey. Rozwiązano ją i właśnie karmiono. Nad nią stał żołnierz uzbrojony w miecz.

Wódz miał na imię Raf. Był wielkim mężczyzną o szerokich barach, smukłej talii, uderzająco przystojnej, choć niepokojąco chłodnej twarzy i zimnych bładoniebieskich oczach.

— Ta Mary Casey powiedziała mi, że nie jesteś Deceańczykiem. Powiedziała, że przybyłeś z niebios płonącym metalowym statkiem i że opuściłeś Ziemię osiemset lat temu, by badać gwiazdy. Czy kłamała?

Stagg opowiedział krótko o sobie, przyglądając się Rafowi uważnie i mając nadzieję, że zostanie potraktowany inaczej niż zwyczajni deceańscy jeńcy.

— Hej, smakowity z ciebie kąsek — stwierdził Raf z entuzjazmem, który nie zmienił jednak spojrzenia jego zimnych oczu. — A te rogi są doprawdy szałowe. Wyglądasz z nimi jak prawdziwy mężczyzna. Słyszałem, że kiedy wy, rogacze, macie prawdziwą ochotę, starczycie za pięćdziesięciu byków.

— To powszechnie znany fakt — przytaknął gładko Stagg. — Natomiast nie wiem jeszcze, co się z nami stanie.

— Zastanowimy się nad tym za granicą DeCe, na drugim brzegu Delaware. To jeszcze dwa dni marszu. Ale niebezpieczeństwo zmniejszy się znacznie już za górami Shawangung, kiedy wejdziemy na ziemię niczyją. Tam spotyka się tylko oddziały wojskowe — przyjazne lub nieprzyjazne.

— A nie moglibyście mnie rozwiązać? Przecież nie mogę wrócić do DeCe, więc dla odmiany chętnie poszedłbym z wami.



— Chyba żartujesz? Równie dobrze mógłbym wypuścić na wolność oszalałego byka. Jestem dobrym człowiekiem, mój drogi, i nie chciałbym cię uszkodzić. To znaczy, w walce. Nie, pozostaniesz związany.

Posuwali się szybko. Przed oddziałem szło zawsze dwóch zwiadowców, badając teren w obawie przed zasadzką. Bez kłopotów dotarli do Gór Shawangunk, ostrożnie przeszli zbadaną przez zwiadowców przełęcz i o dwunastej rozłożyli się na noc pod skalistą granią.

Stagg próbował porozmawiać z Mary Casey, dodać jej otuchy. Dziewczyna wyglądała na bardzo zmęczoną, lecz gdy tylko próbowała zwolnić lub potknęła się, kopano ją i bito. Najczęściej robił to Abner, pałający do niej najwyraźniej szczerą nienawiścią.

Trzeciego dnia wieczorem przeszli brodem przez rzekę Delaware, przespali noc i ruszyli o świcie. O ósmej rano wkroczyli tryumfalnie do niewielkiej pogranicznej osady o nazwie Wielka Królowa.

W wiosce mieszkało około pięćdziesięciu osób, stłoczonych w małych kamiennych domkach otoczonych sześciometrowym murem z kamieni i cementu. Domki nie miały okien od strony ulicy, a drzwi osadzono głęboko w murze. Jedyne okna wychodziły na zamknięte podwórze. Budynki stały tuż przy ulicy, nie miały więc ogródków od frontu, za to oddzielone były pasami zachwaszczonej ziemi, na której pasły się kozy, łąziły kury i bawiły brudne, gołe dzieciaki.

Powracający ze zwycięskiego rajdu na ziemie wroga oddział powitali sami mężczyźni i chociaż w pobliżu było kilka kobiet, na polecenie swych mężów musiały szybko wrócić do domów. Kobiety zakrywały twarze czarczafami i owinięte były w luźne stroje, które maskowały kształty ich ciał. W społeczeństwie Pantelfów zajmowały najwyraźniej pozycję niższą od mężczyzn, choć jedyną ozdobą ponurej wioski był ogromny posąg Wielkiej Białej Matki. Stagg dowiedział się później, że Pantelfianie czcili Columbię, choć dla DeCeańczyków byli heretykami. Według ich teologii, każda kobieta była wcieleniem Wielkiej Białej Matki, a więc świątynią macierzyństwa. Mężczyźni wiedzieli jednak, jak słabe może być ciało, i z tego powodu separowali kobiety; nie dawali im okazji do zbrukania ich czystości. Miały być wyłącznie dobrymi służącymi i dobrymi matkami. To wszystko.

Mężczyźni utrzymywali stosunki ze swymi żonami tylko w jednym celu — by mieć dzieci, a życie towarzyskie i rodzinne ograniczali do niezbędnego minimum. Byli poligamiczni, bowiem tylko poligamia umożliwiała, w teorii, zaludnienie wielkich pustych obszarów ich kraju.

Odsunięte przez mężczyzn, skazane na własne towarzystwo kobiety często stawały się lesbijkami. Ich mężowie wręcz je do tego zachęcali, zmuszając je jednocześnie do odbywania stosunku przynajmniej trzy razy w tygodniu. Traktowano to jak spełnianie świętego obowiązku, przykrego dla jednej, a czasem obu stron. Rezultatem były oczy-

wiecie ciągle ciężę. I choć mężczyźni pragnęli dzieci, ciężarną żonę traktowali jak istotę nieczystą. Dotykać jej mogły tylko inne ciężarne kobiety lub kapłanki.

Jeńców zamknięto w jednym z większych kamiennych budynków. Kobiety przyniosły im jedzenie, ale przedtem ubrano Stagga w kilt, by nie doznały szoku. Żołnierze i mieszkańcy wioski świętowali zwycięstwo, upijając się do nieprzytomności i około dziewiątej wpadli z nienacka do celi, wyciągając z niej więźniów. Na centralnym placu osady ułożono już stos i wbito pale do których przywiązano kapłanki. Stagga i Mary Casey pozostawiono na razie w spokoju, choć zmuszono ich do przyglądania się uroczystościom.

— Czarownice trzeba oczyścić ogniem — tłumaczył Raf. — Dlatego je tu sprowadziliśmy. Widzisz, kobiety, które zginęły w walce, są stracone na zawsze, a ich przeklęte dusze przez wieczność błądzić będą w nieskończonej pustce. Te jednak, które spalimy, zostaną oczyszczone i pójdą wprost do krainy szczęśliwych dusz. Niestety — dodał po chwili — w tej wiosce nie ma świętych niedźwiedzi, którym moglibyśmy rzucić je na pożarcie. Niedźwiedzie są narzędziem zbawienia, jak ogień. Warn nic tu się nie stanie, nie bójcie się. To zbyt nędzne miejsce. Pójdziecie do Fiilii; rząd przejmie tam za was odpowiedzialność.

— Fiilii? — powtórzył Stagga i dodał żartobliwie:

— Ach, Filadelfia. Miasto braterskiej miłości. Potem przeszła mu ochota na żarty. Zapłonął stos i rozpoczął się rytuał oczyszczenia.

Stagga przyglądał mu się przez chwilę i zaraz zamknął oczy. Na szczęście nie słyszał krzyków. Kapłanki, nawet płonąc, miały zwyczaj obrzucać swych katów obelgami, toteż knebłowano je dokładnie. Nie było jednak ucieczki przed smrodem płonącego mięsa. Kapitan i Mary Casey dostali mdłości i wymiotowali, ku wielkiej uciechu widzów.

W końcu ogień zgasł i więźniów odprowadzono do celi. Przytrzymano Mary za ręce i założono jej żelazny pas cnoty, który przykryto kiltem.

Stagga zaprotestował, co wzbudziło duże zdumienie.

— Co?! — krzyknął Raf. — Zostawić ją na pokuszenie? Narazić na zbrukanie to czyście wcielenie Columbian? Oszalałeś? Mamy ją zostawić sam na sam z tobą, z Rogatym Królem. Nietrudno przewidzieć rezultat. Biorąc pod uwagę twoje możliwości, mogłaby nawet nie dożyć ranka. Powinieneś nam podziękować. Sam wiesz, na co cię stać!

— Jeśli nie dacie mi jedzenia, nie będzie mnie stać na nic. Osłabłem z głodu.

Był jednak powód, dla którego Stagga nie chciał jeść. Brak pożywienia zdecydowanie osłabiał aktywność rogów. Nie niwelował wprawdzie całkowicie ich działania, rezultaty ciągłego podniecenia były żenująco widoczne i narażały kapitana na pochlebne żarty i komplementy Pantelfian, ale nie dawało się to nawet porównać z szaloną satyriazą z czasów decańskich. Stagga obawiał się że, przyzwoicie odżywiony, rzuciłby się na Mary nie zważając na jakiś tam pas cnoty. Z drugiej strony istniało jednak niebezpie-

czeństwo, że z głodu może nie dożyć ranka.

Być może, myślał, uda mi się zjeść akurat tyle, by przeżyć, a nie wpaść w szal.

— Dlaczego nie zamkniecie mnie w innym pokoju, jeśli boicie się, że ją zaatakuję? — zapytał.

Raf zdziwił się przesadnie. Widać było, że czekał na tę propozycję.

— Oczywiście. Zdumiałem ze zmęczenia. Zamkniemy cię w innym pokoju.

Inny pokój znajdował się w tym samym domu, po przeciwnej stronie dziedzińca. Z jego okna Stagg widział okno celi, w której trzymano Mary, i chociaż nie dano im światła, księżyc świecił wystarczająco mocno, by łatwo było dostrzec jej bladą, przyciśniętą do kraty twarz.

Po mniej więcej dwudziestu minutach kapitan usłyszał upragniony dźwięk: zgrzyt klucza w zamku żelaznych drzwi.

Drzwi otworzyły się ze skrzypem nienaoliwionych zawiasów i wkroczył Abner dźwigając wielką tacę. Postawił ją na stole i rozkazał strażnikowi, by odszedł i nie zbliżał się bez wezwania. Strażnik próbował protestować, ale wystarczyło groźne spojrzenie Abnera — wartownik pochodził z wioski i, jak wszyscy miejscowi, panicznie bał się groźnych wojowników z Filadelfii.

— Widzisz, jelonku, przyniosłem ci pyszną kolację. Nie sądzisz, że jesteś mi coś winien?

— Oczywiście — w zamian za jedzenie Stagg zgodziłby się niemal na wszystko. — Powinno starczyć, ale... Tak na wszelki wypadek... powiedz, czy mógłbyś mi zdobyć dokładkę?

— Jasne! Kuchnia jest w korytarzu. Kobieta wróciła wprawdzie do siebie, ale dla ciebie wykonam każdą kobiecą robotę. Nie musisz mi dziękować, wystarczy duży buziak.

— Jeśli nie zjem, nie będzie w nim siły — Stagg zmusił się do uśmiechu. — Później, zobaczymy.

— Nie bądź taki strachliwy, jelonku. I proszę cię bardzo pięknie, pospiesz się. Jedz. Nie mamy zbyt wiele czasu. Myślę, że ten wielki sukinsyn, Raf, ma zamiar pojawić się tutaj dziś w nocy. I boję się mojego przyjaciela, Luke'a. Gdyby wiedział, że jestem z tobą sam na sam...

— Przecież nie mogę jeść z rękami związanymi na plecach!

— No, nie wiem... — Abner zawahał się. — Jesteś taki wielki i silny. Mógłbyś rozszarpać mnie na kawałki gołymi rękami. Masz takie piękne, takie duże ręce!

— Jeszcze nie zwariowałem. Przecież gdyby nie ty, nikt nie przyniósłby mi jedzenia. Zdechłbym tu z głodu!

— Masz rację. A poza tym, nie chcesz mnie przecież skrzywdzić. Jestem taki mały, taki bezradny. Lubisz mnie przecież, prawda? Choć trochę? Troszeczkę? Wcale nie myślisz tak, jak mówiłeś po drodze?

— Oczywiście, że nie — Stagg pożerał łapczywie zimną szynkę, chleb, masło i pikle.  
— Po prostu nie chciałem, żeby twój kumpel Lukę zaczął coś podejrzywać.

— Jakiś ty przystojny! Jaki mądry! — Abner oddychał ciężko. — Czy jesteś już wystarczająco silny?

Przez chwilę Stagg miał ochotę powiedzieć mu, że musiałby pożreć wszystkie zapasy w wiosce, żeby odzyskać pełnię sił, ale zamknął się i zwlekał. Okazało się, że nie musi odpowiadać, ponieważ za drzwiami coś się zaczęło dziać. Przyłożył do nich ucho.

— To ten twój przyjaciel, Lukę. Mówi, że wie, że tu jesteś i chce, żeby go wypuścić.

Abner zbladł.

— Mamusiu! Zabije ciebie i mnie! To taka zazdrosna świnia!

— Zawołaj go. Ja się nim zajmę. Nie, nie zabiję, po prostu trochę poturbuję. Niech wie, jak to między nami jest.

Abner aż pisnął z zachwytu.

— To będzie bosko!

Pomacał ramię Stagga i przewrócił oczami z zachwytu.

— Mamusiu, co za biceps! I jaki twardy!

Stagg zabębnił pięściami w drzwi.

— Abner mówi, że możesz go wypuścić! — krzyknął do strażnika.

— Tak — potwierdził ukryty za jego plecami Abner. — Wszystko w największym porządku. Wpuść go.

Pocałował Stagga w kark.

— Już widzę, jaką zrobi minę, kiedy mu o nas powiesz. Ta jego zazdrość dawno wysłała mi bokiem.

Drzwi otworzyły się z jękiem zardzewiałych zawiasów. Lukę wkroczył do celi, w rękę trzymał obnażony miecz. Strażnik szybko zamknął drzwi i przekręcił klucz.

Stagg nie tracił czasu. Kant jego dłoni spadł na szyję wojownika, miecz z brzękiem uderzył o kamienną posadzkę.

Abner pisnął cicho i widząc, że Stagg zamierza się na niego, otworzył usta do krzyku. Nim jednak zdołał nabrać powietrza w płuca, padł na ziemię, a jego głowa odchyliła się pod groteskowym kątem. Uderzenie pięści złamało mu kark.

Kapitan rzucił oba ciała w kąt tak, by nie można ich było dostrzec od drzwi. Zabrał Luke'owi miecz i jednym ciosem odciął mu głowę, po czym zaczął walić w drzwi krzyżąc piskliwym głosem; miał nadzieję, że brzmiało to jak wysoki głos Abnera.

— Strażnik! Strażnik! Lukę gwałci więźnia!

Klucz obrócił się w zamku i do celi wpadł wartownik. Trzymał w dłoni gotowy do ciosu miecz, ale Stagg uderzył zza drzwi. Głowa spadła z bluzgającego krwią karku.

Kapitan zabrał nóż strażnika i zatknął go sobie za pasem. Wyszedł z celi i ciemnym, oświetlonym tylko jedną pochodnią, korytarzem udał się w kierunku kuchni. W wiel-

kiej sali nie brakowało jedzenia. Napełnił znaleziony worek, a na wierzch położył kilka butelek wina. Wychodził z kuchni, gdy otworzyły się któreś drzwi i na korytarzu pojawił się Raf. Czaił się i prawdopodobnie widoczne w jego ruchach zdenerwowanie spowodowało, że nie od razu zauważył brak strażnika. Z wyjątkiem noża był nieuzbrojony.

Stagg rzucił się na niego jak tygrys. Raf podniósł wzrok i dostrzegł rogatego wielkoluda, atakującego go okrwawionym mieczem, trzymającego w drugiej ręce wypchany worek.

Nie zdążył uciec. Miecz rozplątał mu głowę aż do nasady karku.

Stagg przeskoczył przez bluzgające krwią ciało i wyszedł na dziedziniec. Na bruku spało dwóch mężczyzn, pijanych tej nocy jak większość obywateli Wielkiej Królowej. Nie chcąc, by w przyszłości weszli mu w drogę, a w dodatku płonąc chęcią wymordowania wszystkich Pantelfian, ciął mieczem w ich odsłonięte szyje i nie oglądając się, zmierzał dalej. Przeszedł przez dziedziniec i zapuścił się w korytarz identyczny jak ten, który przed chwilą opuścił. Przed drzwiami celi Mary Casey stał wartownik i właśnie podnosił do ust butelkę. Niemal do ostatniej chwili nie widział napastnika, a kiedy go zauważył, zdumienie sparaliżowało go całkowicie. Czasu na pchnięcie mieczem było aż nadto.

Ostrze przebiło literę A w wytatuowanym na szerokiej piersi słowie MAMA. Wartownik zatoczył się od siły ciosu, jedną ręką chwytając za ostrze miecza. Druga, o dziwo, do końca ścisnęła szyjkę butelki. Miecz wszedł płytko, więc Stagg puścił worek i pchnął z całej siły, trzymając rękojeść dwoma rękami. Ostrze przebiło mostek i pogrzyżyło się głęboko w ciało.

Mary Casey niemal zemdląca, gdy drzwi od jej celi otworzyły się z hukiem i do środka wpadła ociekająca krwią postać. Rozpoznając ją w ciemnościach dziewczyna westchnęła tylko:

— Peter Stagg. Jakim cudem...?

— Później — przerwał jej kapitan. — Nie mamy czasu na gadanie.

Przekradając się w cieniu, rzucanym przez domostwa, bez przeszkód dotarli do muru przy bramie, którą weszli do wioski. Przy wrotach strażowało dwóch wartowników, dwaj inni zajmowali niewielką wieżyczkę. Na szczęście wszyscy spali głęboko, pijani do nieprzytomności. Stagg bez żadnych kłopotów poderżnął gardła tym, którzy leżeli na ziemi, po cichu wspiął się na drabinkę i w ten sam sposób załatwił strażników z wieżyczki. Z wyjęciem dwóch kołków z wielkiego skobla nie miał najmniejszych problemów.

Uciekli drogą, którą wcześniej pędzono ich do wioski. Biegli sto kroków, maszerowali sto i znów zaczęli biec. Dotarli do rzeki Delaware i przekroczyli ją tym samym brodem. Mary błagała o odpoczynek, ale Stagg czuł, że nie może się na to zgodzić.

— Kiedy we wsi się pobudzą i odkryją te wszystkie bezgłowe ciała, natychmiast ruszą w pogoń. Nic ich nie powstrzyma, chyba że schronimy się wcześniej na ziemiach DeCe. Ale tam też nie będziemy bezpieczni. Spróbujemy przedostać się do Caseylandu.

Mary była zbyt zmęczona, by biec. Maszerowali coraz wolniej, ale ciągle szli przed siebie. Dopiero o dziewiątej rano dziewczyna zwała się na ziemię.

— Nie zrobię ani kroku, jeśli się przedtem nie prześpię!

Sto metrów od drogi znaleźli dziurę w ziemi. Mary zasnęła od razu, Stagg najpierw najadł się i napił. Wolałby czuwać, ale zdał sobie sprawę, że z dalszym marszem w perspektywie, potrzebuje kilku godzin snu aby nabrać sił. Niewykluczone, iż będzie musiał nieść Mary?

Obudził się pierwszy. Zjadł, wypił, a gdy w kilka minut po nim Mary otworzyła oczy zobaczyła, że pochyła się nad nią.

— Co robisz? — zapytała.

— Zamknij się. Próbuję zdjąć ten piekielny pas cnoty!

## Rozdział dwunasty

Twarz Nephi Sarvanta dokładnie odpowiadała jego charakterowi. Z profilu przypominała dziadka do orzechów lub wygięte szczęki wielkich szczypiec i Sarvant był wierny swej twarzy. Jak już coś złapał, nie puścił.

Wyszedł z domu Whitrowów przysięgając, że nigdy nie postawi stopy w miejscu, w którym kwitnie podobna ohyda. Na wszystko, co święte przysięgał też, że poświęci swe życie, jeśli tylko będzie to potrzebne, by oświecić Prawdą bałwochwalczych pogan.

Przeszedł piechotą pięć kilometrów dzielących go od Domu Zagubionych Dusz i spędził w nim niespokojną noc. Wyszedł o świcie. Mimo wczesnej pory ulice były zatłoczone wozami pełnymi towaru i tłumami ludzi: żeglarzami, handlarzami, dziećmi i targującymi się zawzięcie kobietami. Sarvant zajrzał do kilku restauracji, stwierdził, że są zbyt brudne, by zjeść w nich śniadanie, i w końcu zdecydował się na parę owoców z ulicznego straganu. Pogadał ze sprzedawcą pytając o możliwość znalezienia pracy i dowiedział się, że świątynia Gotew potrzebuje dozorcę. Handlarz wiedział o tym, bo poprzedniego wieczora wyrzucono z tej pracy jego szwagra.

— Nie płacą dużo — mówił — ale dają mieszkanie i wyżywienie. I są inne korzyści, oczywiście pod warunkiem, że masz dzieci. — Mrugnął porozumiewawczo. — Szwagra wyrzucono, bo zamiast zamiatać i czyścić, poświęcił się całkowicie tym dodatkowym obowiązkom.

Sarvant nie dopytywał się, o co tu właściwie chodzi. Dowiedział się tylko, jak dojść do świątyni i zaczął jej szukać. Ta praca, myślał, może mi dać wspaniałą okazję obserwowania deceańskiej religii. I będzie cudownym miejscem na rozpoczęcie nauczania. Och, z pewnością pociągnie to za sobą ogromne niebezpieczeństwo, ale czy kiedykolwiek niebezpieczeństwo powstrzymało przepelnionego wiarą misjonarza?

Droga do świątyni była dość skomplikowana i Sarvant zgubił się w mieście. Trafił do luksusowej dzielnicy mieszkalnej, gdzie nie było kogo zapytać o drogę. Spotykał tylko jeźdźców, którzy raczej nie mieli zamiaru zatrzymywać się i rozmawiać z przechodniakami, szczególnie z kimś z niższej kasty.

Zdecydował wreszcie, że wróci do portu i stamtąd jeszcze raz rozpocznie poszukiwania. Przeszedł zaledwie przecznicę, gdy zauważył kobietę wychodzącą z dużego domu. Była ubrana dziwnie: płaszcz z kapturem okrywał ją od stóp do głów. Sarvant pomyślał najpierw, że musi to być służąca; wiedział, że żaden arystokrata nie pójdzie piechotą tam, gdzie mógłby dojechać. Kiedy się jednak zbliżył stwierdził, że materiał jej płaszcza jest zbyt delikatny, by mógł okrywać kogoś ubogiego.

Szedł za kobietą dłuższy czas, nim zebrał się na odwagę i zaryzykował obrażenie jej pytaniem.

— Pani, czy wolno mi zapytać cię o coś?

Kobieta zatrzymała się i spojrzała na niego wyniosłe. Była wysoka, miała mniej więcej dwadzieścia dwa lata i twarz, której piękno zacierała nieco ostrość rysów. Jej wielkie oczy były ciemnoniebieskie, a włosy wymykające się spod kaptura, ciemnoblond.

Sarvant powtórzył pytanie. Kobieta skinęła głową.

— Pani, jak dojść do świątyni Gotew?

Pytanie rozzłościło dziewczynę.

— Czy to ma być żart?

— Ależ skądże! Nie mam nastroju do żartów. Nie rozumiem?

— Być może rzeczywiście nie rozumiesz. Mówisz jak cudzoziemiec. I zapewne nie masz powodu celowo mnie obrażać. Moi krewni zabiliby cię... mimo, że nie jestem warta nawet tego, by mnie obrażano.

— Proszę mi wierzyć, nie chciałem zrobić nic złego. A jeśli zrobiłem, przepraszam.

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

— Przyjmuję twe przeprosiny, cudzoziemcze. Wy tłumacz mi teraz, z jakiego powodu chcesz dotrzeć do świątyni Gotew. Czy twoja żona jest tak nędzna i przeklęta jak ja?

— Moja żona od dawna nie żyje. I nie rozumiem, dlaczego masz być nędzna i przeklęta, pani. Nie, szukam pracy dozorca. Jestem jednym z tych, którzy przylecieli na Ziemię... — opowiedział o sobie możliwie jak najkrócej.

— Przypuszczam więc — stwierdziła dziewczyna — że mogę z tobą rozmawiać jak z człowiekiem, który jest mi równy. Chociaż... trudno mi wyobrazić sobie jejuna zamiatającego podłogi. Prawdziwy jejun wolałby raczej umrzeć z głodu. A poza tym... widzę, że nie masz totemu. Gdybyś należał do jednego z wielkich Bractw, łatwo znalazłbyś pracę odpowiadającą twojej pozycji. A może brak ci opiekuna?

— Totemy to przesady i bałwochwalstwo. Nigdy nie wstąpię do jakiegoś tam... Bractwa!

Kobieta uniosła brwi.

— Dziwaczny z ciebie człowiek. Nie wiem, co o tobie myśleć. Jako brat Słonecznego Bohatera jesteś jejunem. Ale nie wyglądasz na niego i z pewnością nie zachowujesz się odpowiednio. Radzę ci, postępuj zwyczajnie, a wtedy i my będziemy wiedzieli, jak za-



chowywać się wobec ciebie.

— Dziękuję, ale muszę być tym, kim jestem. Czy możesz mi teraz powiedzieć, pani, jak dotrzeć do świątyni Gotew?

— Idź za mną — i kobieta poszła przed siebie.

Nieco zakłopotany, Sarvant podreptał kilka kroków za nią. Bardzo chciał usłyszeć wyjaśnienie kilku stwierdzeń, które wypowiedziała w rozmowie, ale dziewczyna zachowywała się tak, że jakoś trudno było stawiać jej pytania.

Świątynia Gotew wznosiła się na skraju doków, tuż przy bogatej dzielnicy rezydencyjnej. Był to imponujący betonowy budynek, przypominający kształtem wielką, na wpół otwartą ostrygę, pomalowaną w szkarłatne i białe pasy. Szerokie schody z granitowych płyt prowadziły na dolną krawędź „skorupy”; chłodne wnętrze oświetlone było bardzo oszczędnie. Kopulasty dach podtrzymywały smukłe kolumny przedstawiające boginię Gotew — poważną postać o długiej smutnej twarzy i otwartej dziurze w miejscu brzucha. W otwór ten wstawiono rzeźbę kury otoczonej jajkami.

U podstawy kariatyd siedziały kobiety; każda z nich ubrana tak jak dziewczyna, za którą przyszedł Sarvant. Ich płaszcze były bogate lub biedne, lecz, niezależnie od stroju, kobiety siedziały razem. Przewodniczka Sarvanta podeszła do jednej ze skrytych w cieniu kolumn. Kilkanaście dziewcząt już na nią czekało, zostawiły jej nawet wolne miejsce.

W głębi świątyni, przy rzędzie dużych kamiennych budek, Sarvant znalazł bladego kapłana i zapytał go o pracę. Ze zdumieniem dowiedział się, że rozmawia z Wielkim Kapłanem Świątyni; spodziewał się raczej Wielkiej Kapłanki.

Biskup Andi zwrócił uwagę na jego dziwaczny akcent i zadał kilka zwykłych pytań. Sarvant mówił prawdę i aż westchnął z ulgą stwierdziwszy, że nikogo nie interesuje to, czy jest wyznawcą Columpii. Biskup odesłał go do jednego z pomniejszych kapłanów, od którego dowiedział się, co ma robić, ile zarobi, gdzie będzie spać i jeść. W końcu zapytano go, ile ma dzieci.

— Siedmioro — odpowiedział nie wspominając o tym, że od ośmiu wieków jego dzieci nie żyją. Całkiem możliwe, że ten kapłan jest jego potomkiem; w końcu każdy tutaj mógł nazwać go swym przodkiem, prapra... dziadkiem sprzed przeszło trzydziestu pokoleń.

— Siedmioro. Wspaniale! odparł kapłan.

W takim razie należą ci się przywileje płodnego mężczyzny. Ale będziesz musiał poddać się badaniom, w tak istotnej sprawie nie możemy nikomu wierzyć na słowo. Chciałbym cię jeszcze ostrzec: nie nadużywaj przywilejów! Twój poprzednik stracił pracę, bo zapomniał o szczotce!

Sarvant zaczął zamiatać wnętrze świątyni. Właśnie dochodził do kolumny, pod którą siedziała jego przewodniczka, gdy zauważył, że do sąsiadującej z nią dziewczyny pod-

szedł jakiś mężczyzna. Nie słyszał rozmowy, ale dostrzegł, że kobieta wstaje i rozchyła płaszcz, i że pod płaszczem jest naga. Mężczyźnie spodobało się najwyraźniej to, co zobaczył, gdyż skinął głową. Kobieta wzięła go za rękę, zaprowadziła do jednej z budek i zasunęła zasłonę.

Sarvant zaniemówił. Dopiero po dłuższej chwili odzyskał zdolność ruchu na tyle, by znów popychać przed sobą szczotkę. Spostrzegł teraz, że podobne sceny rozgrywają się bez przerwy w całej ogromnej świątyni. Poczuł nagle przemożną chęć, by rzucić szczotkę, uciec gdzie pieprz rośnie i nigdy już nie wrócić. Wiedział jednak, że wszędzie, w całym DeCe, pleni się podobne zło, więc równie dobrze może zostać tu... i znaleźć okazję, by dać świadectwo prawdzie.

A potem stał się świadkiem czegoś, co doprowadziło go niemal do mdłości. Wielki marynarz zbliżył się do tej, która go tu przywiodła, do smukłej pięknej blondynki i zaczął z nią rozmawiać. Dziewczyna wstała, rozchyliła płaszcz. Po chwili obydwójce zniknęli w budce.

Sarvant zatrząsł się z gniewu. Wystarczająco złe było to, co robiły inne, ale żeby ona, właśnie ona...

Zmusił się do myślenia.

Dlaczego rozgniewało go zachowanie właśnie tej kobiety? Musiał przyznać sam przed sobą, że dlatego, iż mu się spodobała. Bardzo spodobała. Budziła uczucia, których nie doświadczał od dnia, kiedy pożegnał żonę.

Odstawił szczotkę, znalazł kapłana i zażądał, by wyjaśniono mu, co tu się właściwie dzieje, czym niezmiernie zdumiał rozmówcę.

— Tak słabo znasz naszą religię, że dopiero teraz dowiedziałeś się o Gotew, patronce bezpłodnych kobiet?

— Oczywiście — odpowiedział Sarvant drżącym głosem. — Ale co to ma wspólnego z... — musiał przerwać, bo język DeCe nie miał określenia na prostytutkę. — Dlaczego — poprawił się — te kobiety muszą oddawać się obcym i co to ma wspólnego z kultem Gotew?

— Przecież na tym właśnie polega kult! — wyjaśnił mu kapłan. — Te nieszczęsne istoty są bezpłodne. Przybywają do nas, gdy mimo starań mężów w ciągu roku nie zajdą w ciążę. Badamy je i jeśli stwierdzimy, co jest przyczyną choroby, leczymy ją. Czasami jednak nie znajdujemy przyczyny i wtedy miejsce nauki musi zająć wiara. Te biedaczki przychodzą tu co dzień z wyjątkiem świąt, kiedy uczestniczą w innych obrzędach i modlą się, by Gotew zesłała im mężczyznę, którego nasienie ożywi ich martwe żywoty. Jeżeli nie zajdą w ciążę w ciągu kolejnego roku, wstępują zazwyczaj do zakonu, by służyć Bogini i jej ludowi.

— A co z Avrą Linkon? Przecież to niemożliwe, by kobieta tak piękna, pochodząca z tak wielkiego rodu, kładła się z każdym mężczyzną!

— No, no, przyjacielu! Wcale nie „każdym”. Być może nie zwróciłeś uwagi, że oni wszyscy przeszli przez ten pokój. Moi dobrzy bracia dokładnie ich zbadali. Są pewni, że ci ludzie pulsują zdrową spermą. Odrzuca się tu wszystkich chorych i tych, którzy z różnych powodów nie powinni zostać ojcami. Piękno czy brzydota — na to nie zwracamy uwagi, celem jest przecież tylko zapłodnienie. Osobowość, gusta, nie mają najmniejszego znaczenia. A właśnie — ty też powinieneś dać się zbadać. Po co samolubnie płodzić dzieci z jedną tylko kobietą? Powinieneś czcić Gotew tak, jak Wielką Białą Matkę w każdym innym wcieleniu.

— Muszę wrócić do pracy — wymamrotał Sarvant i uciekł.

Tylko dzięki wielkiemu wysiłkowi woli zdołał pozamiatać podłogę w sali. Nie mógł się jednak powstrzymać od częstego zerkania na Avrę Linkon. Wyszła ze świątyni o dwunastej i już nie wróciła.

Tej nocy Sarvant spał źle. Prześladował go obraz Avry wchodzącej z mężczyznami — policzył, że było ich dziesięciu — do kamiennej budki. I chociaż wiedział, że powinien nienawidzić grzechu, a kochać grzeszników, nienawidził wszystkich dziesięciu grzeszników.

Wczesnym rankiem poprzysiął sobie, że dzisiaj nie da się ponieść nienawiści w stosunku do mężczyzn, którzy pójda z Avrą. Składając tę przysięgę wiedział jednak, że nie zdoła jej dotrzymać.

Było ich siedmiu. Musiał w końcu uciec do swego pokoju; bał się, że siódmego uduśi własnymi rękami i opanował się z najwyższym trudem.

Trzeciej nocy modlił się do Boga o przewodnictwo.

Czy powinien opuścić świątynię, poszukać pracy gdzie indziej? Jeśli zostanie, czy oznacza to, że pośrednio pochwała tę ohydę i bierze bezpośredni udział w tym bagnie, w które wpadł nieopatrznie? Przecież może nawet popełnić straszny grzech morderstwa, może swymi rękami przelać ludzką krew! Tego nie chce. Przecież tego nie chce. Ależ nie, tego właśnie pragnie! Lecz nie może! Nie!!!

A jeśli odejdzie — ucieknie jak najgorszy tchórz, nie zrobi nic, by zapobiec złu, co więcej, zostawi Avrę na jego pastwę; Avrę, która nie rozumie, że ta straszliwa parodia religijnego rytuału śmiertelnie obraża Boga. Pragnął ją ratować, wyciągnąć ze świątyni — tak bardzo, jak jeszcze nigdy w życiu nie pragnął niczego; bardziej nawet niż wtedy, kiedy chciał znaleźć się na pokładzie Terry i nieść Słowo Boże poganom z innych planet.

Przez osiemset lat nie nawrócił nikogo. A przecież próbował, robił wszystko, na co go było stać; przecież to nie on był winien ich ignorancji, głuchocie na Słowo, ślepotę na Prawdę!

Następnego dnia odczekał, aż Avra opuści świątynię. Oparł szczotkę o ścianę i wybiegł za dziewczyną w słońce, hałas i tłok deceańskiej ulicy.

— Lady Avra! — krzyknął. — Muszę z panią porozmawiać.

Zatrzymała się. Wielki kaptur zasłaniał jej twarz, lecz wydawało mu się, że dziewczyna cierpi i wstydzi się. A może tylko chciał, by wstydziła się. I cierpiała?

— Czy mogę odprowadzić panią do domu?

Wydawała się zaskoczona.

— Dlaczego?

— Bo jeśli mi pani nie pozwoli, oszaleję!

— Nie wiem. To prawda, jesteś bratem Słonecznego Bohatera, a więc twa obecność mnie nie poniża. Z drugiej strony, nie masz totemu i wykonujesz pracę najniższego ze sług.

— A kim jesteś ty, by nazywać mnie „najniższym”? — warknął Sarvant. — Ty, która kładziesz się z każdym mężczyzną!

Oczy Avry rozszerzyły się ze zdumienia.

— Co takiego uczyniłam, że ośmielasz się mówić w ten sposób do jednej z Linkonów?

— Jesteś... jesteś kurwą! — krzyknął, używając angielskiego słowa i wiedząc, że nie zostanie zrozumiany.

— A co to takiego?

— prostytutka! Kobieta, która idzie z mężczyzną za pieniądze!

— To niesłychane! Z jakiego ty kraju pochodzisz? Jak się wam udało aż tak poniżyć wcielenia Wielkiej Białej Matki?

Sarvant próbował się uspokoić. Mówił cichym, drżącym głosem.

— Avro Linkon, chcę z tobą porozmawiać. Mam ci coś do powiedzenia. Coś najważniejszego w twym życiu, coś najważniejszego w świecie!

— No, nie wiem. Sprawiasz wrażenie szaleńca.

— Przysięgam, że nie chcę ci zrobić krzywdy.

— Przysięgnij na święte imię Columbii.

— Tego nie mogę zrobić. Ale przysięgam na Boga, że nawet cię nie dotknę.

— Boga? Ty czcisz bożka Caseylandczyków?

— Nie! Przysięgam na mego Boga. Prawdziwego Boga!

— Teraz wiem, że naprawdę oszalałeś. Inaczej nie mówiłbyś o Bogu w tym kraju, a już z pewnością nie do mnie. Nie będę słuchała obrzydliwych bluźnierstw płynących z twych wstrętnych ust.

Odeszła.

Sarvant chciał pójść za nią, a później, zdając sobie sprawę, że to nie czas by z nią rozmawiać i że postępuje gorzej i głupiej niż by chciał, zawrócił. Zaciskał pięści, zgrzytał zębami. Szedł jak ślepiec i wpadał na ludzi; przeklinali go, ale nie zwracał na nich uwagi.

Wszedł do świątyni, chwycił szczotkę. Zamiatął i planował, raz, drugi... setny, jak przemówi do tej dziewczyny ciepłymi mądrymi słowami. Jak pomoże jej naprawić błędy tak oczywiste, że w końcu dostrzeże je sama. I jak ją nawróci — pierwszą w tym świecie. Jak pójdą ramię w ramię wymiatając zło tego kraju tak, jak pierwsi chrześcijanie wymietli zło ze starożytnego Rzymu.

Następnego dnia Avra nie przyszła jednak do świątyni i Sarvant wpadł w rozpacz. Może już nigdy nie wróci?

Nagle zdał sobie sprawę, że przecież tego właśnie chciał. Być może robi postępy w tempie szybszym, niż zakładał.

Ale jak się z nią zobaczyć?

Następnego ranka Avra, ciągle ubrana w swój płaszcz z wielkim kapturem — strój kobiety bezpłodnej — weszła do świątyni. Odwróciła oczy, na pozdrowienie odpowiedziała milczeniem, pomodliła się chwilę u stóp posągu, pod którym najchętniej siadywała, przeszła przez salę i zaczęła gwałtowną rozmowę z biskupem. Sarvant przeraził się, że na niego donosi. Ale... czy mógł się spodziewać, że dziewczyna utrzyma jego słowa w tajemnicy? Przecież nawet to, że przebywał w tym świętym dla niej miejscu, było w jej oczach bluźnierstwem.

Wróciła na miejsce. Biskup skinął na Sarvanta, który odłożył szczotkę i podszedł do niego na miękkich nogach. Czyżby jego misja miała się skończyć tu i teraz, nim zdążył zasiać jedno brzemienne w plon ziarenko wiary, które rozkwitało by po jego śmierci? Jeśli zawiedzie teraz, Słowo zniknie na zawsze. Jest przecież Ostatnim z Wiernych!

— Synu — powiedział biskup — do tej pory wiedza o tym, że nie wierzysz, zastrzeżona była tylko dla kapłanów. Musisz pamiętać, że jako brat Słonecznego Bohatera zostałeś obdarzony wielkim przywilejem. Gdyby nie to, już dawno byś wisiał. Ale tobie dano miesiąc, żebyś odrzucił błędy swego życia i poznał prawdę. Miesiąc nie skończył się jeszcze, lecz ostrzegam cię: nie wolno ci głosić twych fałszywych przekonań. Możemy skrócić ten czas. Jestem niespokojny; to, że zgłosiłeś się do pracy w świątyni, traktowałem jak oznakę pragnienia, by poświęcić życie Matce Nas Wszystkich.

— A więc Avra powiedziała?

— Niech będzie błogosławione jej oddanie; oczywiście! Czy możesz mi obiecać, że sytuacja taka jak wczoraj nigdy więcej już się nie powtórzy?

— Obiecuję — powiedział Sarvant. Biskup nie prosił go przecież, by nie nawracał ludzi. Po prostu musi to robić lepiej, by „nie powtórzyła się sytuacja”. Od dziś będzie dzielny jak lew, sprytny jak wąż.

W pięć minut później zapomniał o tym postanowieniu.

Zobaczył, że do Avry podchodzi wysoki, przystojny mężczyzna; sądząc po manierach i drogim ubraniu niewątpliwie arystokrata. Dziewczyna uśmiechnęła się, wstała i poszła do budki. Ten uśmiech!

Nigdy przedtem nie uśmiechnęła się do podchodzącego do niej mężczyzny. Jej twarz była zawsze zimna, nieruchoma, jakby wykuta z marmuru. Teraz, widząc jej uśmiech, Sarvant poczuł, że coś w nim pęka, coś wypełnia jego jądra, brzuch, pierś, gardło i wybuchu w mózgu. Przed oczami miał ciemność, nie czuł i nie słyszał nic. Nie wiedział, jak długo trwał ten stan, ale gdy częściowo odzyskał zmysły dostrzegł, że stoi w pokoju kapłana-lekarza.

— Schyl się — powiedział kapłan. — Natrę ci prostatę i pobiorę próbkę.

Sarvant automatycznie spełnił jego polecenie. Podczas, gdy kapłan patrzył w mikroskop, stał i, pozornie zimny jak blok lodu, czuł płonący w ciele ogień. Wypełniała go radość tak szalona, jakiej nie zaznał nigdy; wiedział, co chce zrobić i nie miał śladu wyrzutów sumienia. Żadna istota lub Istota nie zdoła mu w tym przeszkodzić.

Kilka minut później wyszedł z biura. Bez wahania podszedł do Avry, która właśnie wyszła z budki, i nie zdążyła jeszcze usiąść.

— Chcę, żebyś ze mną poszła! — powiedział jasnym, czystym głosem.

— Dokąd? — zapytała dziewczyna, spojrzała mu w oczy, i zrozumiała. — A jak mnie wczoraj nazwałeś? — zapytała przekornie.

— To było wczoraj.

Ujął jej dłoń i pociągnął ją w stronę budki. Nie opierała się, a kiedy weszli i zasunęli zasłonę, dodała:

— Teraz rozumiem. Postanowiłeś poświęcić się Bogini!

Zrzuciła płaszcz i uśmiechnęła się z zachwytem. Ale patrzyła w sufit, nie na niego.

— O Wielka Bogini, dziękuję ci, że użyłaś właśnie mnie, by nawrócić tego człowieka na prawdziwą wiarę.

— Nie — odpowiedział Sarvant ochryplym głosem — Nie mów tak. Ja nie wierzę w tego waszego pogańskiego bałwana. Ja tylko — Boże, dopomóż! — ja tylko pragnę ciebie! Nie mogę znieść, że wchodzisz tu z każdym mężczyzną, który cię zechce. Avra, ja cię kocham!

Nieruchoma i przerażona, dziewczyna przez chwilę tylko na niego patrzyła. Nagle zerwała się jednak i zasłoniła płaszczem.

— I myślisz, że dam ci się zbrukać? Nie dotykaj mnie! Poganin! Pod świętym dachem!

Odwróciła się do wyjścia. Sarvant skoczył, przytrzymał ją i szarpnął. Dziewczyna otworzyła usta chcąc krzyknąć; wepchnął w nie skraj płaszcza, resztą owinał jej głowę i rzucił ją na łóżko.

Szarpała się rozpaczliwie i wrywała, ale przytrzymał ją palcami, które głęboko wbiły się w ciało. Złączyła kurczowo nogi; rozerwał je potężnym uderzeniem bioder. Próbowowała się cofać jak pełznący na grzbiecie wąż; zatrzymała ją ściana. Nagle przestała walczyć.

Sarvant jęczał trzymając Avrę za kark i przytulając twarz do jej płaszcza. Tak bardzo chciał ją całować, lecz przez podwójną warstwę materiału, który wcisnął jej w usta, nie czuł nic.

W jakimś przebłysku świadomości przypomniał sobie, że zawsze nienawidził przemocy, a zwłaszcza gwałtu; zrozumiał, że gwałci kobietę, którą kocha i że jest jeszcze gorzej — ta kobieta z własnej woli w ciągu dziesięciu dni oddała się co najmniej stu mężczyznom, dla których nie znaczyła nic, którzy przy jej pomocy ulżyli tylko swej lubieżności.

To nie miało sensu. Nic nie miało sensu.

Krzyczał, uwolniony od osiemsetletniego napięcia.

Nie wiedział, że krzyczy. Stracił świadomość otoczenia. Gdy biskup i kapłani wpadli do budki, gdy zalana łzami Avra tłumaczyła im, co się stało, nie rozumiał, o czym mówi. Świadomość odzyskał dopiero wtedy, gdy dostrzegł otaczający go wrogi tłum, który wpadł tu z ulicy i mężczyznę niosącego sznur.

Za późno.

Za późno, by tłumaczyć im, dlaczego musiał to zrobić. Za późno — nawet gdyby wiedział, co powiedzieć. Za późno — nawet gdyby go tak nie bili, aż stracił zęby, aż spuchły usta i mógł tylko bełkotać.

Biskup próbował interweniować, ale tłum odepchnął go na bok i wyniósł Sarvanta na ulicę. Wleczono go za nogi; jego głowa podskakiwała na stopniach granitowych schodów, wlokła się bezwładnie po betonie ulicy. Oto plac, na placu stoją szubienice w kształcie posągów potwornej starej Alby — Bogini Odbierającej Oddech.

Sznur przerzucono przez jej wyciągniętą rękę i zawiązano przy pasie posągu. Mężczyźni przynieśli stół z sąsiedniego domu i podstawili go pod wyciągniętą linę; podnieśli Sarvanta, związali mu ręce na plecach i zarzucili pętlę na szyję.

Na chwilę zapadła cisza. Tłum zamilkł i nikt już nie pragnął dostać w swe ręce zbrodniarza, rozerwać na strzępy jego bluźniercze ciało.

Sarvant z wolna obrócił głowę. Widział źle, oczy miał podbite i spuchnięte, z ran na głowie ciekła krew. Ze zmasakrowanych ust wydobył się tylko bełkot.

— Co? — zapytał jeden z trzymających go mężczyzn.

Sarvant nie odpowiedział. Myślał o tym, że zawsze chciał zostać męczennikiem. To był grzech, straszny grzech pychy. Lecz on pożył męczeństwa, wyobrażał sobie jak idzie na śmierć z godnością i odwagą wynikającą z przekonania, że jego dzieło kontynuować będą uczniowie, i że w końcu zwycięży.

Oto inny koniec. Szubienica. Powieszają go. Jak najgorszego łotra. Nie za głoszenie prawdy, lecz za gwałt.

Nie nawrócił nikogo. Nikt nie będzie po nim płakał. Bezimienny trup. Ciało rzucają świniom na pożarcie... nie, ciało się nie liczy, ale umrze jego imię, jego powołanie. Boże!

— chciał krzyczeć w niebo — ktoś, jeden jedyny człowiek, powinien kontynuować me dzieło.

Nowa religia nie zwycięży, myślał, jeśli stara nie zestarzała się i nie osłabła. Wszyscy ci ludzie nie mają wątpliwości, nic nie osłabia ich ślepej, fanatycznej wiary. Wierzą z siłą, która w moich czasach należała już do przeszłości.

Jęknął. Stał już sam na stole, słaniając się i marząc, by nie okazać strachu.

— Za wcześnie — powiedział w języku, którego nie zrozumiałby nikt, nawet gdyby zdołał usłyszeć jego słowa. — Za wcześnie wróciłem na Ziemię. Powinienem odczekać jeszcze osiemset lat, może wówczas niektórzy straciliby już wiarę i zaczęli szeptać ukradkiem. Za wcześnie!

Wyrwano mu stół spod stóp.



## Rozdział trzynasty

Dwa szkunery o wysokich masztach wyłoniły się zza zasłony porannej mgły i zaatakowały deceańską brygantynę, nim majtek z bocianiego gniazda zdążył krzykiem ostrzec załogę. Marynarze z Boskiego Delfina nie mieli jednak najmniejszych wątpliwości, kto jest napastnikiem. Niemal jednym głosem krzyknęli „Karelianie!”, a później wszystko się zmieszało.

Jeden z kareliańskich szkunerów uderzył burtą w burtę Delfina, piraci rzucili haki abordażowe, związując obie jednostki w nierozzerwalną całość, i w niebywale krótkim czasie zaatakowali. Wszyscy byli wysocy, ubrani wyłącznie w kolorowe szorty i szerokie skórzane pasy, obwieszane bronią. Od stóp do głów pokrywały ich tatuaże; walczyli kordami i wielkimi maczugami z kulami najeżonymi kolcami, wrzeszcząc przy tym przeraźliwie w swym ojczystym fińskim języku. Maczugami i kordami wymachiwali w bojowym szale, w ferworze bitwy atakując od czasu do czasu swych towarzyszy, jeśli w pobliżu nie było akurat przeciwnika. Mimo zaskoczenia DeCeańczycy bronili się jednak dzielnie i ani myśleli o poddaniu, które oznaczało niewolę i morderczą pracę.

Załoga Terry przyłączyła się do obrońców. Kosmonauci nie mieli pojęcia o szermierce, lecz walczyli najlepiej, jak umieli; nawet Robin chwyciła za miecz, by bić się u boku Churchilla.

Załoga drugiego szkunera zaatakowała od tyłu, z przeciwległej burty. Tłum piratów wpadł na DeCeańczyków nim zdążyli się obrócić i stawić im czoła. Jako pierwszy z Terry poległ dahomejczyk Gbwe-hun. Celnym ciosem, który zawdzięczał wyłącznie szczęściu, położył jednego pirata i zranił drugiego, nim zadany z tyłu cios kordem odciął mu prawą dłoń, a w sekundę później także głowę. Następny padł Yastzhembski, krwawiąc z wielkiej rany na czole.

Nagle na Robin i Churchilla spadła zrzucona z rei sieć. Miotali się próbując walczyć dalej, ale zrezygnowali, pobici do nieprzytomności pięściami napastników.

Gdy Churchill oprzytomniał stwierdził, że ręce ma związane za plecami, a obok leży związana Robin. Dźwięk zderzających się ze sobą ostrzy ucichł, nie słychać było także

jęków rannych. DeCeańczyków, nie rokujących nadziei na wyzdrowienie, wyrzucono po prostu za burtę; Karelianie, nawet umierając, nie jęczeli.

Kapitan piratów, Kirsti Ainundila, stał naprzeciw jeńców. Był wysoki, czarnowłosy, jedno oko zasłaniała opaska, przez lewy policzek biegła długa blizna. Mówił kiepskim deceańskim.

— Przeczytałem dziennik waszego statku i wiem, kim jesteście. Więc nie musicie kłamać. Za was — wskazał na Churchilla i Robin — dostanę dobry okup. Myślę, że Whittrow da wiele za córkę i zięcia. Za resztę sporo mi zapłacą na targu w Aino.

Churchill wiedział, że Aino to kareliański port na wybrzeżu tego, co niegdyś nazywano Północną Karoliną.

Kirsti rozkazał zabrać ich do ładowni i skuć łańcuchami. Między jeńcami znalazł się także Yastzhembski; widocznie oceniono, że ma szansę wylizać się z ran.

Zostali skuci łańcuchami i pozostawieni sami sobie. Pierwszy odezwał się Lin.

— Teraz dopiero widzę, jaką głupotą było wierzyć w powrót do domu. Nie dlatego, że nas pojmano, lecz dlatego, że nie mamy domów. Tam nie byłoby nam lepiej niż tu. Nasi potomkowie z pewnością okazaliby się równie obcy i nieprzyjaźni jak potomkowie Churchilla. I jeszcze coś. Zapomnieliśmy o tym, bo chcieliśmy jak najszybciej wrócić na Ziemię, ale... co się stało z ludźmi, którzy mieszkali w kolonii na Marsie?

— Nie wiem — odparł Churchill. — Ale wydaje mi się, że gdyby jakimś cudem przeżyli, już dawno by tu byli. Kolonia była w końcu całkowicie samowystarczalna i miała własne statki.

— Najwyraźniej coś im przeszkodziło — odezwał się Chandra. — Ale rozumiem, do czego zmierza Lin. Na Marsie są złoża materiału rozszczepialnego. Środki przetwarzania rudy musiały tam zostać, nawet jeśli zginęli ludzie.

— Zaraz, chciałbym coś tu wyjaśnić — wtrącił się Churchill. — Chcecie, żebyśmy zabrali Terrę na Marsa? Mamy paliwo, by tam dolecieć, ale nie możemy wrócić. Więc chcecie wyprodukować paliwo na Marsie i znów polecieć do gwiazd?

— Przecież znaleźliśmy planetę, której mieszkańcy są zbyt prymitywni, by z nami walczyć — zauważył Lin. — Mam na myśli drugą planetę Vegi. Ma cztery duże kontynenty, oddzielone wielkimi przestrzeniami oceanu. Na jednym kontynencie mieszkają humanoidzi znajdujący się mniej więcej na poziomie starożytnych Greków, przynajmniej pod względem techniki, na dwóch pozostałych mamy Neolit. Czwarty kontynent nie jest zamieszkały. Moglibyśmy go skolonizować.

Na chwilę zapadła cisza.

Churchill doceniał zalety propozycji Lina, ale widział też jej wady, z których największą był brak jakichkolwiek możliwości realizacji. Po pierwsze: musieliby się uwolnić. Po drugie: zdobyć Terrę, chronioną tak ściśle, że kiedy rozmawiali po zwolnieniu z aresztu w Waszyngtonie, odrzucili ten pomysł.

— Nawet jeśli uda się nam zdobyć Terrę, a sprawa jest co najmniej wątpliwa — powiedział — musimy jeszcze dotrzeć na Marsa. To największy problem; co się stanie, jeśli nie zdobędziemy tam paliwa?

— Przywarujemy i wyprodukujemy aparaturę — odpowiedział Al-Masyuni.

— Dobrze, załóżmy, że Mars da nam to, czego chcemy i że dolecimy do Vegi. Musimy mieć kobiety. Inaczej ta sprawa od początku jest bez sensu. Powiedzmy, że zabiorę Robin nie pytając jej o zdanie. A co wy? Porwiecie DeCeanki?

— Jak już wyjdą z hibernatorów na Vedze, nie będą miały nic do gadania — zauważył Steinborg.

— Przemoc, porwanie, gwałt — stwierdził Churchill. — Jakie to wspaniałe cegiełki na budowę nowego wspaniałego świata!

— Widzisz jakiś inny sposób? wtrącił się Wang.

— Nie zapominaj o Sabinkach — dodał Steinborg.

Churchill nie odpowiedział, lecz po chwili wysunął kolejne zastrzeżenie.

— Jest nas tak niewielu, że wkrótce wszyscy skrzyżują się ze wszystkimi. Przecież nie chcemy stworzyć rasy idiotów!

— Porwiemy nie tylko kobiety, ale i dzieci.

Churchill zdrętwiał. Nie było sposobu na uniknięcie gwałtu. Jak w całej historii ludzkości.

— Jeśli zabierzemy dzieci, nie umiejące jeszcze mówić — a więc nie pamiętające Ziemi, musimy mieć więcej kobiet, żeby się nimi zajęły. I tu powstaje kolejny problem. Poligamia. Nie wiem jak inne dziewczyny, ale Robin z pewnością zaprotestuje.

— Wyjaśnij jej; że to tylko tymczasowe rozwiązanie — zaproponował Yastzhembski. — Zresztą, możesz być w końcu wyjątkiem; monogamistą między poligamistami. A my będziemy się dobrze bawić. Proponuję, żebyśmy najechali jakąś wioskę Pantelfian. Z tego, co mi powiedziano wiem, że ich kobiety są przyzwyczajone do poligamii. Z pewnością nie będą miały nic przeciw mężom, którzy się o nie troszczą; zwłaszcza po tych tak zwanych mężczyznach, z którymi są teraz.

— W porządku — ustąpił Churchill. — Zgoda. Ale jeszcze coś mnie martwi.

— Co?

— Jak się stąd wydostać.

Zapadła ponura cisza.

W końcu odezwał się Yastzhembski.

— Może Whitrow wykupiłby nas wszystkich?

— Nie. I tak trudno mu będzie wykupić mnie i Robin. To cwani goście.

— Cóż, ty się w końcu wydostaniesz. My, nie — stwierdził Steinborg.

W odpowiedzi Churchill wstał i zaczął hałasować łańcuchami, wrzeszcząc, że chce się widzieć z kapitanem.

— Co robisz? — zaniepokoiła się Robin. Z dotychczasowej rozmowy zrozumiała tylko kilka słów, nie znała przecież amerykańskiego z XXI wieku.

— Zamierzam zaproponować kapitanowi coś w rodzaju układu — odparł Churchill po deceańsku. — Chyba mamy szansę się uwolnić. Ale wszystko zależy od tego, jak pięknie ja będę mówił i jak chętnie on będzie mnie słuchał.

Jeden z marynarzy wsadził łeb do ładowni i wrzasnął: — O co chodzi, do stu tysięcy diabłów!

— Powiedz kapitanowi, że mam sposób, żeby zarobił tysiąc razy więcej, niż się spodziewa. I został wielkim bohaterem.

Marynarz znikł. W chwilę później dwóch członków załogi zeszło do ładowni i rozkuło Churchilla.

— Do widzenia — pożegnał przyjaciół. — Ale nie liczcie na to, że się szybko zobaczymy.

Nawet nie wiedział, jak prawdziwe okażą się te słowa.

Minął dzień, a on nie wracał. Robin była bliska hysterii; myślała, że kapitan rozżłościł się i zabił jej męża. Kosmonauci próbowali ją uspokoić tłumacząc, że tacy dobrzy kupcy jak Karelianie nigdy nie pozbawiliby się nadziei na duży zarobek, w głębi duszy jednak sami byli niespokojni. Nawet niechący Churchill mógł przecież obrazić kapitana i w ten sposób zmusić go do ratowania twarzy poprzez zabójstwo. Mógł też zginąć podczas próby ucieczki.

Nadeszła noc. Niektórzy usnęli. Robin drzemała, mrużąc modlitwy do Wielkiej Białej Matki.

Luk otworzył się dopiero nad ranem i Churchill w towarzystwie dwóch marynarzy wtoczył się do ładowni. Potykał się, ślaniał, a raz nawet czknał głośno. Dopiero gdy go przykuto, przyjaciele zrozumieli o co chodzi. Jego oddech śmierdział piwem, słowa wydobywały się z ust bełkotliwe i niewyraźne.

— Chłałem jak smok. Cały dzień i całą noc. Przegadałem Kirsti, ale chyba on mnie przepił. Dowiedziałem się sporo o tych Finach. Spustoszenie właściwie ich oszczędziło, a później rozlali się po Europie jak Wikingowie. Zmieszali się z ocalałymi Skandynawami, Niemcami i Bałtami. Zajmują teraz północno-zachodnią Rosję, wschodnią Anglię, prawie całą północną Francję, Islandię, Grenlandię, Nową Szkocję, Labrador, Północną Karolinę i Bóg jeden wie co jeszcze, bo wysłali ekspedycje do Indii i Chin...

— Bardzo ciekawe, ale może opowiesz o nich innym razem — wtrącił się Steinborg. — Co z kapitanem? Załatwiłeś sprawę?

— Cwany z niego facet i cholernie podejrzliwy. Napracowałem się, żeby go przekonać i...

— O co chodzi? — zniecierpliwiła się Robin.

Churchill uspokoił ją po deceańsku; powiedział, że wkrótce ich wszystkich wypusz-

czą, i z powrotem przeszedł na swój ojczysty amerykański.

— Próbowaliście kiedyś wyjaśnić antygravitację i antymaterię człowiekowi, który nawet nie wie, co to są atomy i elektrony? Między innymi, między wieloma innymi, musiałem mu zrobić wykład z teorii budowy atomu i...

Głos Churchilla ucichł, głowa mu opadła. Spał.

Zrozpaczona Robin zaczęła nim potrząsać z taką siłą, że się w końcu obudził.

— Aaaa, to ty, Robin — wybełkotał. — Robin, mój pomysł z pewnością ci się nie spodoba. Znienawidzisz mnie, Robin...

Zasnął znowu i tym razem nikomu nie udało się go dobudzić.

## Rozdział czternasty

— Chciałabym, żebyś mi zdjął ten pas — powiedziała Mary Casey. — Jest bardzo niewygodny i nieprzyjemny. Ociera mi skórę, ledwie chodzę. I nie jest zbyt higieniczny. Wprawdzie ma dwie małe dziurki, ale i tak za każdym razem muszę go splukiwać wodą.

— Wiem — odpowiedział Stagg niecierpliwie. — Nie o to zresztą chodzi.

Mary spojrzała na niego i krzyknęła: — Och, nie!

Miękkie, giętkie rogi wyprostowały się i zeszywniały.

— Peter — powiedziała dziewczyna, starając się mówić cicho i spokojnie. — Peter, proszę, nie. Tylko nie to. Zabijesz mnie.

— Nie, nie zabiję — odpowiedział przerywanym głosem, ale czy szłochał z pożądania, czy ze wstydu, że nie potrafi się opanować, nie wiedziała. — Zrobię to bardzo łagodnie. Obiecuję, że nic ci nie grozi.

— Nawet raz to za wiele! Przecież kapłan nie udzielił nam ślubu. Popełnię grzech!

— Nie będzie grzechu. Zostaniesz zmuszona — głos Stagga brzmiał ochryple. — Uwierz mi, nie masz wyboru.

— Nie! — krzyknęła dziewczyna. — Nie, nie, nieee!

Krzyczała, lecz Stagg nie zwracał na nią uwagi. Obchodził go tylko pas, który dawał się otworzyć wyłącznie kluczem lub pilnikiem, a ponieważ pod ręką nie było ani jednego, ani drugiego, wyglądało na to, że będzie musiał obejść się smakiem.

Opanowała go jednak siła nie uznająca rzeczywistości.

Pas składał się z trzech części. Dwie z nich, obejmujące talię, zrobione były ze stali i miały z tyłu zawiasy tak, by można je było odchyłać i zamykać z przodu na klucz. Trzecia część, zrobiona z niewielkich metalowych ogniw i dzięki temu elastyczna, mocowana była do pasa drugim zamkiem. Całość wyłożono grubym sukniem, zapobiegającym skaleczeniom i otarciom. Jednak, z konieczności, była ona ściśle dopasowana do ciała i ciasna; inaczej można byłoby ściągnąć pas z kobiety lub wyjąć kobietę z pasa siłą, ryzykując wyłącznie otarcia skóry.

Ten pas był nawet wyjątkowo ciasny; tak ciasny, że utrudniał oddychanie. Stagg zdołał jednak wsunąć dłonie pod jego część przednią, choć Mary skarżyła się na ból. Nie przejmując się jej jękami zaczął skręcać stal w nadziei, że uda mu się rozerwać zamek.

— O, Boże! — krzyczała Mary. — Nie, nie! Zgnieciesz mnie, zabijesz! Nie!

Nagle opuścił ręce; wydawało się, że na moment odzyskał kontrolę nad swymi bezmyślnymi odruchami. Oddychał ciężko.

— Przykro mi, Mary. Nie wiem, co robić. Być może powinienem uciec jak najdalej nim to, co mną rządzi, każe mi szukać cię znowu.

— Możemy się nigdy nie spotkać — Mary wyglądała smutno i mówiła bardzo cicho. — Będzie mi ciebie brakowało, Peter. Lubię cię, nawet bardzo lubię; tylko nie wtedy, kiedy jesteś pod wpływem tych rogów. Nie ma się co oszukiwać — jeśli nawet zwyciężysz dziś, przegrasz jutro.

— Lepiej może uciec zaraz, kiedy potrafię się jeszcze jakoś kontrolować. Co za dylemat! Muszę cię porzucić na pewną śmierć, bo jeśli cię nie zostawię, zginiesz.

— Nie możesz zrobić nic innego.

— No... — zawahał się Stagg — ten pas wcale nie musi oznaczać, że nie dostanę, czego chcę. Są przecież inne sposoby.

Mary zbladła i krzyknęła — Nie!

Stagg odwrócił się i pobiegł ścieżką tak szybko, jak tylko mógł. Po chwili przyszło mu jednak do głowy, że Mary będzie szła właśnie ścieżką, więc skręcił w las. Właściwie nie był to nawet las w ścisłym znaczeniu tego słowa; po Spustoszeniu zniszczony kraj odradzał się bardzo powoli. Tej ziemi nie obsiewano, nie nawadniano i nie nawożono jej jak pól DeCe. Drzew spotykało się stosunkowo niewiele; rosły tu przeważnie chwasty i niskie krzewy, a ich też nie było zbyt wiele. Tam, gdzie przez cały rok nie brakowało wody, drzewa rosły jednak gęściej. Stagg biegł zaledwie chwilę, gdy trafił na strumyk. Rzucił się w wodę z nadzieją, że jej chłód ostudzi nieco pożar jego jąder, ale woda była ciepła.

Zerwał się, przeskoczył strumień i pobiegł dalej. Okrążył drzewo i niemal wpadł na niedźwiedzia.

Od czasu, gdy wraz z Mary opuścił Wielką Królową, wypatrywał tych zwierząt. Wiedział, że spotyka się ich tutaj stosunkowo dużo; Pantelflanie czcili je, dokarmiali jeńcami a także zbuntowanymi kobietami.

Stał oko w oko z wielkim, czarnym samcem. Może był on, a może nie był głodny. Może był, a może nie był przestraszony nagłym pojawieniem się Stagga, tak samo jak Stagg przeraził się jego nagłym pojawieniem. Gdyby miał szansę, może by się nawet cofnął? Ale kapitan wypadł zza drzewa tak szybko, że niedźwiedź musiał stwierdzić, iż został napadnięty. Umiał zaś bronić się tylko w jeden sposób... więc zaatakował.

Wspiął się na zadnie łapy — jak zawsze, gdy miał do czynienia z bezbronną ofiarą, człowiekiem; i prawą, wielką łapą zadał cios, mierząc w głowę. Gdyby trafił, czaszka roz-

leciałaby się jak upuszczona na ziemię układanka.

Nie trafił, ale pazury przeorały skórę na ciemieniu Stagga, który przewrócił się — częściowo z powodu siły ciosu a częściowo dlatego, że musiał się gwałtownie zatrzymać i stracił równowagę.

Niedźwiedź opadł na cztery łapy i zaatakował powtórnie. Stagg zerwał się, wyrwał z pochwy miecz i wrzasnął. Krzyk nie wywarł na zwierzęciu żadnego wrażenia; znów stanęło pionowo. Człowiek machnął mieczem i zranił je w łapę. Rozjuszona bólem bestia zaatakowała rycząc. Stagg zadał drugi cios, tym razem jednak łapa spadła na miecz z tak niesamowitą siłą, że wytracona broń poszybowała wysokim łukiem i znikła wśród chwastów.

Człowiek skoczył, by ją odzyskać, pochylił się i... niedźwiedź przykrył go swym ogromnym cielskiem. Kapitan zarył twarzą w ziemię mając wrażenie, że dostał się pod potężną prasę.

Przez chwilę nawet niedźwiedź był zaskoczony, bowiem źle obliczył dystans, skoczył zbyt daleko i przycisnął człowieka tylko dolną częścią tułowia. Przetoczył się więc jak najszybciej i odwrócił błyskawicznie. Stagg skoczył na równe nogi rzucając się do ucieczki. Nim zdołał przebiec dwa kroki, zwierzę dopadło go i uchwyciło przednimi łapami.

Kosmonauta wiedział doskonale, że twierdzenie, jakoby niedźwiedzie zabijały swe ofiary miażdżąc je w łapach, jest absolutnie nieprawdziwe; zdążył jednak pomyśleć, że chyba tym razem spotkał bestię nie mającą pojęcia o tym, jak zachowują się normalnie jej pobratymcy. W każdym razie miś próbował powstrzymać człowieka i jednocześnie rozerwać mu pierś. Nie zdążył, bowiem Stagg wyrwał się z jego objęć. Nie miał czasu na refleksję, jak potwornej, wręcz herkulesowej siły wymagało rozerwanie uścisku tych niesamowicie silnych łap; gdyby się zastanowił, domyśliłby się zapewne, że siłę tę zawdzięczał rogom.

Odskoczył i odwrócił się, stając twarzą w twarz z przeciwnikiem. Był szybki, zbyt wolny jednak, by próbować ucieczki. Na pięćdziesięciu metrach niedźwiedź przegoni najlepszego olimpijskiego sprintera.

Zwierzę zaatakowało po raz kolejny i Stagg zdołał wymyślić tylko jeden sposób obrony. Z całej siły rąbnął pięścią w czarny nos. Cios, który z pewnością zgruchotałby ludzką szczękę, spowodował, że niedźwiedź stanął, jakby zderzył się ze ścianą, sapnął „ufff”, i zrobił zeza. Z jego nozdrzy trysnęła krew.

Człowiek nie tracił czasu na podziwianie precyzji i czystości uderzenia. Obiegł bestię i sięgnął po miecz. Prawa dłoń nie chciała się zamknąć na rękojeści; siła uderzenia sparaliżowała ją. Ujął więc miecz lewą ręką i odwrócił się. W ostatniej chwili. Niedźwiedź znów atakował, chociaż już nieco wolniej niż poprzednio.

Stagg podniósł miecz i bardzo dokładnie zadał nim cios z góry, mierząc w grubą,



krótką szyję. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, było niknące w ciele ostrze i szkarłatny, try-skający w powietrze strumień.

Gdy odzyskał przytomność, poczuł przede wszystkim przejmujący ból, zauważył jednak leżącego obok martwego niedźwiedzia i zapłakaną twarz Mary. Po chwili ból stał się nie do zniesienia i Stagg zemdlął powtórnie.

Ocknął się z głową na kolanach dziewczyny, leżącej mu wodę z manierki w otwarte usta. Głowa nadal pękała mu na kawałki, odruchowo sięgnął więc ręką szukając przyczyn tego stanu rzeczy i namacał bandaż.

Brakowało prawego rogu.

— Ten niedźwiedź musiał ci go wyrwać. Usłyszałam z daleka, jak walczyście. Słyszałam jego ryki i twój wrzask. Przybiegłam tak szybko, jak tylko mogłam. Bałam się.

— Gdybyś nie przybiegła, pewnie bym umarł.

— Też tak myślę — stwierdziła Mary rzeczowo. — Strasznie krwawiłeś z dziury, którą ten róg zostawił w kości czaszki. Udało mi się powstrzymać krwotok pasami kiltu.

Poczuł, jak na twarz pada mu wielka gorąca łza.

— Już po wszystkim — powiedział. — Płacz ci pomoże. Cieszę się, że jesteś taka odważna. Nie winiłbym cię, nawet gdybyś uciekła.

— Nie mogłam. Ja... ja cię chyba Kocham, Peter. Oczywiście, nikogo nie zostawiłabym na pewną śmierć. I bałam się samotności.

— Usłyszałam, co powiedziałaś przedtem. Nie wiem, jak mogłaś pokochać takiego potwora jak ja. Ale, jeśli masz się poczuć lepiej, a nie gorzej, to... ja też cię Kocham. Choć jakiś czas temu wcale na to nie wyglądało.

Dotknął obłamanego rogu i skrzywił się.

— Jak myślisz, czy to zmniejszy moje... moje pożądanie o połowę?

— Nie wiem. Chciałabym wiedzieć. Ale... myślałam, że jeśli obciąć ci rogi, umrzesz z szoku.

— Ja też. Może kapłanki kłaniały? Może dotyczyło to obu rogów? W końcu czaszka pozostała nienaruszona i jeden z nich ciągle działa. Po prostu nie wiem.

— Przestań o tym myśleć. Zjesz coś? Kawałek niedźwiedziej pieczeni?

— To ona tak pachnie? — Stagg usiadł i głęboko wciągnął powietrze. Spojrzał na ścierwo niedźwiedzia.

— Jak długo byłem nieprzytomny?

— Cały dzień, noc i dzisiejszy ranek. Nie martw się o dym. Potrafię rozpalić ognisko, które nie dymi.

— Sądzę, że wszystko będzie w porządku — powiedział Stagg. — Te rogi wspaniale regenerują organizm. Nie dziwiłbym się, gdyby odrosły.

— Będę się modlić, żeby nie odrosły — powiedziała Mary, podeszła do ogniska i zdjęła z patyka piekące się na nim dwa kawałki mięsa. Już po chwili Stagg pożerał

chleb i niedźwiedzi szaszłyk.

— Musi mi się poprawiać — stwierdził. — Zupełnie nagle poczułem się tak głodny, że zjadłbym niedźwiedzia.

Dwa dni później przypomniał sobie te słowa i wybuchnął śmiechem, ponieważ... rzeczywiście zjadł niedźwiedzia! Pozostały po nim tylko skóra, kości i wnętrzności. Znikł nawet mózg.

Czuł, że jest gotowy do drogi. Mary zdjęła bandaż i tuż ponad kostną podstawą rogu zobaczyli bliznę po czysto wygojonej ranie.

— Wygląda na to, że nie odrośnie — stwierdził Stagg i spojrzął na Mary. — Ale znów się zaczęło. Czuję to samo co wtedy, kiedy od ciebie uciekłem. Tę samą potrzebę.

— Czy to znaczy, że znowu musimy się rozstać? — z jej tonu nie można było wyczytać, czy cieszy się z tego, czy nie.

— Sporo ostatnio myślałem, w końcu nie miałem nic więcej do roboty. I wymyśliłem. Widzisz, kiedy prowadzono nas do Wielkiej Królowej, to uczucie osłabło. Myślę, że z powodu niedożywienia. Chcę ci zaproponować, żebyśmy zostali razem. Zacznę głodówkę. Będę jadł tylko tyle, żeby utrzymać się na nogach. Uniknę zbyt silnego... pożądania. Będzie ciężko, ale wytrzymam.

To cudownie! — Mary zawahała się, zarumieniła i dodała: — Ale musimy zrobić coś jeszcze. Muszę pozbyć się tego pasa. Wiem o czym myślisz, ale to nie to. Po prostu rani mnie, ociera, ściska tak, że nie mogę oddychać.

— Kiedy tylko znajdziemy się na ziemiach DeCe odszukam jakąś farmę, ukradnę pilnik i pozbędziemy się tego diabelstwa.

— W porządku. Chciałam tylko, żebyś zrozumiał moje motywy — zarzuciła worek na plecy i ruszyli w drogę.

Starali się iść jak najszybciej ale, biorąc pod uwagę pas, nie posuwali się zbyt szybko. Zachowywali największą ostrożność, czujni na każdy nieoczekiwany odgłos. Obawiali się nie tylko pogoni Pantelfian, która niewątpliwie ruszyła, lecz także wrogich DeCeańczyków.

Przekroczyli góry Shawangunk. A kiedy wyszli na łąkę, przez którą biegła ścieżka, dostrzegli ścigających ich wojowników, pałających chęcią zemsty za śmierć towarzyszy.

Musiało ich to zaślepić do tego stopnia, że wpadli w pułapkę DeCeańczyków. Zwisali teraz z pni, do których zostali przywiązani nim poderżnięto im gardła. Pod drzewami wały się kości. Czego nie zjadły niedźwiedzie, padło łupem lisów, zaś wrony ciągle jeszcze żerowały na tym, co przeoczyły lisy.

— Musimy być teraz podwójnie ostrożni — powiedział Stagg. — Myślę, że DeCeańczyki ciągle nas szukają.

W jego głosie brakowało poprzedniej energii. Ważył kilkanaście kilogramów mniej, oczy miał podbite, jedyny róg chwiał się przy każdym ruchu głowy. Usiadł i jadł, a kie-

dy skończył swą małą porcję, patrzył na jedzącą Mary. Czasami odchodził i kładł się tam, skąd nie mógł widzieć jak je.

Najgorsze było, że nawet we śnie nie zapominał o jedzeniu. Śnił o stołach uginających się pod ciężarem smakowitych dań i o wielkich kamiennych dzbanach pełnych zimnego ciemnego piwa. A kiedy znikало jedzenie, pojawiały się dziewczęta, których miał pod dostatkiem podczas Wielkiej Procesji. Chociaż głodówka zmniejszyła siłę pożądania, było ono jednak ciągle znacznie większe niż u przeciętnego mężczyzny. Zdarzało się, że kiedy Mary spała, szedł do lasu, by sobie ulżyć. Odczuwał straszny niesmak, ale i tak było to lepsze od gwałtu.

Nie ośmielił się nawet pocałować Mary. Dziewczyna najwyraźniej rozumiała go i sama nigdy nie próbowała się doń zbliżyć; ani słowem nie wspomniała też o swej miłości. A może, myślał czasami Stagg, nigdy mnie nie kochała? Może tylko dziękowała losowi za to, że nie zginął, a jej słowa były dowodem wielkiej ulgi?

Po tym, jak trafili na szczątki Pantelfian, opuścili ścieżkę i powędrowali przez las. Poruszali się wolniej, ale bezpieczniej.

W końcu dotarli do brzegów Hudsonu. Tej nocy Stagg włamał się do stodoły i ukradł pilnik. Musiał zabić psa; udusił więc zwierzę nim zdołało szczeknąć po raz trzeci. Wrócił do lasu i przez cztery godziny rozcinał pas. Stał okazała się niezwykle twarda, a poza tym musiał uważać, by nie skaleczyć dziewczyny. Udało mu się w końcu i Mary poszła do lasu, by nasmarować rany i otarcia maścią, którą również ukradł. Stagg tylko wzruszył ramionami nad tą przesadną skromnością. Wielokrotnie oglądali się nago, ale wówczas, oczywiście, ona nie panowała nad sytuacją.

Kiedy wróciła, powędrowali wzdłuż brzegu aż znaleźli łódkę, przywiązaną do drewnianego pomostu. Na drugim brzegu Stagg puścił łódkę z prądem. Sami poszli na wschód. Maszerowali dwie noce, kryjąc się i śpiąc w dzień. Na farmie w pobliżu Poughkeepsie Stagg ukradł trochę jedzenia, a kiedy wrócił, zjadł trzykrotnie większą porcję niż normalnie. Mary zaniepokoiła się trochę, ale wytłumaczył jej, że musi jeść, bo jego ciało pożera już samo siebie.

Zjadł połowę ukradzionego jedzenia, wypił butelkę wina. Przez chwilę siedział nieruchomo, w milczeniu.

— Przepraszam cię — powiedział w końcu. — Nie mogę tego znieść. Muszę wracać na farmę.

— Ale czemu! — krzyknęła Mary.

— Bo tam nie ma mężczyzn. Pewnie poszli do miasta. Są za to trzy kobiety, w tym dwie śliczne dziewczyny. Mary, czy ty mnie rozumiesz!?

## Rozdział piętnasty

— Nie! — krzyknęła Mary. — Nie rozumiem! A nawet gdybym rozumiała, to czy naprawdę myślisz, że pozwoliłabym ci tam wrócić i narazić nas oboje? Te kobiety opowiedzą o wszystkim swym mężczyznom i wiadomość dotrze w końcu do kapłanek w Vassar. Wytropią nasz ślad! Jeśli ktoś im powie, gdzie jesteśmy, złapią nas na pewno.

— Wiem, że masz rację, ale nie wytrzymam! Za dużo zjadłem. Mary, albo te dwie dziewczyny, albo ty!

Mary wstała. Widać było, że zrozumiała, iż musi zrobić coś, na co nie miała najmniejszej ochoty.

— Myślę, że potrafię rozwiązać twój problem — powiedziała — jeśli tylko odwrócisz się na chwilę.

Czując przepełniającą go radość Stagg krzyknął: — Mary, nawet nie wiesz, co to dla mnie znaczy! — po czym odwrócił się. Mimo niewyobrażalnej rozkoszy oczekiwania musiał się uśmiechnąć. Jakie to do niej podobne, pomyślał, że rozbiera się tak skromnie, choć przecież zaraz będziemy się kochać.

Czuł ruch za plecami.

— Czy mogę się już odwrócić?

— Jeszcze nie! Nie jestem jeszcze gotowa. Słyszał jak się zbliża. Tracił cierpliwość.

— Czy teraz już mogę...

— Jeszcze nie — odpowiedziała, stojąc tuż za nim.

— Już nie mogę...

Coś rąbnęło go mocno w tył głowy. Stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, leżał na boku. Ręce miał związane na plecach, nogi w kostkach; Mary przecięła na pół cienki sznur, który zabrała z wioski Pantelfów. Obok głowy widział duży kamień, którego najprawdopodobniej użyła, by pozbawić go przytomności.

Widząc, że otworzył oczy, powiedziała:

— Strasznie cię przepraszam, Peter. Musiałam to zrobić. Jeśli naprowadziłbyś DeCeńczyków na nasz trop, zapewne by nas zabili.

— W torbie masz dwie butelki whisky — odparł ponuro Stagg. — Oprzyj mnie o drzewo i daj mi się napić. Chcę wypić całą butelkę. Po pierwsze dlatego, że muszę złagodzić czymś ten cholerny ból głowy. Po drugie: jeśli się nie urznię do nieprzytomności, umrę z rozczarowania. Po trzecie: chcę zapomnieć, jaka z ciebie cholerna suka!

Nie odpowiedziała, ale zrobiła co kazał. Siedziała obok, trzymając mu butelkę przy ustach i odsuwając ją od czasu do czasu, kiedy musiał zaczerpnąć oddechu.

— Przepraszam, Peter.

Idź do diabła! Dlaczego musiałem trafić właśnie na ciebie! Dlaczego nie spotkałem jakiejś prawdziwej kobiety? Daj mi pić!

W ciągu dwóch godzin wypił dwie trzecie litrowej butelki. Przerwał, chwilę siedział patrząc prosto przed siebie, a potem zwałił się ciężko na ziemię i zasnął.

Obudziwszy się rano stwierdził, że Mary go rozwiązała. Nie skarżył się na kaca i w ogóle nie odzywał się do dziewczyny. Po prostu patrzył, jak wydziela mu jedzenie. Po śniadaniu, do którego wypił morze wody, powędrowali na wschód.

Wczesnym popołudniem Mary zdecydowała się przerwać wreszcie ciężące milczenie.

— Od dwóch godzin nie mijaliśmy żadnej farmy — powiedziała. — Las jest znacznie rzadszy, a grunt coraz bardziej kamienisty. Zbliżamy się do pustkowi oddzielających DeCe od Caseylandu. Musimy być teraz ostrożniejsi niż kiedykolwiek. Możemy wpaść na oddziały żołnierzy obu narodów.

— Ale dlaczego mielibyśmy się obawiać twoich ludzi? Myślałem, że właśnie ich szukamy?

— Mogą najpierw strzelać, a później pytać — Mary była wyraźnie zaniepokojona.

— W porządku powiedział Stagg lekko ochrypłym głosem. — Będziemy do nich krzyczeć z bezpiecznej odległości. Powiedz mi Mary, czy jesteś pewna, że nie potraktują mnie jak deceańskiego jeńca? W końcu, ten róg... Mogą się uprzedzić.

— Nie wtedy, kiedy im powiem, że uratowałeś mi życie. I że nie chciałeś być Słonecznym Bohaterem, i że nic nie mogłeś na to poradzić... Tylko...

— Tylko co?

— Tylko będziesz musiał poddać się operacji.

Nie wiem, czy moi ludzie są wystarczająco dobrymi lekarzami, by usunąć ten róg nie pozabawiając cię życia, ale będziesz musiał zaryzykować. Inaczej cię zamkniemy. A wiesz, że to skończyłoby się szaleństwem. Nie możemy pozwolić, żebyś chodził wolno, nie w tych okolicznościach. I oczywiście nasz ślub byłby wykluczony, gdybyś dalej miał ten róg. A tak, zostaniesz najpierw ochrzczony w naszej wierze, bo nie chcę poślubić poganina. Nie mogłabym, my zabijamy pogan.

Stagg nie wiedział, czy ma się wściekać, czy śmiać, czy płakać; w końcu machnął zrezygnowany ręką i tylko powiedział spokojnie:

— Nie pamiętam, żebym cię prosił o rękę.

— Och, przecież nie musisz! Wystarczy, że spędziliśmy noc bez przyzwoitki. W moim kraju oznacza to, że mężczyzna i kobieta muszą się pobrać. Często ogłasza się w ten sposób zaręczyny.

— Przecież nie zrobiliśmy nic, co zmuszałoby cię do małżeństwa! Ciągłe jesteś dziewczyną. O ile wiem.

— Z pewnością jestem, ale to nie ma znaczenia. Po prostu przyjmuje się, że jeśli mężczyzna i kobieta spędzili wspólnie noc, to musieli zgrzeszyć, przynajmniej myślą. To znaczy, o ile nie są świętymi; ale gdyby nimi byli, nigdy nie dopuściliby do takiej sytuacji.

— To czemu, do jasnej cholery i wszystkich diabłów, tak bardzo chcesz być grzeczną dziewczynką!? — wrzasnął Stagg. — Jeżeli powiedziało się „b”, można powiedzieć i „a”!

— Tak mnie wychowano. Przecież — dodała, cokolwiek zbyt gładko — nieważne, co myślą ludzie. Ważne jest tylko to, co widzi Matka.

— Czasami jesteś tak świętoszkowata, że mógłbym ukręcić ci łeb! To ja tu cierpię tak, że nawet nie możesz sobie wyobrazić, a ty przez cały czas mogłabyś ulżyć moim cierpieniom nie ponosząc żadnych konsekwencji! A w dodatku miałabyś zabawę, jaka rzadko zdarza się kobiecie!

— Nie ma się o co złościć, Peter. W końcu to inaczej niż w domu, gdzie nim by nas poženili, mogliby nas zabić. Gdybym zgrzeszyła. A prócz tego, nie jesteś przecież normalnym człowiekiem. Masz ten róg. Jesteś kimś szczególnym. Tylko bardzo uczony kapłan zdoła jakoś wyjaśnić wszystkie komplikacje.

Stagg trząśł się z wściekłości.

— Jeszcze nie doszliśmy do Caseylandu! — syknął.

Nadeszło południe, Stagg zjadł więcej, niż powinien. Mary nie powiedziała nic, ale przyglądała mu się uważnie. Ilekroć podchodził bliżej, natychmiast się odsuwała. Przepakowali worki i ruszyli w drogę. Stagg najwyraźniej czuł się lepiej; mięsista część rogu powiększyła się i stwardniała. Oczy mu błysnęły, zaczął podskakiwać co kilka kroków, pokrzykując cicho z ukrywanej radości.

Mary została nieco w tyle. Czując zbliżającą się falę pożądania, Stagg wcale tego nie zauważył. Oddalił się o jakieś dwadzieścia metrów, skręcił po czym nagle znikł w krzakach. Przebiegł kolejne dwadzieścia metrów, zanim rozejrzał się i zorientował, że dziewczyna znikła. Wrzasnął, a następnie pobiegł z powrotem, zapominając o jakiegokolwiek ostrożności i głośno wykrzykując jej imię.

Odnalazł ślad na podeptanych chwastach, doszedł nim do łożyska niewielkiego, niemal wyschniętego strumienia, przeszedł przez wodę i wkroczył w dębowy zagajnik. Tu stracił trop. Przeszedł przez laszek i rozglądając się uważnie wyszedł na wielką łąkę.

Patrzył w mniej więcej dwanaście podniesionych mieczy. Za ostrzami kryły się po-

ważne twarze. Caseylandczycy.

Za wojownikami stała może dwudziestoletnia dziewczyna. Maskotka. Mężczyźni ubrani byli w czerwone skarpety i resztę stroju caseylandzkich baseballistów, z jednym oryginalnym wyjątkiem. Zamiast czapek z długimi daszkami nosili kapelusze przystrojone piórami, przypominające trochę nakrycia głowy dawnych admirałów.

Za nimi stały jelenie dziewiętnaście dla drużyny i rezerwowych zawodników, jeden dla maskotki i cztery juczne, z ekwipunkiem oraz żywnością.

Przywódca Caseyów, zwany zawsze „Potężnym”, był wysokim, smukłym mężczyzną o długiej przystojnej twarzy. Policzek wypychała mu prymka tytoniu. Uśmiechał się radośnie a zarazem dziko.

— I co, rogaczu? Spodziewałeś się miękkiego, okrągłutkiego kobiecego ciała, a wpadłeś na ostry miecz? Czujesz się zawiedziony, potworze? Niepotrzebnie. Wepchniemy cię w objęcia kobiety, tylko że jej ramiona są silne i kościste, piersi obwisłe i pomarszczone, a oddech śmierdzi grobem.

— Nie bądź taki cholernie melodramatyczny, Potężny — warknął jeden z wojowników. — Powieśmy go i już. Przed nami mecz w Poughkeepsie.

Teraz Stagg zrozumiał, z kim ma do czynienia. To nie byli żołnierze, lecz drużyna baseballu, zaproszona na mecz w DeCe. Mają list żelazny gwarantujący im swobodne przejście przez terytorium wrogiego kraju, pod warunkiem, że nie zaatakują jego obywateli.

— Po co od razu wieszac — powiedział Stagg. — Zgodnie z układami nie wolno wam walczyć z DeCeańczykami, chyba że was zaatakują.

— To prawda. Ale tak się złożyło, że nasi szpiedzy donieśli już o tobie. Nie urodziłeś się w DeCe, nie podlegasz jego prawom.

— Więc dlaczego chcesz mnie powiesić? Jeśli nie jestem DeCeańczykiem, nie jestem także waszym wrogiem. Powiedzcie mi, nie widzieliście tu biegnącej dziewczyny? Nazywa się Mary Casey. Ona mogłaby wam powiedzieć, dlaczego zasłużyłem sobie na przyjazne traktowanie.

— Akurat! — zabrał głos zawodnik, który wcześniej wspomniał o wieszaniu. — Jesteś jednym z tych diabelskich Rogaczy. To nam wystarczy.

— Zamknij się, Lonzo! — rozkazał Potężny. — Ja tu jestem kapitanem. — I zwrócił się do Stagga: — Żałuję, że nie ściałem ci głowy nim otworzyłeś usta. Nie mielibyśmy kłopotu. Ale chciałem usłyszeć o tej Mary Casey.

I nagle zapytał:

— Jak brzmiało jej drugie imię?

— Idę-do-Raju.

— Tak, tak nazywała się moja kuzynka. Ale to chyba niczego nie dowodzi. Szła z tobą w Wielkiej Procesji. Mamy dobrych wywiadowców i wiemy, że zniknęliście, kiedy te

chłopaczki zaatakowały Vassar. Czarownice podstawily jednak innego Rogatego Króla i w tajemnicy wysłały oddziały wojowników na poszukiwania.

— Mary musi być gdzieś tu, w tym lesie — tłumaczył Stagg. — Znajdźcie ją; potwierdzi, że pomagałem jej w ucieczce do waszego kraju.

— To dlaczego się rozdzieliliście? — zapytał podejrzliwie Potężny. — Dokąd się tak spieszyłeś?

Stagg milczał. Potężny skinął głową.

— Podejrzałem coś takiego. Wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby wiedzieć, czemu ganiasz za dziewczyną. Coś ci powiem, Rogaty Królu. Mam dla ciebie propozycję. Normalnie przypieklbym cię na wolnym ogniu, a potem wyrwał oczy i wtłoczył ci je do gardła. Ale mamy grać mecz i brakuje nam czasu, ofiaruję ci więc dar szybkiej śmierci. Zwiążcie mu ręce, chłopcy, i powieście.

Zarzucono sznur na gałąź wielkiego dębu i założono pętlę na szyję Stagga. Dwaj mężczyźni trzymali go za ramiona. Trzeci przygotowywał się, by mu je związać. Kapitan nie opierał się, choć z łatwością mógł się oswobodzić. Powiedział tylko:

— Słuchajcie! Wyzygam was na grę, według reguł jeden na pięciu. I wzywam Boga na świadka!

— Co? — zdumiał się Potężny. — Na miłość Columbusa, człowieku, już jesteśmy spóźnieni. A poza tym dlaczego mielibyśmy przyjąć twe wyzwanie? My jesteśmy jejunami, wiesz, a wyzwanie od gównianego łba jest nie do przyjęcia. Jak się nad tym zastanowić, nawet nie do pomyślenia!

— Nie jestem gównianym łbem — odpowiedział

Stagg, używając tego samego terminu na określenie wieśniaka. — Słyszałeś kiedyś by Słonecznego Bohatera wybrano spoza arystokracji?

— Racja — powiedział Potężny i podrapał się w głowę. — Nie ma rady, chłopaki. Uwolnijcie go. Mam nadzieję, że to będzie krótka gra.

Nawet przez chwilę nie przyszło mu do głowy, by zignorować wyzwanie i po prostu powiesić wroga. Miał honor i zasady, i nie myślał ich łamać. Zwłaszcza, że został wyzwany w imię swego bóstwa.

Caseyowie, którzy mieli rozegrać pierwsze pięć pitek, zdjęli admirałskie kapelusze i włożyli normalne czapki z długimi daszkami. Wyjęli sprzęt z toreb umieszczonych na grzbietach jucnych jeleni i zaznaczyli na łące pięciokątny kształt boiska. Ciężkim białym pyłem, sypanym ze skórzanych worków, oznaczyli drogi między bazami i ścieżki od każdej z baz na stanowisko rzucającego. Wokół każdej z baz wyrysowali niewielkie kwadraty; według reguły jeden na pięciu mogło dojść do sytuacji, w której Stagg musiałby wybijać z każdej bazy. Nieco większy kwadrat oznaczył pozycję rzucającego.

— Czy zgodzisz się — zapytał Potężny — by sędziowała nasza maskotka? Przysięgnie na Ojca, Matkę i Syna, że będzie bezstronna. Gdyby złamała przysięgę Bóg porazi



ją piorunem lub, co gorsza, bezpłodnością.

— Nie mam wyboru — powiedział Stagg, bawiąc się wielkim okutym kijem, który mu wręczono. — Jestem gotów. — Pragnienie kobiety opuściło go zupełnie, pożałował teraz tylko krwi przeciwnika.

Maskotka, z twarzą przykrytą żelazną maską i ciałem chronionym przez grube ubranie, zajęła miejsce za chwytającym.

— Gra!

Stagg czekał na rzut Potężnego, który stał w odległości zaledwie trzech metrów i dziewięćdziesięciu centymetrów, trzymając w dłoni skórzaną piłkę z ostrymi stalowymi kolcami. Spojrzał na Stagga, wyprostował się, rzucił...

Jak armatnia kula, piłka poszybowała mierząc wprost w głowę kosmonauty. Leciała tak szybko, że człowiek o normalnym refleksie zapewne nie zdołałby się uchylić. Kapitan jednak lekko ugiął nogi w kolanach i piłka przeszła o centymetry nad jego głową.

— Pierwsza piłka — krzyknęła maskotka jasnym, czystym głosem.

Chwytający nie próbował nawet złapać piłki. W tej grze jego zadaniem było jedynie dośnięcie jej i oddanie rzucającemu. Oczywiście, strzegł także najważniejszej z baz i musiałby próbować łapać piłkę w swą wielką rękawicę, gdyby Stagg próbował skończyć grę.

Potężny Casey rzucił po raz drugi, tym razem mierząc w żołądek. Stagg spróbował wybicia. Usłyszał głuchoe łupnięcie, zupełnie różne od suchego trzasku, którego się podświadomie spodziewał.

Piłka poszybowała w lewo i wytoczyła się za linię boiska, na aut.

— Pierwsze wybicie.

Chwytający odrzucił piłkę. Potężny rzucił nią od razu, jednym płynnym ruchem.

Omalże zaskoczył Stagga, który nie miał nawet czasu na unik i zdołał tylko zasłonić się kijem. Piłka trafiła w kij i utkwiała w nim na moment, zaklinowana kolcem między mosiężnymi okuciami. Stagg pobiegł do pierwszej bazy ściskając w ręku kij; przepisy pozwalały na to, gdy tkwiła w nim piłka. Potężny Casey pobiegł za nim, licząc tylko na to, że piłka wypadnie. Gdyby Stagg dobiegł do pierwszej bazy mając ciągle piłkę, on zostałby rzucającym, a Caseylandczyk — wybijającym.

Piłka odpadła w połowie drogi między bazami.

Stagg przebiegł jeszcze kilka kroków jak jeleń, którego tak bardzo przypominał, skoczył głową naprzód, i na brzuchu wjechał do pierwszej bazy. Wyciągniętym przed siebie kijem trafił basemana w nogę, przewracając go na ziemię.

Poczuł uderzenie w plecy i jęknął z bólu — to kolec piłki wbił mu się głęboko w ciało. Skoczył jednak na równe nogi i wyrwał piłkę, ignorując ciepły strumień krwi, który natychmiast spłynął mu po skórze. Przeżył uderzenie. Teraz, zgodnie z zasadami gry, mógł rzucać albo w Potężnego, albo w pierwszego basemana.

Baseman próbował uciec, ale został na tyle poważnie ranny, że nie mógł nawet iść. Wyrwał więc z pochwy własny kij i stał gotów do odbicia piłki, gdyby Stagg zdecydował się rzucać właśnie w niego.

Rzucił. Pierwszy, z twarzą skrzywioną bólem promieniującym ze zranionej nogi, zamachnął się kijem, zachwiał i padł z piłką tkwiącą w gardle.

Stagg mógł teraz albo zostać bezpiecznie w pierwszej bazie, albo pobiec do drugiej. Wybrał bieg i znów zmuszony był do wykonania rozpaczliwego skoku. Nauczony smutnym doświadczeniem, drugi baseman stanął nieco z boku. Szybkość kapitana była tak wielka, że wyjechał poza bazę; musiał wykonać szybki obrót i sięgnąć ręką do linii.

Piłka klasnęła wpadając w wielką rękawicę drugiego basemana.

Teoretycznie Stagg był bezpieczny, jednak nie mógł się rozluźnić — widział skrzywioną w furii twarz przeciwnika. Wyciągnął kij przed siebie, wstał i czekał, gotów zabić drugiego wroga, gdyby ten zapomniał o regułach gry i rzucił piłkę.

Widząc wyciągnięty kij, drugi upuścił piłkę na trawę. Z palców kapata mu krew. Tak bardzo chciał rzucać i tak mocno ścisnął piłkę, że przebiła nawet grubą ochronną rękawicę.

Zarządzono czas, potrzebny by odmówić krótkie modlitwy nad przykrytym kocem ciałem pierwszej ofiary. Stagg poprosił o jedzenie i wodę; czuł, że lada chwila może zemdleć z głodu. Miał prawo do tej prośby.

Jadł i właśnie kończył, gdy maskotka krzyknęła:

— Piłka!

Stagg stał w wąskim kwadracie otaczającym pole drugiej bazy i szykował się do serii wybić. Potężny rzucił, kapitan wybił prawie na linię autową i zaczął bieg, ale gracz, który zastąpił zabitego, złapał piłkę, gdy tylko upadła i wbiła się w ziemię. Stagg zatrzymał się na ułamek sekundy nie wiedząc, czy biec do trzeciej bazy, czy wracać do drugiej.

Pierwszy rzutem od dołu podał piłkę Potężnemu, który stał już w rozkroku blisko linii łączącej drugą i trzecią bazę, niemal na drodze Stagga, który w przypadku kontynuowania biegu musiałby odwrócić się do niego plecami. Odwrócił się więc, by wrócić do drugiej bazy, ale poślizgnął się w trawie i upadł.

Przez jedną straszną sekundę był pewien, że to już koniec. Potężny stał bardzo blisko i właśnie brał zamach, by wykończyć swego bezradnego przeciwnika. Ale Stagg ciągle jeszcze miał w ręku kij i, zdesperowany, próbował się nim zasłonić. Piłka uderzyła w kij nieco z boku, wytrąciła mu go z ręki i upadła, kilkadziesiąt centymetrów dalej.

Kapitan ryknął tryumfalnie, skoczył na równe nogi, złapał kij i zaczął nim machać ostrzegawczo. Piłka nie trafiła w niego, więc nie mógł jej podnieść i rzucać nią w przeciwnika, nie mógł także zejść z wyznaczonej linii by zagrozić temu, kto chciałby ją zdobyć. A jednak, jeżeli piłka leżała tak, że dotykając linii między bazami mógł uderzyć tego, kto zdecydowałby się na jej podniesienie, wolno mu było to zrobić.

Ciszę przerwał dziewczęcy głos maskotki. Rozpoczęło się liczenie. Caseylandczycy mieli dziesięć sekund na podjęcie decyzji czy walczyć o piłkę, czy pozwolić przeciwnikowi na bezpieczne osiągnięcie trzeciej bazy.

— Dziesięć! — krzyknęła maskotka i Potężny odwrócił się plecami od drżącego w oczekiwaniu kija.

Kolejna seria rzutów. Pierwszy — Stagg chybił. Potężny uśmiechnął się i rzucił celując w głowę. Stagg znów nie trafił w piłkę, ale piłka także nie trafiła w niego.

Potężny uśmiechnął się drapieźnie. Teraz, gdyby Stagg wybił, musiałby odrzucić kij i czekać nieruchomo na śmiertelny cios. Z drugiej jednak strony, gdyby zakończył rundę, zostałby rzucającym. Ciągle byłby w gorszej sytuacji, pozbawiony pomocy zespołu, ale jego siła i szybkość czyniły z niego zespół jednoosobowy.

Zapadła cisza, przerywana jedynie szeptem modlitw Caseylandczyków. Potężny odchylił się do tyłu, zamachnął... i piłka poszybowała celując wprost w żołądek Stagga. Mógł ją tylko odbić w dół lub wykonać unik — gdyby jednak upadł lub wykroczył z zaznaczonego na ziemi kwadratu, zaliczono by mu wybicie.

Zdecydował się na unik. Piłka przeleciała tak blisko, że drasnęła go jednym z wirujących ostrzy. Z boku pociekł mu niewielki strumyk krwi.

— Pierwsza piłka!

Potężny znów celował w żołądek. Staggowi wydawało się, że piłka rośnie w locie, brzemienna w obietnicę zagłady, wielka jak planeta, na którą spada, by zginąć.

Uderzył mocno, kij zatoczył szybki, równoległy do płaszczyzny boiska łuk i trafił w piłkę samym końcem. Zadrzał w dłoni wybijającego i pękł, a odbita piłka poleciała wprost w twarz rzucającego Caseylandczyka zaskakując go kompletnie. Potężny nie mógł uwierzyć, by tak ciężki przedmiot mógł w podobnym tempie pokonać odległość. Widząc, że Stagg kończy rundę, podbiegł jednak, złapał piłkę i odwracając się spostrzegł, że pozostali gracze, wyrwani już ze zdumionego bezruchu, rozpoczynają łowy.

Między pędzącym Staggiem a ostatnią bazą stanęło dwóch graczy i obaj sygnalizowali błagalnie, by rzucić im piłkę. Potężny pragnął jednak wykończyć wroga sam.

Stagg rozpaczliwie zamachnął się drewnianą rączką kija, pozbawionego przez poprzednie uderzenie wzmocnionej mosiądzem górnej części. Piłka nie odbiła się, lecz po uderzeniu spadła na ziemię u jego stóp.

Jeden z Caseyów rzucił się po nią szczupakiem.

Stagg zamachnął się kijem miażdżąc czapkę i ukrytą pod nią czaszkę przeciwnika.

Pozostali gracze stanęli jak wrośnięci w ziemię.

Maskotka przykryła maskę dłońmi, nie chcąc patrzeć na trupa, ale zaraz opuściła je i spojrzała błagalnie na Potężnego. Potężny wahał się przez chwilę, jakby miał zamiar nakazać graczom, by zaatakowali przeciwnika i niech diabli biorą reguły gry.

Widocznie zmienił zamiar. Wziął głęboki wdech i powiedział:

— W porządku, Katie, zacznij liczyć. Jesteśmy jejunami. Nie oszukujemy.

— Jeden — powiedziała drżącym głosem maskotka.

Gracze spojrzeli w milczeniu na swego dowódcę. Uśmiechnął się do nich w odpowiedzi.

— Dobra, chłopcy. Ustawcie się za mną. Idę pierwszy. Nie poproszę was o nic, czego nie zrobiłbym sam.

— Przecież możemy mu pozwolić na zakończenie rundy — powiedział jeden z graczy.

— Co? — wrzasnął Potężny. — Ten śmierdziel, ten kurołap, ten parszywy bałwochwalczy DeCeańczyk tylko by się z nas śmiał. Nie! Jeśli musimy umrzeć, a przecież kiedyś wszyscy umrzemy, to przynajmniej zgińmy jak mężczyźni.

— Pięć! — krzyknęła maskotka głosem, w którym brzmiał ból jej pękającego serca.

— Nie mamy szansy — jęknął jeden z Caseyów. — On jest dwukrotnie szybszy od każdego z nas. Pójdziemy na rzeź jak barany.

— Nie porównuj mnie z baranem — ryknął Potężny. — Jestem Caseyem! Nie boję się śmierci! Pójdę do nieba, a wy będziecie się smażyć w piekle!

— Siedem!

— No, panowie! — ryknął Stagg machając złamanym kijem. Który odważny? Próbuje szczęścia!

— Osiem!

Potężny przyczał się do skoku, poruszając ustami w cichej modlitwie.

— Dziewięć!

— DOŚĆ!

## Rozdział szesnasty

Mary Casey wybiegła z lasu, wyciągając przed siebie ręce w geście sprzeciwu. Zarzuciła je na szyję Potężnego i całowała go, chlapiąc i powtarzając:

— Och, kuzynie, kuzynie... myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę.

— Dzięki Matce, jesteś cała i zdrowa. Więc rogaty nie kłamał, co? — odsunął Mary na odległość wyciągniętego ramienia i przyjrzał się jej uważnie. — A może jednak kłamał?

— Nie, nie, nie! Nawet mnie nie tknął. Cały czas zachowywał się jak prawdziwy jejun. On nie jest wyznawcą Columbii. Klnie na Boga i Syna. Sama słyszałam, i to nie raz! Przecież wiecie, że tego nie zrobiłby żaden DeCeańczyk.

— Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałem. Dwóch dobrych ludzi umarło bez sensu — powiedział Potężny i odwrócił się do Stagga. — Jeśli to, co usłyszałem, jest prawdą, przyjacielu, to nie ma sensu grać dalej. Chyba, że będziesz nalegał.

Stagg odrzucił ułamek kija, który ciągle ścisnął w garści.

— Przecież i tak chciałem iść do Caseylandu i żyć między wami aż do śmierci...

— Nie ma czasu na gadanie — przerwała im Mary. — Musimy się stąd wynosić, i to szybko. Weszłam na drzewo, żeby się lepiej przyjrzeć i widziałam stado psów piekiel i jadących za nimi ludzi na jeleniach. I świnie śmierci!

Caseyowie pobledli.

— Świnie śmierci — powtórzył Potężny. — Najeżdża Alba. Co ona tu robi?

Mary wskazała na Stagga.

— Muszą wiedzieć, że jest gdzieś tutaj. Złapały jego trop. Najeżdżały zbyt szybko jak na zwykłe poszukiwania.

— Cholerny problem — stwierdził Potężny. — Nie sądzę, żeby coś złego miało się nam stać, mamy w końcu list żelazny, chociaż nie możemy być pewni niczego aż do końca — Alba jest ponad traktatami.

— Tak — powiedziała Mary. — Warn nic nie grozi, ale co z Peterem i ze mną? Nas nie obejmują żadne gwarancje.

— Mógłbym dać wam dwa jelenie. Moglibyście próbować ucieczki do rzeki Housatonic; gdybyście ją przekroczyli, byłibyście bezpieczni. Jest tam fort, ale... Alba ciągle może was doścignąć.

Przerwał i przez chwilę myślał głęboko, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

— Chyba nie mamy wyboru — powiedział w końcu. — Honor nie pozwala, by dwójka wiernych wpadła w sidła przewrotnej Alby. Zwłaszcza, że jesteś moją kuzynką. Co robimy, chłopcy! — krzyknął do zawodników. — Czy odrzucamy przywilej listu i walczymy w obronie naszych, czy też skryjemy się w lasach jak kurczaki uciekające przed jastrzębiem?

— Żyjemy jak Caseye i umieramy jak Caseye! — krzyknęli jednym głosem gracze.

— W porządku, będziemy walczyć. Ale zaczniemy od ucieczki. Niech popracują, nim popłynie krew!

W tej samej chwili usłyszeli szczekanie psów.

— Ruszamy!

Mary i Stagg zrzucili pakunki z grzbietów ofiarowanych im jeleni, wskoczyli na nie i zebrali wodze.

— Kobiety przodem! — krzyknął Stagg. — My was osłonimy!

Mary spojrzała na niego z rozpaczą.

— Jeśli zostaniesz, będę z tobą!

— Nie ma czasu na kłótnie — przynaglił ich Potężny. — Pojedziemy razem.

Pogalopowali nierówną krętą ścieżką. Słyszeli, że psy również przyspieszyły, chwytając świeży trop ludzi i jeleni. Szczekały teraz głośniejsze i z mniejszej odległości. Uciekający ledwie zdążyli opuścić polankę, gdy wpadły na nią pierwsze zwierzęta. Oglądając się za siebie Stagg zauważył jedno z nich — wielką bestię przypominającą skrzyżowanie charta i wilka, o białym futrze i ciemnych wilczych uszach. Za przodownikiem biegła sfera dwudziestu mu podobnych.

A potem nie miał już czasu na odwracanie się. Musiał kierować jeleniem; tak przerażonym, że nie trzeba było przynaglać go do biegu. Pod huczącymi o ziemię podkownikami przeleciało około pół kilometra, gdy kapitan zdecydował się zaryzykować ponownie. Zobaczył oddział dwudziestu jeźdźców na jeleniach. Na ich czele, na grzbiecie białego byka z pomalowanymi na czerwono rogami, cwałowała stara kobieta, mająca, jako jedyny strój, stożkowaty kapelusz na głowie i żywego węża na ramionach. Długie siwe włosy powiewały za nią na wietrze, obwisłe wyschnięte piersi podskakiwały w pędzie; obraz ten mógł przerazić każdego mężczyznę. Obok kopyt wierzchowców biegło stado świń: wysokich, długonogich, najwyraźniej bardzo szybkich. Były czarne, a ich długie kły pomalowano na czerwono. Kwiczały w galopie ohydnie i donośnie.

Zaledwie Stagg zdołał odwrócić głowę, gdy usłyszał najpierw odgłos ciężkiego upadku, a później pełen bólu krzyk. Spojrzał przed siebie. Na ziemi leżały dwa jelenie, a obok

nich ich jeźdźcy. Zdarzyło się najgorsze. Wierzchowiec maskotki obsunął się w dziurę w ziemi i przewrócił, a jadącej za nią Mary nie starczyło czasu na ominięcie przeszkody.

Stagg ściągnął wodze i zeskoczył ze swego jelenia.

— W porządku? — krzyknął do Mary.

— Trochę mną wstrząsnęło — wydyszała dziewczyna — ale jeleni Katie złamał chyba nogę, a mój uciekł do lasu.

— Wskakuj! Któryś z nich zabierze Katie.

Potężny powstał znad ciała maskotki.

— Nie może poruszać nogami. Chyba złamała kręgosłup.

Katie musiała go usłyszeć.

— Niech mnie ktoś zabije! Nie chcę popełnić grzechu samobójstwa. Zabijcie mnie, dla was to nie grzech. Nawet Matka nie chciałaby, żebym wpadła w ręce Alby.

— Nikt cię nie zabije, Katie — uspokoił ją Potężny. — Przynajmniej póki żyjemy.

Warknął rozkaz i reszta Caseyów zeskoczyła z siodeł.

— Ustawcie się w dwa rzędy. Najpierw zaatakują nas psy; użyjcie mieczy. Później pój-  
dą świnie albo jeźdźcy. Walczcie włóczniami.

Zaledwie zdołali sformować szereg przed dwoma kobietami, gdy dopadły ich psy piekiel — potężne, tresowane nie tylko do pościgu, lecz także do walki, bestie, które charcząc wściekle rzuciły się im do gardeł. Mimo początkowego zamieszania, mimo hałasu, warczenia psów, krzyków i jęków, potyczka trwała krótko, zaledwie dwie minuty. Po jej zakończeniu zostały przy życiu tylko cztery śmiertelnie ranne zwierzęta, które odpełzły do lasu, by tam zdechnąć. Reszta, bez łap, łbów, pocięta na kawałki, leżała u stóp obrońców. Straty własne były niewielkie, tylko jeden z Caseyów leżał na plecach z szeroko otwartymi, wpatrzonymi w niebo oczami i rozdartym gardłem. Pięciu innych było poważnie pogryzionych, jednak każdy z nich mógł jeszcze walczyć.

— A oto następni! — krzyknął Potężny. — Zewrzeć szyki i przygotować się do walki na włócznie!

Zza drzew wyjechali DeCeańczycy. Białowłosa wiedźma wysunęła się nieco przed swój orszak i krzyknęła przenikliwym głosem:

— Mężczyźni z Caseylandu! Nie ścigamy was. Oddajcie nam Rogatego Króla i będziecie wolni. Zatrzymajcie dziewczynę, która była naszym jeńcem. Jeśli odmówicie, uwolnię świnie śmierci i zginiecie wszyscy!

— Pieprz się, starucho! — odkrzyknął jej Potężny. — Zrób to sama, bo nikt inny nie tknie takiej śmierdzącej kozy jak ty!

Alba skrzeknęła z wściekłości. Odwróciła się do swych kapłanów i kapłanek, dając im sygnał do uwolnienia prowadzonych na smyczach zwierząt.

— Używajcie włóczni jak na polowaniu — krzyknął Potężny. — Polowaliście na dzi-

ki od dziecka; od czasu, kiedy wasze ręce mogły udźwignąć włócznie. Nie dajcie się przestraszyć! Ty walcz mieczem — powiedział szybko do Stagga. — Obserwowałem cię, jak walczyłeś z psami. Jesteś wystarczająco szybki, by użyć miecza nawet przeciw dzi-  
kom... uwaga, spokojnie... atakują!

Potężny wbił włócznie w grzbiet wielkiego odyńca, który zwałił się na ziemię. Zza jego ciała zaszarżowała równie wielka locha. Stagg przeskoczył przez martwe zwierzę i uderzył mieczem z siłą wystarczającą, by przeciąć jej kręgosłup tuż za łbem. Takim samym ciosem zabił drugą, która przewróciła jednego z Caseyów i właśnie rozrywała mu nogę.

Usłyszał krzyk Mary i dostrzegł, że dziewczyna kurczowo ściska dzidę wbity w bok wielkiego dzika, który, raniony lekko, z wściekłością szykował się do ataku. Trzymając się kurczowo broni, Mary zataczała koła, a w środku obracało się rozzłoszczone zwierzę.

Stagg skoczył z krzykiem, lądując obiema nogami na grzbiecie bestii, która przewróciła się pod jego ciężarem, zerwała błyskawicznie i zaatakowała. Leżący na ziemi kapitan pchnął mieczem w otwarty pysk bestii, rozrywając jej gardło.

Zerwał się na równe nogi, jednym rzutem oka upewnił że Mary, choć przerażona, jest jednak cała i zdrowa, i pobiegł na pomoc Katie. Casey, wyznaczony do jej obrony, leżał na ziemi krzycząc z bólu. Połamane żebra przebiły skórę na piersi, dzik właśnie szarpał mu kłami nogę. Mimo swej niezwyklej szybkości Stagg nie zdołał jednak pomóc maskotce. Nim odrąbał jedną z tylnych nóg dzika, przerywając tętnicę, dziewczyna nie żyła.

Rozejrzał się, oceniając sytuację.

Była niewątpliwie zła. Z szesnastu Caseyów, ocalałych po ataku psów, żyło tylko dziesięciu, z czego zaledwie pięciu mogło się utrzymać na nogach.

Wspólnie zdołali uporać się jeszcze z trzema świniami. Ocalałe cztery, z dwudziestu atakujących, z kwikiem uciekły do lasu.

Potężny dyszał ciężko.

— Teraz zaatakuj Alba. Jesteśmy skończeni. Ale chcę ci powiedzieć, Stagg, że o tej walce długo śpiewać będą pieśni w Caseylandzie!

— Nie dam im Mary! wrzasnął kapitan. Oczy miał dzikie, twarz pozbawioną ludzkich uczuć. Oszalał, lecz teraz z żądzы krwi, a nie kobiety.

Odwrócił się w stronę DeCeańczyków, ustawiających się w rzędach po pięciu, gotowych do szarży. Długie włócznie błyszczały w słońcu.

— Alba! — ryknął i rzucił się na jeźdźców.

Starucha zrazu nie zauważyła go, ale ostrzeżona przez świtę, zwróciła ku niemu swe go białego wierzchowca.

— Zabiję cię, wściekła stara suko! — ryczał Stagg wymachując mieczem nad głową.



— Wszystkich was pozabijam!

Nagle stała się rzecz dziwna.

Kapłani i kapłanki, uczeni od dziecka, że Słoneczny Bohater jest półbogiem, znaleźli się teraz w niezwyklej i nienormalnej sytuacji. Prowadziła ich niezwycięzona w założeniu Bogini Śmierci... i rozkazywała zabić człowieka, który według wszystkich dogmatów ich religii również był niezwycięzony! Każdy mit związany z osobą Słonecznego Bohatera podkreślał jego nieuchronny tryumf nad przeciwnikami, w jednym z nich był to nawet tryumf nad samą Śmiercią! Co więcej, orszak na własne oczy widział rzeź psów piekieł i świń śmierci — zwierząt poświęconych Albie. Na własne oczy ludzie ci widzieli niezwyklej szybkość i wspaniałą szermierkę Stagga. Gdy więc Bogini Śmierci rozkazała im przygotować włócznię i zaatakować Rogatego Króla, zawahali się. Zaledwie na kilka sekund, ale to wystarczyło, by Stagga zaatakował samą Albę.

Miecz spadł na jej włócznię i błyszczący w słońcu metalowy grot upadł na ziemię. Jeleń Alby stanął dęba, Słoneczny Bohater przewrócił się.

Starucha zeskoczyła na ziemię zwinnie jak kot. Przez chwilę miała jeszcze szansę uciec do swoich; jej wierzchowiec osłaniał ją przed Staggiem.

Kapitan uderzył go i zwierzę uciekło.

A on stanął twarzą w twarz ze Śmiercią i przez chwilę patrzył w jej blade, niebieskie oczy. Widział starą, pochyloną wiekiem kobietę; wiekową, zasuszoną wiedźmę, tak starą, że wyglądała jakby miała dwieście lat, ciemnoskórą, pomarszczoną, wymiętą. Długie białe włosy wyrastały jej z brody, przykrywały puchem górną wargę. Kamienny wzrok świadczył o tym, że oczy te widziały tysiące umierających mężczyzn, że zobaczą ich jeszcze tysiące. Stanął twarzą w twarz z samą śmiercią.

Stagg poczuł chłód wiejący od tego posągu zniszczenia. Wijący się na jej szyi żywy grzechotnik dodawał grozy temu obrazowi.

Lecz nagle kosmonauta oprzytomniał. Przypomniawszy sobie, że ma przecież do czynienia z człowiekiem.

Podniósł miecz.

I nie opuścił go.

Bowiem ból wykrzywił nagle twarz Alby, jej dłoń podniosła się do piersi i Śmierć padła, zabita przez atak serca. Jej świtę ogarnęła panika, a Stagga to wykorzystał. Skoczył pomiędzy jeźdźców uderzając na prawo i lewo. Walczył jak szalony nie czując bólu z ran zadawanych mu włóczniami i mieczami. Zabijał ludzi i jelenie, które cofały się, stawały dęba, i zrzucały z grzbietów jeźdźców, mordowanych nim zdążyli się podnieść.

Przez chwilę wydawało się, że sam jeden może pokonać ich wszystkich. Zabił co najmniej sześciu jeźdźców, zwałił i unieszkodliwił czterech innych, gdy nagle postać, trzymająca się dotąd z tyłu, wjechała w wir bitwy kierując się wprost na niego. Dostrzegł ją dopiero wtedy, gdy prawie weń uderzyła.

Spojrzał w górę i zobaczył piękną twarz Dziewicy, byłej Wielkiej Kapłanki Waszyngtonu, dziewczyny o długich włosach koloru miodu, delikatnym choć jastrzębim nosie, czerwonych jak krew ustach i sterczących piersiach, które okrywała teraz, bowiem była w ciąży i nosiła w sobie jego dziecko. Miało się urodzić już za cztery miesiące, a mimo to ciągle jeździła wierzchem.

Stagg podniósł miecz do uderzenia.

A rozpoznawszy kapłankę zrozumiał, że nosi w sobie jego dziecko i zamarł.

Wystarczyła ta jedna chwila. Piękna twarz pozostała zimna i nieruchoma, gdy Dziewica swą lekką, ostrą jak brzytwa szablą cięła w jedyny róg wyrastający z głowy Słonecznego Bohatera.

Dla Stagga wszystko się skończyło.

## Rozdział siedemnasty

Plan wymagał długich, dokładnych, trwających miesiącami przygotowań.

Najpierw do Waszyngtonu przeniknęli szpiedzy, przebrani za obywateli DeCe różnych warstw. Szukali wszelkich dostępnych źródeł informacji o statku kosmicznym Terra i jego wyposażeniu. Używali wszystkich dostępnych im środków, by zdobyć informacje o Słonecznym Bohaterze. W trakcie akcji dowiedzieli się, że doktor Calthorp powrócił do Waszyngtonu. Skontaktowano się z nim natychmiast i w kilka dni później wywieziono go łodzią przez Potomac do zatoki Chesapeake i dalej, na ocean, gdzie odnalazł go bez problemu kareliański kecz i przetransportował do Aino. Calthorp wpadł w objęcia przyjaciół, a radość tego spotkania zaćmiły tylko nowiny o śmierci Sarvanta i Gbwehuna oraz brak wieści o Staggu.

Gdy Churchill wyjaśnił mu zasady swej umowy z Karelianami, antropolog roześmiał się i powiedział, że to może się akurat udać, a jeśli się nie uda, to i tak warto spróbować. Okazało się, że on sam jest najlepszym źródłem informacji o statku. Wiedział dokładnie, co w nim znajdują i gdzie szukać reszty ekwipunku.

Wreszcie byli gotowi.

Opuścili Aino wraz z kapitanem Kirsti Ainundila. Na każdego z kosmonautów przypadało trzech Karelian, gotowych użyć mieczy przy każdym podejrzanym ruchu. Płynęli szybką brygantyną wysuniętą przed front wielkiej floty. Załogę zebrano z kolonii; tych, które leżały na południe od DeCe i tych, które nosiły kiedyś nazwy Nowa Szkocja i Labrador. Brygantyna wpłynęła bezczelnie do zatoki Chesapeake i u ujścia Potomacu wysadziła desant. Zamaskowana jako deceański kuter, łódź dopłynęła nocą do Waszyngtonu i przycumowała do jednego z nabrzeży. O północy uczestnicy desantu zaatakowali budynek, w którym ukryto broń z Terry. Strażnicy padli z poderżniętymi gardłami, wyłamano drzwi prowadzące do zbrojowni i zdobytą szybkostrzelną broń rozdano Karelianom, którzy wprawdzie nigdy jeszcze nie trzymali w dłoniach niczego podobnego, ale dużo ćwiczyli w Aino na sporządzonych przez Churchilla makietach. Porucznik uzbroił także kosmonautów w granaty z własnym napędem. Bez zbędnej zwło-

ki zaatakowano stadion baseballowy — obecnie świątynię Słonecznego Bohatera, na terenie której stała Terra wznosząc swój smukły dziób ku gwiazdom, z których powróciła.

Wartownicy próbowali walki, która szybko zmieniła się w rzeź. Automatyczne karabiny skosiły trzydziestu łuczników, następnych czterdziestu ciężko raniąc. Napastnicy, wśród których nikt nie był nawet ranny, wysadzili bramę.

Terrę zaprojektowano tak, by mógł ją prowadzić jeden człowiek. Churchill usiadł w fotelu pilota, mając za plecami Kirstiego i dwóch jego ludzi, czekających z nożami w rękach.

— Teraz zobaczcie, do czego zdolny jest ten statek — powiedział Churchill. — Może zgnieść Waszyngton samym swym ciężarem. Wasza flota bez kłopotu zdobędzie miasto, a później możemy polecieć do Camden, Baltimore i Nowego Jorku, i zrobić tam to samo. Gdybyśmy z niego nie wyszli, nigdy by nas nie ujęto, ale DeCeańczycy zagadali nas i daliśmy się oszukać, kiedy zrobili Stagga swym królem.

Sprawdził wskaźniki, dotknął dźwigni — wszystko działało prawidłowo. Zamknął główny luk i stwierdził głośno:

— No, czas przejść do akcji — co było uzgodnionym wcześniej sygnałem. Kosmonauci wstrzymali oddech. Churchill wcisnął jeden z przełączników i w minutę później Karelianie leżeli już bez ruchu na podłodze. Porucznik wcisnął inny przycisk i powietrze wydmuchało ze statku usypiający gaz. Tym sposobem w analogicznej sytuacji pozbyli się na Vixie awiantropów.

— Wsadzimy ich do zamrażarek? — zapytał Steinborg.

— Na razie tak — odparł Churchill. — Później gdzieś ich wyrzucimy. Na Vedze II mogliby nas pozabijać.

Chwycił ster, ściągnął dźwignię i antygravitacja bez kłopotów uniosła w powietrze pięćdziesiąt tysięcy ton masy statku.

— Z powodu oporu powietrza do Aino dolecimy dopiero za kwadrans — powiedział. — Zabierzemy stamtąd nasze żony i... hajda na Poughkeepsie! Mówił o Robin i kareliańskich żonach Yastzhembskiego i Al-Masyuni.

— Tego się z pewnością nie spodziewają. Co im powiemy, kiedy znajdą się już na pokładzie?

— Uśpimy gazem i wsadzimy do zamrażarek — odparł Churchill. — Wiem, że to nie fair, ale nie mamy czasu na kłótnie.

— Wolę nie myśleć o tym, co usłyszymy, kiedy się ockną na Vedze!

— Nie będą miały wyboru — Churchill wzruszył ramionami, starannie ukrywając własny lęk przed ostrym językiem Robin.

Na razie jednak wszystko układało się zgodnie z planem. Robin i dwie Karelianki bez przeszkód weszły na pokład i Terra wystartowała. Karelianie odkryli podstęp po-

niewczynie i pozostali na ziemi, miotając bezsilne obelgi, których kosmonauci nie byli w stanie usłyszeć. Znowu użyto gazu i kobiety znalazły się w hibernatorach.

W czasie lotu do Poughkeepsie Churchill powiedział Calthorpowi:

— Zgodnie z informacjami szpiegów, kilka dni temu widziano Stagga w wiosce na wschodnim brzegu Hudsonu. A więc zwiął Pantelfianom. Nie wiemy, gdzie jest teraz.

— Musi iść do Caseylandu — stwierdził Calthorp. — Z deszczu pod rynnę! Nie rozumiem tylko, skąd wziął tyle sił, by nie wrócić do Procesji. Opanowało go przecież coś, czemu nie oprze się żaden mężczyzna!

— Wylądujemy między Poughkeepsie i Vassar. Mają tam duży dom dziecka dla sierot, których jeszcze nie adoptowano, rządzony przez kapłanki. Zabierzemy dzieciaki i złożymy je w hibernatorach. — Kapłankę poddany hipnozie i może dowiemy się czegoś o Staggu.

Tej nocy nadlecieli nad sierociniec. Statek ustawił się lekko pod dość silny wiatr i wypuścił gaz usypiający.

Umieszczenie w hibernatorach sześćdziesięciu dzieciaków zabrało im godzinę. Przesłuchali zarządzającą domem, około pięćdziesięcioletnią kapłankę, nawet nie próbując jej o niczym przekonać. Użyli narkotyku i w ciągu kilku minut dowiedzieli się o Albie, która zeszłej nocy wyruszyła z Poughkeepsie po tropie Stagga. Już po wszystkim złożyli kapłankę w jej własnym łóżku.

— Od rana — powiedział Churchill — będziemy krążyć nad okolicą i szukać. Być może moglibyśmy użyć czarnego światła, ale trudno odnaleźć w ten sposób ludzi kryjących się pod drzewami.

Wczesnym rankiem Terra wystartowała z małej dolinki, w której schroniła się na noc i poleciała ku wschodowi na wysokości trzydziestu metrów. Po osiągnięciu rzeki Hausatonic skierowała się prosto na zachód. Churchill wyliczył, że Stagg nie mógł jej jeszcze przekroczyć i kryje się gdzieś na pustkowiu. Lądowali co parę kilometrów, próbując zasięgnąć języka, tracili jednak na próżno czas, jak wtedy, gdy przez kilka godzin gonili kobietę i mężczyznę, kryjących się w krętych korytarzach opuszczonej kopalni. Ta para także nie wiedziała nic o kapitanie.

Znowu dolecieli do Hudsonu i skierowali się na północ, a później po raz kolejny na wschód.

— Jeśli Stagg dostrzeże Terrę, wyjdzie z ukrycia — powiedział Calthorp.

Mniej więcej pięć kilometrów przed Hausatonic dostrzegli kilku jeźdźców, jadących powoli ścieżką wśród drzew. Zniżyli się, i widząc kogoś wlokącego się piechotą za grupą, zdecydowali się zasięgnąć języka.

W ten sposób spotkali Dziewicę, niegdyś Wielką Kapłankę Waszyngtonu. W zaawansowanej ciąży, zmęczona, niezdolna już do jazdy wierzchem, szła wolno prowadząc swego wierzchowca. Na ich widok próbowała jeszcze uciekać do lasu i musieli najpierw

uśpić ją ze statku, a później obudzić zastrzykiem antidotum. Mówiła bez oporów.

— Tak, wiem gdzie jest ten wasz tak zwany Słoneczny Bohater — powiedziała mściwie. — Leży na ścieżce jakieś dwa i pół kilometra stąd. Nie musicie się spieszyć, poczeka na was. Jest martwy.

— Martwy — westchnął Churchill. Tak blisko, pomyślał, spóźniliśmy się o pół godziny.

— Tak, martwy — Dziewica wypluła z siebie te słowa. — Zabiłam go. Obcięłam mu drugi róg i wykrwawił się na śmierć. Jestem szczęśliwa. Nie był prawdziwym Słonecznym Bohaterem. Był zdrajcą, bluźniercą, i zabił Albę. — Spojrzała błagalnie na Churchilla. — Daj mi nóż, chcę się zabić. Kiedyś byłam dumna, że noszę w sobie dziecko Rogatego Króla, ale teraz nie chcę urodzić bękarta fałszywego boga i nie chcę umierać ze wstydu, że noszę go w swym łonie.

— To znaczy, że jeśli cię puścimy, zabijesz siebie i dziecko? — zapytał w zdumieniu porucznik.

— Tak! Przysięgam na święte imię Columbii! Churchill skinął głową na Calthorpa, który przycisnął strzykawkę do ramienia dziewczyny, uśpił ją i zaniósł do hibernatora.

— Nie mogliśmy dopuścić, by zabiła dziecko Stagga — powiedział w chwilę później. — Jeśli on zginął, ono przynajmniej będzie żyło.

— Na twoim miejscu nie martwiłbym się, że Stagga umrze bezpotomnie — stwierdził Churchill nie tłumacząc wprawdzie, o co mu właściwie chodzi, lecz myśląc o uśpionej Robin, która za pięćdziesiąt lat urodzi Staggowi synka. No, cóż — na to się nic nie poradzi. Lepiej przestać myśleć. Teraz ważny był sam kapitan.

Wystartowali i pomknęli na wschód. Widzieli przed sobą ścieżkę — brązową nitkę obramowaną zielenią. Okrążała pagórek, i drugi... i trzeci...

W końcu dostrzegli pole bitwy, ciała psów, jeleni i świń. Kilka ludzkich trupów. A przecież mówiono im o rzezi!

Statek osiadł na ścieżce, gniotąc drzewa po jej obu stronach. Uzbrojeni w karabiny kosmonauci wyskoczyli na ziemię, rozglądając się dookoła. W fotelu pilota pozostał Steinborg.

— Myślę — powiedział Churchill — że martwych Caseylandczyków odciągnięto w las, by ich tam pochować. Te trupy mają deceańskie ubrania.

— Może teraz chowają Stagga? — zastanowił się Calthorp.

— Mam nadzieję, że nie — Churchill był smutny, bowiem zginął jego kapitan, który dowodził załogą wśród wielu niebezpieczeństw. Wiedział jednak także, że ma powody, by nie tragizować i nie rozpaczać. Gdyby Stagga żył, jakież komplikacje powstałyby na Vedze! Musiałby przecież czuć coś więcej niż sympatię do dziecka Robin, ilekroć zaś on sam spróbowałby je popieścić lub skarcić, byłby zawsze blisko, gotów wtrącić swoje trzy grosze. A on, Churchill, zastanawiałby się bez przerwy, czy Robin nadal traktuje

Stagga jak nadczłowieka.

I co by było, gdyby upierała się przy swej religii?

Załoga rozdzieliła się, szukając miejsca pochówku. Wkrótce usłyszeli gwizd, niesłyszalny dla nikogo z powodu jego wysokości i docierający do nich dzięki noszonym w uchu odbiorniku, który transmitował go na niższe częstotliwości, a jednocześnie nie upośledzał słuchu.

Podeszli cicho i ukradkiem zgromadzili się za Al-Masyunim, który dał sygnał. Po-  
przez drzewa dostrzegli najgorsze: dziewczyna i czterej mężczyźni wyglądali kopiec,  
będący niewątpliwie zbiorowym grobem.

Churchill wyszedł spomiędzy drzew i zwrócił się do nich:

— Nie bójcie się. Jesteśmy przyjaciółmi Stagga. Caseyowie sprawiali wrażenie zasko-  
czonych, uwierzyli jednak ponownym zapewnieniom porucznika, choć nie wypuścili  
broni z rąk. Kosmonauci podeszli do nich i wyjaśnili, kim są i dlaczego przylecieli.

Dziewczyna miała spuchnięte oczy i ślady łez na policzkach. Słyszając, że pytają o Stag-  
ga, znowu zaczęła płakać.

— Nie żyje — szlochała. — Gdybyście tylko byli tu wcześniej...

— Kiedy umarł?

Jeden z Caseyów spojrzał na słońce.

— Z pół godziny temu. Długo krwawił i nie poddał się bez walki.

— Dobra, Steinborg — powiedział Churchill przez krótkofalówkę. — Przylatuj tu  
i wyślij parę ruchomych łopat. Musimy jak najszybciej wykopać Stagga. Calthorp, jakie  
mamy szansę?

— Na zmartwychwstanie? Duże. Że mózg nie został uszkodzony? Żadne. Ale może-  
my odbudować zniszczoną tkankę i zobaczyć, jakie będą tego efekty.

Nie mówili Caseyom prawdy o tym, dlaczego ekshumują zwłoki kapitana. Zorien-  
towali się już, co czuje Mary i nie chcieli rozbudzać w niej zbyt wielkich nadziei, które  
mogły się okazać fałszywe. Powiedzieli jej więc, że zabiorą go do gwiazd, gdzie zostanie  
pochowany zgodnie ze swym życzeniem.

Pozostałe ciała były zbyt poranione i śmierć nastąpiła zbyt dawno, by próbować je  
wskrzesić.

Już na statku Calthorp, posługując się delikatnym roboto-chirurgiem, wyciął kost-  
ną podstawę rogu z czaszki Stagga, a następnie otworzył samą czaszkę. Rozciął także  
pierś kapitana; w mózg i w serce wprowadził elektrody. System krążenia podłączono do  
pompy. Następnie maszyna podniosła ciało i złożyła je w zbiorniku Łazarza.

Zbiornik ten wypełniony był biozelem — rzadkim płynem odżywczym składającym  
się z dwóch rodzajów komórek. Jedne usuwały zniszczone lub rozłożone komórki ofia-  
ry, drugie zaś pochodziły od zdrowych komórek pobranych niegdyś z tego ciała, które  
właśnie spoczywało w zbiorniku; zastępowały komórki chore i usunięte z organów ma-

cierzystych.

Pobudzone elektrowstrząsem serce Stagga zaczęło pracować samodzielnie. Temperatura ciała wzrosła. Szary kolor skóry zmieniał się powoli na zdrowy, różowy.

Biożel pracował pięć godzin. Calthorp nie spuszczał wzroku ze wskaźników na tarczach robo-chirurga i linii na oscyloskopie.

— Nie ma po co trzymać go w tym dłużej — zdecydował w końcu.

Przesunął dźwignię. Ciało Stagga wyłoniło się powoli ze zbiornika i z niezwykłą ostrożnością złożone zostało na stole. Maszyna umyła je, usunęła igły z serca i mózgu, zszyła pierś, nałożyła na rozciętą czaszkę metalową płytkę, naciągnęła na nią skórę z włosami i zszyła ją.

Teraz przyszła kolej na ludzi, którzy zdjęli swego kapitana ze stołu i przenieśli na łóżko. Spał jak nowonarodzone dziecko.

Churchill wyszedł na zewnątrz, do Caseyów, którzy — przesądni i przestraszeni — nie chcieli wejść na statek.

Mężczyźni rozmawiali cicho. Mary siedziała opierając się plecami o drzewo, z twarzą nieruchomą jak grecka maska tragiczna. Słyszając kroki Churchilla podniosła głowę i zapytała głosem bez wyrazu:

— Czy możemy już odejść? Chcę wrócić do swoich.

— Mary — odpowiedział Churchill — możesz iść dokąd zechcesz. Ale najpierw musisz ci wyjaśnić, dlaczego kazałem wam czekać tyle czasu.

Mary przysłuchiwała się jego opowieści: o planowanym odlocie na Marsa, zdobyciu paliwa i podróży na Vegę II, na której powstanie nowa kolonia ludzkości. Na początku ożywiła się trochę, ale później apatia wróciła.

— Cieszę się, że macie te swoje marzenia, chociaż brzmi to jakoś bluźnierczo. Ale przecież mnie to nie dotyczy, więc czemu mi o tym opowiadasz?

— Mary, kiedy w roku 2050 opuszczaliśmy Ziemię, przywracanie ludziom życia było zwykłą rzeczą. Nie używaliśmy do tego żadnej czarnej magii jak czarownice, tylko wiedzy i...

Dziewczyna zerwała się na równe nogi i złapała go za rękę.

— Czy to znaczy, że wskrzesiliście Petera?

— Tak. Śpi teraz, ale...

— Ale co?

— U kogoś, kto nie żył tak długo jak on, mózg jest zawsze zagrożony. Zazwyczaj można zastąpić zniszczoną tkankę, lecz czasami wskrzeszony człowiek budzi się jako idiota i...

Uśmiech znikł ze ślicznej buzi.

— A więc nie dowiemy się niczego przed wschodem słońca? Dlaczego więc mówisz mi to teraz, a nie poczekałeś tych paru godzin?



— Ponieważ wróciłabyś do domu, gdybym ci nie powiedział. Ale to nie wszystko. Każdy z nas na Tenże wiedział, co się może stać, jeśli zginie i zostanie wskrzeszony. Wszyscy z wyjątkiem Sarvanta zgodziliśmy się, że jeśli wyjdziemy ze zbiornika Łazarza jako idioci, mamy być znowu zabici. Nikt nie chce po prostu wegetować.

— Zabici? — powtórzyła Mary. — To byłby straszny grzech. Jak morderstwo.

— Nie będę się z tobą spierał. Chcę tylko, żebyś wiedziała, co się może zdarzyć. Mam nadzieję, że pocieszy cię pewna historia: otóż na jednej z planet Vixy zginął Al-Masyuni. Zabiła go trująca roślina, wyrzucająca zatrute strzałki za pomocą sprężonego powietrza. Dwie trafiły i zginął natychmiast. Kiedy już leżał, pień tej rośliny otworzył się wypuszczając ogromne, podobne do stonóg robale; każdy z nich miał przeszło pół metra i potężne szczypce. Najwyraźniej zamierzały zaciągnąć ciało do wnętrza rośliny, która tym sposobem zdobywała sobie pożywienie.

Trzymaliśmy się poza zasięgiem strzałek i pozabijaliśmy robale z karabinów, a roślinę zniszczyliśmy granatami. Potem zanieśliśmy Al-Masyuniego do statku, wskrzesiliśmy go i usunęliśmy truciznę z jego organizmu. Ta śmierć nie miała najmniejszego wpływu na jego ciało lub umysł. Ze Staggiem może być jednak nieco inaczej.

— Czy zobaczę go rano?

— Oczywiście. Na dobre lub złe.

Noc mijała powoli. Kosmonauci nie mogli zasnąć i Mary też nie spała, choć obozujący w lesie Caseyowie chrapali smacznie. Niektórzy członkowie załogi pytali Churchilla, dlaczego czekają beczynn timer na przebudzenie Stagga. Przecież mogliby w tym czasie uśpić gazem wioskę lub dwie, porwać jeszcze trochę kobiet i dzieci, i skierować się wprost na Marsa.

— Chodzi o tę dziewczynę. Stagga chciałby może, żebyśmy ją ze sobą zabrali.

— Więc czemu nie wsadzimy jej po prostu do zamrażarki? — spytał Yastzhembski. — Czy ty przypadkiem nie dzielisz włosa na czworo? Taki jesteś wrażliwy na jej uczucia, ale porywasz dziesiątki innych kobiet. I dzieci.

— Tamtych nie znamy. A poza tym dzieciom i kobietom Pantelfian robimy grzeszność, zabierając je z tego dzikiego świata. Tę dziewczynę znamy i wiemy, że miała wyjść za mąż za kapitana. Więc zaczekamy, co on ma na ten temat do powiedzenia.

W końcu nadszedł oczekiwany poranek. Kosmonauci zjedli śniadanie i zajęli się po mniejszymi przygotowaniami do lotu, czekając na wezwanie Calthorpa.

— Już czas — powiedział po prostu, napełnił strzykawkę ciśnieniową, wbił ją w wielki biceps Stagga, wcisnął niewidzialny tłoczek i odstąpił krok do tyłu.

Churchill udał się do Mary Casey i powiedział jej, że wkrótce obudzą Stagga. To, że przekroczyła próg statku, świadczyło o sile jej uczucia, choć szła korytarzami nie podnosząc wzroku i nie patrząc nawet na to, co było dla niej niezrozumiałe, dziwne i trochę złowrogie. Spoglądała przed siebie, na szerokie plecy Churchilla.

A gdy dotarli na miejsce, spojrzęła na Stagga i nagle rozplakała się.

Kapitan wybełkotał coś, jego powieki zdrząły i znieruchomiały. Oddychał głęboko i równo.

— Obudź się, Peter — powiedział głośno Calthorp, klepiąc kapitana po policzku.

Stagg otworzył oczy. Rozejrzał się wokoło, dostrzegł Calthorpa, Churchilla, Steinborga, Al-Masuyniego, Lina, Yastzhembskiego, Chandrę i wyraźnie się zdziwił. A gdy spojrzęła na Mary Casey, jego zdumienie sięgnęło szczytu.

— Co się do diabła stało — próbował ryknąć, ale z gardła wydobyło mu się zaledwie skrzeknięcie. — Straciłem przytomność? Wylądowaliśmy, czy nie? Oczywiście, że tak! Inaczej nie byłoby tu tej kobiety. Chyba, że wy, Don Juani, przechowywaliście ją gdzieś w trakcie lotu.

Churchill pierwszy zrozumiał, co się stało.

— Kapitanie? — zapytał. — Jakie jest pana ostatnie wspomnienie?

— Wspomnienie? Nie wiecie, co wam rozkazałem tuż przedtem nim straciłem przytomność? Kazałem lądować, ot co!

Mary Casey dostała ataku hysterii. Churchill i Calthorp musieli ją wyprowadzić i użyć środków uspokajających, po których zasnęła w dwie minuty. Później wrócili do sterówki.

— Za wcześnie żeby mieć pewność, ale nie sądzę, by stracił jakieś punkty ilorazu inteligencji. Nie jest idiotą, po prostu część jego mózgu zawierająca wspomnienia z ostatnich pięciu miesięcy została zniszczona. Naprawiliśmy ją, jest jak nowa, ale zawartość pamięci uleciała. Kapitan jest przekonany, że właśnie wróciliśmy z Vixy i zamierzamy wylądować na Ziemi.

— Sam na to wpadłem — przerwał mu Churchill. — I co teraz zrobimy z tą Mary Casey?

— Powiemy jej, jak dokładnie wygląda sytuacja, i niech decyduje sama. Może przecież próbować skłonić go, żeby się w niej zakochał jeszcze raz!

— Będziemy musieli powiedzieć jej o Dziewicy. I o Robin. Nie pokocha nas za to.

— Najlepiej zacząć od razu. Będę musiał zaaplikować jej zastrzyk, żeby się obudziła. Później z nią porozmawiam. Musi decydować szybko. Nie mamy już czasu do stracenia.

Calthorp wyszedł. Churchill usiadł w fotelu pilota i pogrążył się w rozmyślaniach. Zastanawiał się, co im przyniesie przyszłość. Z pewnością nuda im nie zagraża! Sam będzie miał kłopotów co niemiara, ale nie chciałby zamienić się ze Staggiem; za nic! Spłodzić setki dzieci w najdzikszej i najdłuższej orgii, o jakiej może marzyć mężczyzna — i nic z tego nie pamiętać! Polecieć na Vegę II i tam doczekać się dwóch — a może nawet trzech, jeśli Mary z nimi polecą — dzieciaków z trzech różnych kobiet. Słuchać opowieści o swych wyczynach i nie móc ich sobie wyobrazić, nie móc w nie nawet uwie-

rzyć, choć świadkowie będą przysięgać po wielokroć, że to wszystko prawda. Słuchać wymówek i rzuconych w małżeńskich kłótniach wyrzutów z pewnością prawdziwych, choć jednocześnie absolutnie fantastycznych!

Nie, pomyślał Churchill, z pewnością nie chciałbym być teraz Staggiem. Wystarczy mi, że jestem Churchillem i wystarczą mi moje problemy. Robin w końcu też się kiedyś obudzi.

Oprzytomniał, słysząc kroki powracającego Calthorpa.

— No i co? — zapytał.

— Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać — odpowiedział antropolog. — Mary leci z nami.

## Postludium

Błyskawica. Grzmot. Wielkie krople deszczu.

Niewielka gospoda w pasie ziemi niczyjej na pograniczu DeCe i Caseylandu. Trzy kobiety siedzą przy stole w małym pokoju z tyłu gospody. Ich płaszcze z wielkimi kapturami wiszą na wbitych w ścianę hakach. Wszystkie trzy noszą wysokie, czarne, stożkowate kapelusze.

Pierwsza to Dziewica, młodsza siostra Dziewicy Terry, obecnie, jak jej siostra w chwili lądowania kosmonautów, dziewica-kapłanka świętego miasta. Jest wysoka, piękna; włosy ma koloru miodu, oczy ciemnoniebieskie, delikatny jastrzębi nos, usta jak rana. Odślonięte piersi są pełne, sterczące.

Druga to kapłanka wielkiego zakonu Caseylandu. Ma trzydzieści pięć lat, siwiejące włosy, ciężkie piersi, żyłki — świadectwo wielu porodów — chociaż ślubowała czystość. Publicznie modli się do Ojca Columbusa, Syna i Matki. Prywatnie czci Columbię, Boginię, Wielką Białą Matkę.

Trzecia to Alba; siwowłosa, bezzębna, stara wiedźma, następczym Alby zabitej przez Stagga.

Z wysokich szklanek piją czerwone wino. Lecz czy na pewno jest to wino?

Dziewica, panna, pyta czy przegrały. Ludzie z gwiazd uciekli i zabrali ze sobą Słonecznego Bohatera i jej ukochaną siostrę, noszącą jego dziecko.

Siwowłosa matrona odpowiada, że one nie przegrywają. Czy Dziewica sądzi, że jej siostra pozwoli, by dziecko zapomniało o Bogini? Nigdy!

Lecz Stagga, protestuje Dziewica, zabrał ze sobą także tę Caseykę, wierną wyznawczynię Ojca.

Alba, stara wiedźma, rechocze i mówi: „Nawet jeśli on przyjmie religię Caseyów, ty młoda i piękna, lecz głupia dziewczyno, czy nie wiesz, że Matka już zwyciężyła w Caseylandzie? Ludzie wspominają jeszcze Ojca i Syna w ich święta, lecz żarliwie modlą się tylko do Matki. Jej posągi wyrastają w miastach i wioskach. Ona wypełnia umysły. Czy to ważne, jak się nazywa: Bogini, Columbia, czy Matka? Ważne, że jeśli nie może wejść

drzwiami, puka do okien”.

Dziewica protestuje. Przecież Stagg uciekł.

„Nie”, odpowiada matrona, „nie uciekł przed nami ani przed Wielką Procesją. Urodził się na południu, poszedł na północ, spotkał Albę i zginął. To, że zniszczył ludzkie wcielenie Śmierci nie znaczy nic, bowiem Alba żyje teraz w starczym ciele kobiety, która tu z nami siedzi. Został zabity, pogrzebany i zmartwychwstał zgodnie z przepowiednią. I jest teraz jak nowonarodzone dziecko, słyszałam bowiem, że nie pamięta dni spędzonych w Procesji.

Zważ na to, co Alba mówi o Bogini zwyciężającej zawsze, nawet w klęsce. Nic nie znaczy, czy wybierze Dziewicę, czy Marię. Jest nasz. Zabrał do gwiazd Matkę Ziemię”.

Rozmawiają także o innych rzeczach, snują plany. A później wychodzą z gospody we wściekłość ognia, grzmotu i wody. Twarze zakrywają kapturami, by nikt ich nie rozpoznał. Zatrzymują się na chwilę i rozchodzą; jedna idzie na południe, druga na północ, trzecia zostaje w pół drogi między dwiema.

Dziewica pyta: „Kiedy się spotkamy?”

Matrona odpowiada: „Kiedy człowiek narodzi się, i umrze, i znów narodzi”.

Wiedźma odpowiada: „Gdy w bitwie zwyciężymy przez klęskę”.

## SPIS TREŚCI

Preludium	2
Rozdział pierwszy	11
Rozdział drugi	14
Rozdział trzeci	23
Rozdział czwarty	29
Rozdział piąty	38
Rozdział szósty	46
Rozdział siódmy	58
Rozdział ósmy	66
Rozdział dziewiąty	70
Rozdział dziesiąty	77
Rozdział jedenasty	84
Rozdział dwunasty	95
Rozdział trzynasty	105
Rozdział czternasty	110
Rozdział piętnasty	116
Rozdział szesnasty	125
Rozdział siedemnasty	131
Postludium	140